

Narkotyki i nastolatki
- co i ile biorą? → 20

LARP pod Przemysłem
- polska gra o tron → 40

Kathryn Bigelow
- żelazna dama kina → 64

PRZE KROJ

nr 4 (3523), 28 stycznia 2013, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl

Lubię porąbańców

Rozmowa z Wojciechem Smarzowskim → 6

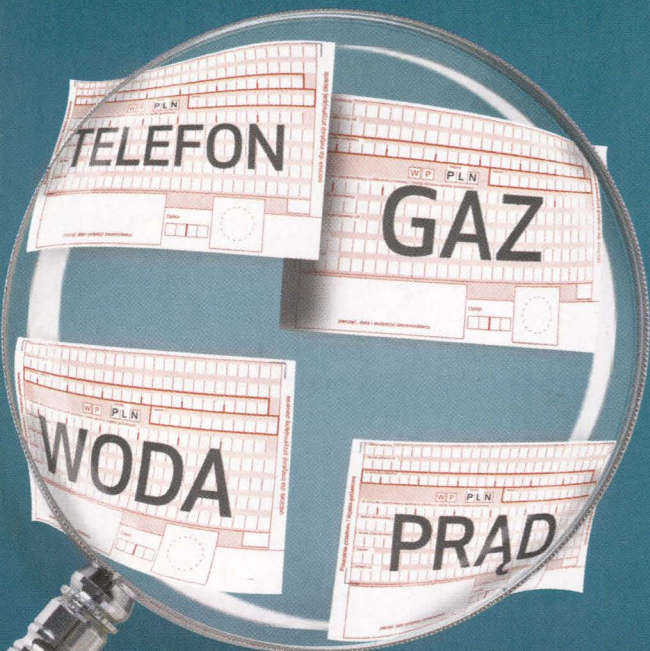
DEKS
1424

ISSN 0033-2488

04 >
001

Przekrój uliczy się od 1945 roku

Mniejsze rachunki, większy uśmiech!



NOWE KONTO ODDAJE

-10%

za GAZ, PRĄD, WODĘ i TELEFON!



www.credit-agricole.pl
801 33 11 11
koszt wg stawki operatora

Credit Agricole Bank Polska S.A.

CA CRÉDIT AGRICOLE
prosto i z sensem

PRZE KROJ

W tym tygodniu
nie piszemy...

...o tym, że księżę Harry, pretendent do brytyjskiej korony, przygotowywał się do służby w wojsku, grając na PlayStation. Mamy nadzieję, że minister Rostowski nie ćwiczy planowania budżetu, grając w „Monopol”.

...o tym, że spadają notowania Apple'a. Brzydkie, lecz gospodarnie koleżanki zacierają rączki.

...o lotnisku w Modlinie, po którym hula wiatr. Napiszemy, jak znów zaczną funkcjonować. Czyli pewnie nigdy.

...o tym, że premier Wielkiej Brytanii David Cameron planuje referendum w sprawie wystąpienia tego kraju z UE. Wspiarze zawsze patrzą z góry na tych, co na ładzie.

...o happeningu Janusza Palikota, który jeździł po mieście samochodem ubrany w maskę i celowo łamał przepisy. Już artysta, ale czy jeszcze polityk?

...o „homoterapeucie” z Radomia, który został bohaterem programu „Po prostu” Tomasza Sekielskiego. Mirosław Ch., ksywa Paweł, miał leczyć z homoseksualizmu kilkuset mężczyzn za pomocą dotyku. To był dotyk głupoty.

...o karierze słówka „pokolenie”. Cieszymy się, że co tydzień pojawia się w mediach jakieś nowe. „Każde pokolenie ma własny czas” śpiewało Kombi. Ale żeby tydzień?



ZUZANNA ZIOMECKA

To potworne, gdy umiera dziecko. Jako mama nie mogłam czytać opisu rozpaczliwych prób reanimacji Stasia Fryczkowskiego. Jednak dalsze wypowiedzi Anny Fryczkowskiej na temat leczonej depresji i stanów lękowych syna przeczytałam bardzo uważnie. Mam to ogromne szczęście, że to nie moje dziecko odebrało sobie życie, więc łatwiej mi spojrzeć na portret Stasia racjonalnie i dostrzec, że to nie marihuana, tylko ewentualne połączenie jej z jego problemami emocjonalnymi doprowadziło go do samobójstwa. Rozumiem chęć uproszczenia tej złożonej sytuacji, znalezienia przyczyny i dokonania na niej zemsty. Gdybym była Anną Fryczkowską, pewnie nie miałabym tyle siły, by w żałobie jeszcze podjąć walkę o cudze dzieci. W tym numerze „Przekroju” inicjujemy dyskusję na temat narkotyków w świecie nastolatków,



MARCIN PROKOP

Potrafię zrozumieć matkę Stasia Fryczkowskiego, która pojawia się w kolejnych mediach i przekonuje, że marihuana zamordowała jej syna. W momentach tragedii chcemy jednoznacznych wyjaśnień, by zrozumieć, dlaczego do niej doszło. Próbuje my nadać cierpieniu jakiś sens, wskazując palcem winowajcę naszej straty. Anna Fryczkowska jest usprawiedliwiona. Nie potrafię jednak znaleźć usprawiedliwienia dla tych, którzy wokół tak delikatnej i skomplikowanej sprawy instrumentalnie kręcą swoje lody, sprowadzając czyjąś tragedię do kolejnego sporu o prawny status trawy. Równie idiotycznie wyglądacie wy, którzy z sarkastycznym uśmiechem przekonujecie ciemnogród, że jaranie zioła to zupełnie niegroźna rekreacja, jak i wy, którzy histerycznie pytacie Palikota, „ile jeszcze osób planuje zabić”. Samobójstwo to nigdy nie jest równanie z jedną niewiadomą. W naszym materiale (str. 20) staramy się pokazać ową złożoność, świadomie uciekając od demagogicznych kwestii typu „legalizować czy karać”. Bo jestem pewny, że gdyby w pokoju chłopca zamiast dżointów znaleziono na przykład płytę Behemoth, której słuchał przed śmiercią, dziś mielibyśmy dyskusję o zgubnym wpływie metalu, zamiast narkotyków. Dyskusję równie jałową i idiotyczną w kontekście tego, co się stało. To nie jest właściwy moment na wzajemne obszczekiwanie się. Ciszej nad tą trumną.

NA POCZĄTEK

by bardziej racjonalnie, niż Anna Fryczkowska jest obecnie w stanie, przyjrzeć się sytuacji. W reportażu Jerzego Ziemackiego (str. 20) ujawniamy skalę zaangażowania młodzieży w palenie trawy. W rozmowie z psychologiem z wieloletnim doświadczeniem w pracy z trudną młodzieżą (str. 24) przyglądamy się problemowi, jaki mają rodzice współczesnych nastolatków w zrozumieniu i wspieraniu swoich dzieci w temacie narkotyków. Kreślimy też portret Krystyny Starczewskiej (str. 26) – ikony polskiej pedagogiki i założycielki zespołu szkół Bednarska. Nie stajemy bezwzględnie w obronie marihuany, ale prostujemy naszym zdaniem skrzywiony obraz jej obecności w szkołach i wpływu na dzieciaki. Rozdzielamy próbowanie trawy od uzależnienia i wnioski matki będącej w żałobie po synu od rzetelnej, merytorycznej dyskusji na temat profilaktyki narkotykowej.

RACZKOWSKI



FRANCISZEK MAZUR (2)

Promocja „Oszczędzam na rachunkach” trwa w terminie 12.01-28.02.2013 r. Warunkiem udziału w promocji jest otwarcie konta w pakiecie Konto PROSTOoszczędzające PLUS lub Konto PROSTOoszczędzające PREMIUM, złożenie wniosku o debetową kartę płatniczą oraz deklaracja stałych wpływów na konto (min. 100 zł miesięcznie). Klient otrzyma premię promocyjną w postaci oprocentowania specjalnego części środków, na rachunku bieżącym wynoszącego 12,35% dziennie (10% netto), przez 5 mies. od momentu przystąpienia do promocji przez osoby wykazanych na rachunek po wykonaniu transakcji wskazanych w regulaminie promocji. Maks. łączna kwota odsetek promocyjnych nie może przekroczyć 246,92 zł (200 zł netto). Szczegółowe warunki uczestnictwa oraz zasady promocji znajdują się w regulaminie „Oszczędzam na rachunkach” dostępnym w placówce bankowej i na www.credit-agricole.pl. Materiał ma charakter informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 kc.

AKTUALNOŚCI

- 6 → **BOHATER TYGODNIA** Smarzewski w krainie Simpsonów
Reżyser „Drogówki” w rozmowie z Hanną Rydlewską i Moniką Brzywczy
- 12 → **ZATRUDNIENIE** Praca na papierze Anna Kowalczyk
- 18 → **EWOLUCJE** Zbyt ciepły sen Wojciech Mikołuszko

GRUBE SPRAWY

- 20 → **TEMAT TYGODNIA** Narkohisteria Jerzy Ziemacki
- 24 → **NARKOTYKI** Samo bycie nastolatkiem to problem
Z Arturem Lutarewiczem, psychologiem, rozmawia Zuzanna Ziomecka
- 26 → **BYĆ JAK KRYSZYNA STARCZEWSKA** Pani dyrektor
Karolina Sulej
- 32 → **SPOŁECZEŃSTWO** Klik! I pan premier odpuści Joanna Ćwiek, Artur Grabek
- 36 → **EPIDEMIE** Grypa zmienną jest Prof. Włodzimierz Gut
opowiada Joannie Ćwiek o historii zjadliwych wirusów



- 40 → **ZJAWISKO** Jawa czy sen Marianna Saska
- 44 → **POSTAĆ** Rosjanie już się nie boją władzy Z Ludmiłą Aleksiejewą, dysydentką z pokolenia Sacharowa i Jakowlewa, rozmawia Artur Ciechanowicz
- 48 → **DEBATA** Debata bez końca Z Russellem Robertsem, współautorem wideoklipu o sporze Hayeka z Keynesem, rozmawia Grzegorz Siemionczyk
- 52 → **ZDROWIE** Jak wystraszyć palaczy Beata Drewnowska

KULTURA

- 54 → **TEATR** Taniec nad przepaścią Mike Urbaniak
- 58 → **SZTUKA** „Gazda” znowu świeci Jacek Tomczuk
- 60 → **MUZYKA** Rok spokojnego pana Adam Suprynowicz
- 62 → **FANTY I FETYSZE** Wybiera Olga Mieleńczuk
Anna Gwozdowska
- 64 → **FILM** Kobięce kino wagi ciężkiej Barbara Hollender
- 67 → **FILM** „Drogówka” Dorota Chrobak
- 70 → **MUZYKA** Przeboje w detalu Angelika Kucińska
- 71 → **WSPOMNIENIE** Lucyna Winnicka
– Miłośniczka doskonałości Jan Bończa-Szabłowski

72 → **PO-PATRZ** Własna Kępa O pierwszej polskiej autorce komiksu
pisze Kuba Dąbrowski

ROZMAITOŚCI

- 74 → **KARNAWAL** Zabawa tylko dla bogaczy Wojciech Klewiec
- 76 → **RETRO/FUTURO** Cztery wesela i pogrzeb
Agata Napiórska i Marta Mach
- 78 → **YERBATEROS** I ty zostaniesz mateistą Cezary Polak
- 80 → **WINO** Kocha, nie kocha? Wojciech Bońkowski

FELIETONY

- 17 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Moje lekcje realizmu, czyli płaca minimalna
- 39 → **MAX CEGIELSKI** Kochani rodzice...
- 68 → **MACIEJ NOWAK** 15 widzów w noszkiwaniu autora



PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
22 463 03 00, www.przekroj.pl,
e-mail: doredakcji@przekroj.pl

Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop
Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(redaktor działu Kultura)

Redaktor działu Grube Sprawy:
Anna Gwozdowska

Redaktorzy:
Grażyna Raszkowska
Grzegorz Sobaszek
Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarnecka
Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski, Kuba Dąbrowski, Mateusz Farenholtz, Angelika Kucińska, Marta Mach, Wojciech Mikołuszko, Katarzyna Nowakowska, Agata Napiórska, Cezary Polak, Marek Raczkowski, Marianna Saska, Karolina Sulej, Stach Szabłowski, Mike Urbaniak

Projekt graficzny: Magdalena Piwowar
Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski
Fotoedycja: foto@przekroj.pl,
Dorota Majka-Czarnocka,
Franciszek Mazur
Korekta: Ling Brett

Strona internetowa: KRCMedia.pl
Wydawca: Presspublica sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

Promocja i marketing: Cezary Piernikowski – p.o. Dyrektora Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska (p.berska@rp.pl)

Biuro Reklamy i Ogłoszeń:
Presspublica sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;
reklamainfo@presspublica.pl

Dyrektor Biura Sprzedaży Korporacyjnej Witold Trzciniński
tel. 22 463 05 53

Dyrektor Działu Agencyjnego i Magazynów Filip Weichert
tel. 22 463 01 88



PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

Prenumerata redakcyjna:
Cena prenumeraty 2013 r.:
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł
Zamówienie na prenumeratę należy składać e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl
Dodatkowe informacje
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

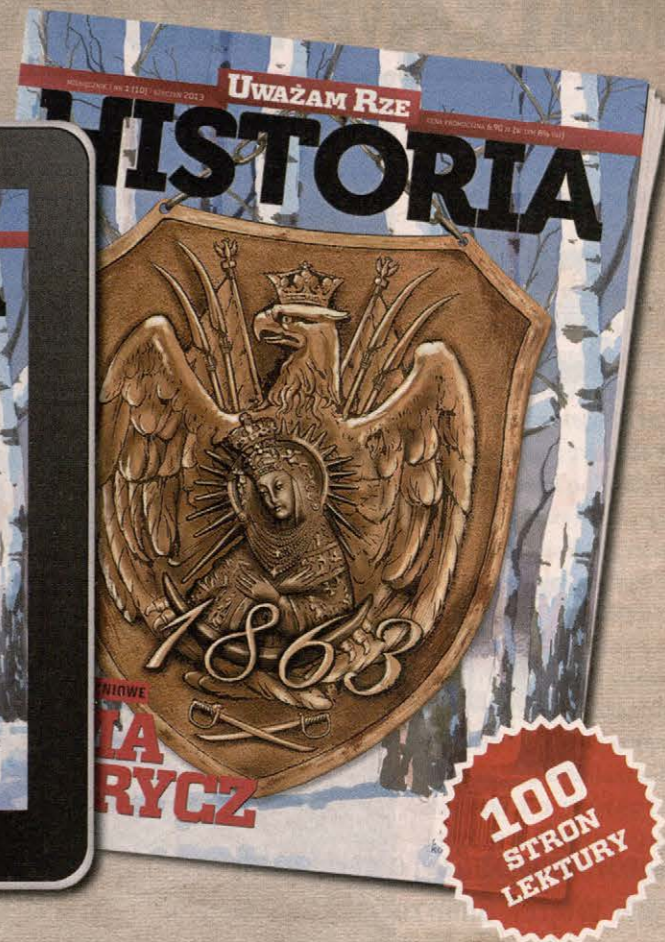
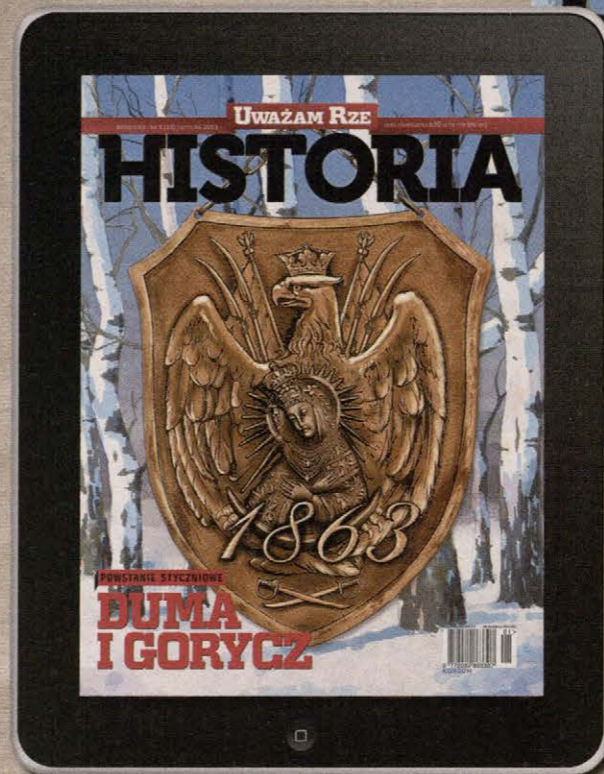
Prenumerata kolporterska
Oddziały Ruch S.A., tel. 801 800 803
lub 22 717 59 59 – telefoniczne Biuro
Obsługi Klienta czynne w godz. 7–18,
www.prenumerata.ruch.com.pl,
urzędy pocztowe

Prenumerata na e-Wydania:
www.przekroj.pl, www.sklep.rp.pl,
www.egazety.pl, www.e-kiosk.pl

Dostęp na stronie www i wersji na iPad
Prenumerata na iPad przez App Store:
tydzień – 0,79 €, miesiąc – 1,59 €, rok – 19,99 €

Prenumerata na Android
przez Google Play: tydzień – 3,49 zł,
miesiąc – 6,89 zł, rok – 78,99 zł
Dostęp do serwisu oraz e-wydania
przez przekroj.pl: tydzień – 2,89 zł,
miesiąc – 8,99 zł, rok – 89,00 zł
Informacje: serwisypłatne@rp.pl,
tel. 22 46 30 066

Zdjęcie na okładce:
krzysztof.wiktor.eu



Nowy numer już w sprzedaży, a w nim m.in.:

- Andrzej Nieuważny / Powstanie: głupota czy wielki czyn
- Robert Service / Stryczek dla Lenina
- Zbigniew S. Siemaszko / Anders w kleszczach NKWD
- Sławomir Koper / W alkowie Kazimierza Wielkiego
- Tim Weiner / FBI przeciwko komunie



Available on the App Store



Google play

POBIERZ APLIKACJĘ NA SWÓJ TABLET

www.historia.uwazamrze.pl

ROZMAWIAJĄ HANNA RYDLEWSKA I MONIKA BRZYWCZY

Smarzowski w krainie Simpsonów

„Drogówka”, jeden z najbardziej oczekiwanych w tym roku polskich filmów, właśnie wchodzi na ekrany naszych kin. Jej reżyser **Wojtek Smarzowski**, twórca genialnego „Wesela” czy „Róży”, słynie z małomówności. Woli, żeby przemawiały za niego filmy: bezkompromisowe, ostre w przekazie, dotyczące wstydlivych tematów. Nam dał się namówić na rozmowę o polskiej brzydocie i martyrologii. – Stachura napisał: „Świata nie zmienię, ale trąbić mogę”. No, to ja trąbię siekierą – objaśnia „Przekrojowi” Smarzowski, który bez siekiery filmu nie nakręci.

Ma pan szacunek do państwa jako instytucji?

„Drogówka” opowiada o słabości państwa, które nie potrafi wyegzekwować stanowionego przez siebie prawa. Rozumiem, że stąd pytanie o szacunek do państwa lub jego brak.

Film jest oczywiście bezpośrednią inspiracją. Ale również pana punkowa przeszłość. Jako zatwardziały punkowiec powinien pan być anarchista, czyli negować samą ideę istnienia państwa.

Jest dużo rzeczy, które mi się nie podobają w Polsce, i robię o tym filmy. „Drogówka” traktuje o korupcji, ale też obnaża jej przyczyny. Prawo jest dzisiaj ignorowane nie tylko przez przestępców, ale i przez tych, którzy powinni teoretycznie stać na straży praworządności. Łatwo się pogubić.

Polityka – pana zdaniem – z natury jest brudną dziedziną?

Jesteśmy młodą demokracją, więc proporcje cały czas się zmieniają. Ale to u nas standard, że poseł przez całą kadencję chce się nachapać, a nie rozwiązywać problemy swoich wyborców. Być może w tych krajach, w których demokracja jest bardziej rozwinięta, władza jest szara. Nie czarna, tylko szara. Mniej brudna.

To jak prosty człowiek może zmieniać sytuację w państwie? Czy na przykład powinien na znak protestu przeciw korupcji bojkotować wybory?

Nie bojkotuję wyborów, to głupie rozwiązanie. Ale jestem reżyserem, a nie politykiem. Jeśli protestuję, to za pomocą swoich filmów. Robię filmy o tym, co mnie boli. Na różnych poziomach. Jeśli widzę

śmieci obok swojego domu w lesie, robię o tym scenę.

Polska jest ładna, kiedy napada śniegu, kiedy opadnie mgła albo wszędzie tam, gdzie nie ma ludzi. W innych okolicznościach jest niestety przeważnie brzydka. Każdy buduje, jak chce i jak potrafi. A ponieważ nie jesteśmy najbogatsi, to siłą rzeczy budujemy z tego, co najtańsze i byle jakie. No i najważniejsze to zacząć od ogrodzenia, żeby ci nikt pustaków nie podpieprzył. Każdy przepis można obejść, to, co dzisiaj jest parkiem krajo-
brazowym czy narodowym, jutro może przestać nim być. Brak wizji i brak architekta przestrzeni. Nie cieszy mnie to, tylko boli. I dlatego ta Polska tak wygląda w moich filmach.

Chyba nie tylko nasza architektura pana odrzuca, ale i mentalność?

Oczywiście, bo to się ze sobą łączy. Jak dzieci w klasie mają ściany w kolorze kupy, bo żółta farba jest najtańsza i najbardziej praktyczna, to uodparniają się na brzydotę. Kulawa estetyka wpływa na te dzieci, które w dorosłym życiu nie dostrzegają już tego, że wjazd do Warszawy przypomina upstrzony tablicami jarmark, a kostka bauma to szczyt marzeń każdego sołtysa. Brzydota pcha się do naszych głów.

Zatrzuwa je też tania wódka?

Nie przesadzajmy. Chociaż gorzała jest obecna w moich filmach.

To eufemizm – wódka leje się u pana strumieniami. Jest oddzielnym bohaterem „Wesela” czy „Drogówki”.

Tak, ale sposób picia w Polsce ulega przemianie.

W dużych miastach, w pewnych środowiskach – tak. Ale jeśli mówimy o Polsce jako takiej, to rewolucji na razie nie ma.

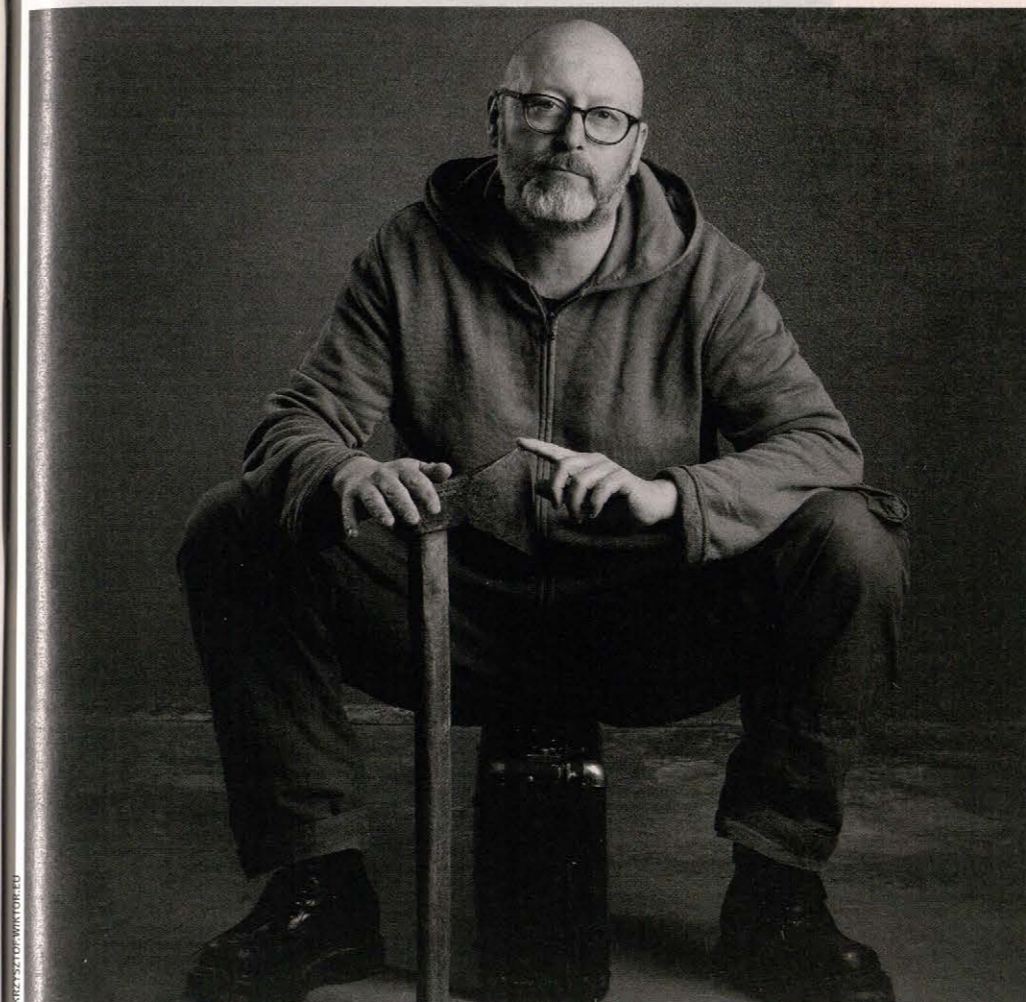
Powiedzmy, że ten okres transformacji trwa trochę dłużej, niż zakładaliśmy. Ale na polskich ulicach widać mniej pijaków. Zastępują ich faceci w garniakach, którzy czekają do piątku, żeby dać w palnik. Z powodu prostego lęku o byt ci panowie nie przychodzą do pracy narąbani.

Za to policjantom z „Drogówki” na służbie zdarza się golnąć.

Nie, tylko jeden ma takie hobby.

A co z autokarem pijanych policjantów, którzy wracają z wycieczki i śpiewają „Białego misia”?

O przepraszam, wtedy to oni są już po służbie. Policjant ma prawo wychylić



kieliszek lub dwa po pracy. Dla odreagowania stresu.

Polski policjant po służbie przede wszystkim zrzuca mundur. Inaczej chorwacki. W filmie pada takie stwierdzenie, że w Chorwacji policjant po pracy idzie na kawę w mundurze, bo jest dumny z tego, że jest policjantem, co w Polsce jest trudne do wyobrażenia.

W Chorwacji policjanci są po to, żeby pomagać kierowcom, a nie po to, żeby wlepić mandaty i nabijać statystyki. Widziałem taką sytuację, kiedy jechałem przez Chorwację: samochody pędzą szosą znacznie powyżej dozwolonej prędkości, na poboczu stoi radiowóz, jeden z policjantów śpi na masce z otwartą japą, bo gorąco, a drugi leniwie pokazuje dłonią, żeby zwolnić. Bez suszarki, bez pościgu i bez mandatów, które wystąpiłyby u nas w analogicznym przypadku. W Polsce policjanci są postrzegani jako ci, którzy mają złapać i ukarać.

Pokazuje pan Polskę jako kraj nieatrakcyjny estetycznie, zamieszany przez ludzi z podupadłą moralnością. Zrobiłaś sobie maraton Smarzowskiego w ten weekend: „Drogówka”, „Dom zły”, „Róża”.

I w pewnym momencie wyłączyłam projektor, bo to przytłacza.

Nie sądzę, żeby zwykły widz aplikował sobie naraz taką dawkę mojego kina. Na szczęście istnieje też grupa odbiorców o podobnej do mojej wrażliwości, która głośuje na te filmy, bo kupuje bilety i chodzi do kin.

Oczywiście, bo to jest świetnie zrobione.

„Drogówkę” ogląda się z zapartym tchem. A przekaz, mocno depresyjny, dociera do widzów z lekkim opóźnieniem.

No dobrze, odwróćmy sytuację. Niech pani powie, jak postrzega pani Polskę. Polska jest ładna czy brzydka?

Nie da się odpowiedzieć jednoznacznie na to pytanie. Jest i ładna, i brzydka.

Na pewno nie jest dla mnie miejscem, w którym ludzie biegają z siekierami i ciągle upa-

Znaki rozpoznawcze filmów Wojtki Smarzowskiego: pożar, siekiera, odjazd kamery w finale. A przede wszystkim – stała aktorska ekipa.

dają w błoto. Myślę, że jest wiele pięknych historii w tym kraju.

I są reżyserzy, którzy to pokazują. Takich twórców jak ja jest mniej – większość opowiada właśnie o tej ładnej, jasnej stronie rzeczywistości. Moje filmy są pokolorowane, mają rozmaite odcienie. Może sceneria u mnie bywa odpychająca, ale ludzie potrafią zachować się porządnie. Nie idę wyłącznie w mrok, chociaż przyznaję, że mam celownik przekrzywiony w kierunku brzydoty i skatologii.

A dlaczego tak bardzo intryguje pana słabość człowieka, ten moment, w którym on upada? Zło jest dużo bardziej fascynujące dla kina niż dobro. Tu też nie otwieram żadnych drzwi, myślę, że wiele filmów na tym bazuje.

Sierżant Ryszard Król z „Drogówki” jest romantycznym bohaterem, który walczy ze złem. To współczesny superman, który stara się rozbić system.

No i widzą panie, ile jest światła w tym filmie (śmiech). Policjanci z „Drogówki” mają wewnętrzny kodeks, którego przestrzegają. Nawet jeśli dla nas wydaje się on przewrotny. To trudny, męski świat.

W jaki sposób pan go zgłębiał? Prowadził pan terenowe badania, przesiadywał na komisariatach?

Nie, tak się złożyło, że robiłem wcześniej program pod tytułem „Drogówka”. Jeździłem na tylnym siedzeniu radiowozu, filmowałem policjantów w trakcie służby. Najlepszych na komendzie, no wiadomo, dali mi najlepszych. Stamtąd wzięłem tylko sposób wyrażania się, język, może klimat „Drogówki”, ale nie sytuacje. Te wzięłem z własnego życia, z opowieści znajomych. Moja praca polega na tym, że przyswajam bardzo wiele elementów, ładuję dynię i kiedy dochodzi do pisania konkretnej historii, rzeczy, o których myślałem, że je zapomniałem, nagle wyskakują. Z tych wszystkich elementów buduję swój filmowy świat. Dałem ten scenariusz do przeczytania kilku policjantom, żeby sprawdzili go pod kątem merytorycznym, pokazałem im też zmontowaną wersję filmu.

Smarzowski:
– Prawo jest dzisiaj ignorowane nie tylko przez przestępców, ale i przez tych, którzy powinni teoretycznie stać na straży praworządności.



NEXT FILM/FILM ITARZYSZTOF WIKTOR (3)



Jaka była ich reakcja?

Oni to odebrali przede wszystkim jako opowieść o ludziach, nie wzięli tego do siebie. Podobał im się ten świat, który przedstawiłem w „Drogówce”, powiedzieli, że wiarygodnie. Spojrzeli na to jak na historię kryminalną.

Aż ciężko uwierzyć w to, że nie mieli żadnych zarzutów, że nie odebrali filmu jako ujemny na swoim policyjnym honorze.

Powiedzieli jedną rzecz – że takie sytuacje, które obrazuję w „Drogówce”, miały miejsce w niedalekiej przeszłości, natomiast teraz w polskiej policji jest już inaczej. Prawdopodobnie dlatego, że istnieje system kamer w radiowozach, który powoduje, że na mniej można sobie pozwolić.

Pewnie trudniej o przekazanie łapówki, ale ciężki żart można powiedzieć zawsze.

Policjanci z „Drogówki” to niestety rasisci i seksiści.

Jeden jest rasistą, drugi jest seksistą, ale nie można powiedzieć, że oni wszyscy tacy są. Każdy z nich jest inny. Ta jedna komenda jest odbiciem naszego społeczeństwa. Spojrzenie w lustro nieraz boli. Ja już się przyzwyczałem, po „Weselu” krzykali: „Panie Smarzowski, jak pan pokazał nasze społeczeństwo?!”.
Uodpornił się pan na to? A może pan to lubi?

Nie, mnie to chyba nie interesuje. To ciekawe dowiedzieć się, jak ludzie odbierają mój film po premierze, ale nie cierpię z powodu krytyki, bo recenzji swoich filmów nie czytam wcale. Zbyt wiele energii musiałbym poświęcić na trawienie tego, na obronę psychiczną przed tym przekazem. W Internecie można wszystko, więc ludzie na luzaku pod każdym artykułem, czy o filmie, czy o piłce nożnej, smarują:



„ty chuju, ty pedale, ty Żydzie”. Przez moje podejście omija mnie pewnie również wiele miłych momentów, na przykład recenzje „Róży” w większości były bardzo pozytywne.

Na pewno pokazuje pan filmy bliskim osobom, nim wypuści je w świat. Na czyją opinię czeka pan w wyjątkowym napięciu?

Mam wypracowaną metodę. Kiedy piszę scenariusz i dobijam do wersji, którą uważam za zamkniętą, wysyłam ją do mojego, nazwijmy to, nieformalnego zespołu filmowego. Jeżeli trzy osoby zwracają mi uwagę na jedną rzecz, to byłbym niegadry, gdybym się nad tym nie zastanowił. Tak samo ma się sprawa z montażem. W tej grupie oceniających znajdują się ludzie niekoniecznie związani z filmem, na przykład inżynier czy psycholog. Czasem to przybiera charakter testu, jak w przypadku „Domu złego”, gdzie sprawdzaliśmy, czy dla widzów Środoń chciał zabić Dziabasów czy nie. Wbrew pozorom o tym decydowało jedno ujęcie, to z siekiera. Jeśli wydłużaliśmy je o parę klatek, to widzowie byli przekonani, że on chciał ich zabić, jeżeli skracaliśmy – uważali, że nie chciał. Zależało nam na fermencie, na niepokoju. Praca montażowa, moja i Pawła Laskowskiego, polega na ciągłych cięciach – testujemy, ile jeszcze możemy uciąć, żeby podkreślić akcję, ale żeby jednocześnie nie stracić uwagi widza.

A pan jest dobrym psychologiem, zna się pan na emocjach?

Na swój mały, skromny, reżyserski użytek – myślę, że tak.

Nie jest pan zbyt rozgadany, ale rozumiem, że potrafi pan słuchać i obserwować. Zawsze ustawia się pan w pozycji obserwatora, także w życiu?

Taki Wernyhora jestem. Stoję narabany w rogu sali weselnej i obserwuję.

A kiedy pan się rozgaduje? Zdarzają się takie momenty?

Powiem tak: nie w wywiadach.

To już zauważyliśmy...

Myślę, że i tak bardzo dużo zdań podrzędnie złożonych, z podmiotem i z orzeczeniem, z siebie wyrzuciłem.

A to wcale nie koniec. Proszę powiedzieć, dlaczego w każdym pańskim filmie pojawiają się stałe elementy, takie jak pożar czy siekiera. To pańska sygnatura?

Można jeszcze dodać, że na koniec każdego filmu kamera jedzie do góry (śmiech). Tak, bawię się tymi klockami, chociaż nie jest to dla mnie priorytet. To nie ma wielkiego znaczenia.

Siekiera ma chyba znaczenie symboliczne? Nad kim ona wisi?

Stachura napisał: „Świata nie zmienię, ale trąbić mogę”. No, to ja trąbię sie-

kierą. Podkreślam jednak, że tego nie projektuję, tak się to ułożyło. Muszę mieć jakąś radość z pracy i mimo tych ciężkich tematów, które poruszam, coś muszę nabroić. Cytaty, odniesienia, żarty, czyli ujęcia na granicy percepcji, o których wie tylko montażysta i ja. Takie, że jak się siedzi w kinie, to się ich nie zauważa, bo one trwają za krótko.

I co przemycacie w ten sposób?

Zapraszam do przewijania moich filmów klatka po klatce.

Powiedział pan wcześniej, że nie czyta recenzji. A co pan czyta właściwie?

Trudno mi ostatnio znaleźć coś, co – prędzej czy później – nie sprowadziłoby się do pracy zawodowej. Z powodu braku czasu lubię krótkie formy – opowiadania, reportaże. Czytam dużo o Wołniu, bo przygotowuję się do filmu. Robię również film na podstawie prozy Pilcha, więc na okrągło czytam „Pod mocnym Aniołem”.

A także – w ramach przygotowań do „Anioła” – całą alkoholową literaturę: Bukowskiego, Lowry’ego, Thompsona, Jerofiejewa?

Obowiązkowo.

Czyta pan czasem coś wyłącznie dla przyjemności, a nie w ramach przygotowań do filmu?

Nie tak dawno sporo bajek, ale przestałem, bo moi synowie na szczęście zaczęli czytać sami. Uwielbiałem na przykład „Krecika w mieście”. Kapitalna rzecz.

„Baśnie braci Grimm” też?

Nie, nie.

Chociaż to baśnie w pańskim stylu.

I dlatego nie mam w nich czego szukać. Poza tym intrygują mnie rzeczy, których sam nie potrafiłbym wymyślić. Oglądam różne filmy, natomiast zostają mi w głowie autorskie historie, jak „Młyn i krzyż” Majewskiego lub kino Michaela Hanekego, Beli Tarra, Kim Ki Duka, Aleksieja Bałabanowa czy jeszcze kilku. Lubię poetów i porąbańców.

Panowie z „Drogówki” kochają procenty. Wojtek Smarzowski: – Policjant ma prawo wychylić kieliszek lub dwa po pracy. Dla odreagowania stresu.

A któremu z reżyserów pan zazdrości?

Tych, których wymieniłem, podziwiam, ale żadnemu nie zazdroścę. Niesamowite w kinie jest to, że możemy poznać tyle różnych światów i wrażliwości.

Może kiedyś zazdrościłem warunków, w jakich niektórzy realizują swoje filmy, lub częstotliwości pracy, ale teraz nie mam na co narzekać. Pomysłów mi nie brakuje i robię film po filmie. Zobaczymy, jak długo.

Ogląda pan filmy młodych reżyserów? Coś ciekawego dzieje się w młodym kinie?

Kibicuję Julce Kolberger, Łukaszowi Ostalskiemu i Kubie Radejowi. Nie prowadzę zajęć ze studentami, bo uważam, bez kokieterii, że najpierw coś trzeba w życiu zrobić. Ale gdybym miał uczyć młodych, zacząłbym od wspólnego oglądania „Simpsonów”. Proszę tak na mnie nie patrzeć! Tam jest wszystko. Poczucie humoru, zderzenie rzeczy komicznych i tragicznych, skrót montażowy, mistrzowska lekcja tego, jak oszołomić widza, a jednocześnie opowiedzieć mu coś mądrego o nas. O ludziach. To jest dla mnie podstawowy podręcznik reżyserii.

Co jest dla pana największym reżyserskim wyzwaniem?

Najtrudniejszy jest proces wymyślenia. Teraz, kiedy piszę scenariusz filmu o Wołyniu, muszę przyswoić bardzo dużo tekstów, wspomnień, prac historycznych. Muszę to sobie wyobrazić, a dalej – pogodzić się z tym, że było tak, a nie inaczej. I dlatego to trwa. Muszę ułożyć treatment filmu. Potem to pisanie to jest już – nie powiem, że przyjemność, bo w przypadku Wołynia to byłoby złe słowo – stanowczo prostsze. W przypadku „Drogówki” rok na napisanie scenariusza oraz konsultacje był wystarczający, a jeśli chodzi o Wołyń, to już siedzę nad tym od roku i dopiero zaczynam pisać. Film filmowi nierówny.

Skąd pomysł, żeby zrobić film o rzezi wołyńskiej?

Nie wiem, myślę że „Róża” mnie otworzyła troszeczkę. Chociaż gdy już ją nakręciłem, to pomyślałem: nigdy więcej filmu historycznego, bo robić historyczny film bez poważnych pieniędzy to masakra.

Takie kino wymaga finansowego rozmachu. Z drugiej strony reakcja widzów po „Róży”, głównie kobiet, sprawiła mi dużo satysfakcji. To jest emocjonalny film o miłości, ale o jego wadze decyduje tło, czyli opowieść o wynarodowieniu Mazurów. Dotknęliśmy chyba czegoś, co mógłbym nazwać misją kina. Podobnie jest z rzezią wołyńską. Mamy na jej temat teoretycznie sporą wiedzę, ale właściwie nie jest to wiedza powszechna. Dopiero film może wprowadzić temat Wołynia i Podola do masowej świadomości. Nie wierzę, że film może zmienić świat, ale wierzę, że może coś upowszechnić.

Kino historyczne jest w Polsce popularne, ale zupełnie innego typu niż pańskie. My, Polacy, kochamy filmy, które pokazują nas w pozytywnym świetle, jako naród ciemieżonych, lecz dzielnych ludzi.

Nie umiemy robić tego tak jak Amerykanie, którzy mimo wylewającego się z ekranu patosu potrafią utrzymać uwagę widzów i napięcie do końca. My z tym mamy problem – jak powstaje film o postaci historycznej, no to od razu pomnik i na kolana.

Nieraz mówi pan o „swoich aktorach”. To trafne określenie, bo powstało już coś na kształt aktorskiej drużyny Smarzewskiego. Z tymi samymi aktorami wchodzi pan w kolejne filmy.

Słyszę to ciągle i nie rozumiem, dlaczego to jest aż tak akcentowane. W końcu reżyserzy często pracują z tymi samymi aktorami.

W polskim kinie chyba wcale nie dzieje się tak często. Może Woody Allen ma „swoich aktorów”, ale polscy twórcy rzadko działają w ten sposób.

Nie wiem, ja się tego nie boję. Spójrzcie na Arka Jakubika. On w każdym moim filmie zagrał inaczej. To jest dobry aktor, który za każdym razem odsłania przed nami coś nowego.

Czego pan szuka w aktorze?

Realizmu. Szukam prawdy, żeby – jak to powiem, to szkliwo spadnie mi z zębów – aktor był, a nie grał. Jestem wyculony na fałsz przed kamerą. I tak naprawdę moja praca z aktorem polega na tym,



Od aktora Wojtek Smarzewski wymaga przede wszystkim, żeby był, a nie żeby grał. „Smarzol” nie znosi fałszu przed kamerą.

że przegadujemy scenariusz, motywacje postaci. To jest to, co przed zdjęciami chcę od aktorów uzyskać, a potem właściwie już nie musimy rozmawiać, bo otaczam się dobrymi aktorami i oni to wszystko realizują sami.

Bywa pan nieprzyjemny dla aktorów?**Bo na razie rysuje pan cukierkowy obraz tej współpracy. Potrafi pan tupnąć nogą, uderzyć w stół?**

Nie ma takiej potrzeby. Lubię swoją pracę, umiem reagować na stres, ale nie szukam konfliktu. Jest grupa ludzi, którym konflikt jest potrzebny, bo ich napędza. A ja jakoś inaczej dochodzę do tego, co jest na ekranie. I w ogóle nie przypominam sobie konfliktów.

A konfliktowy aktor byłby dla pana problemem? Taki, który się stawia i nie chce realizować pana zamysłów?

Pracuję z konfliktowymi aktorami.

A którymi?

Nie będę wymieniał nazwisk, nie podpuszczą mnie panie. No więc zdarzają się konfliktowi, ale większy problem miałbym z tymi, którzy gwiazdorzą. Nie mógłbym pracować z aktorem, który chciałby podporządkować sobie film. Wszyscy w zespole są równi. Widać to na przykład w „Domu złym” – sporo bardzo dobrych aktorów i wszyscy grają do jednej bramki.

Pan często powtarza, że nie lubi mówić o kinie, woli je robić, i że pana filmy przemawiają za pana. Tymczasem coraz częściej aktorzy

reżyserzy występują w mediach w charakterze ekspertów w rozmaitych dziedzinach. Czy aktor albo reżyser może być w ogóle autorytetem poza kinem?

Każdy może robić ze swoim życiem, co chce, i ze swoimi opiniami też. Ja mam inaczej. I już.

Nie korciło pana nigdy, żeby wykorzystać ten potencjał społecznego zaufania, który pan zyskał przez robienie dobrego kina, i wypowiedzieć się publicznie na ważne tematy?

Zyskałem społeczne zaufanie przez robienie filmów, które szkalują Polskę? Jak mi się to udało? (śmiech). Nie, to kompletnie nie moja bajka.

Zdarza się, że dziennikarze dzwonią z pytaniem, na kogo będzie pan głosował albo co pan sądzi o fotoradarach?

Rozmawiam tylko o filmach, i to z reguły przy okazji premiery. Na pewno nie rozmawiam o życiu prywatnym, bo to sobie oddzielam. Film nie jest dla mnie najważniejszy, wbrew pozorom. I nie jest też tak łatwo do mnie zadzwonić.

No to, korzystając z okazji, co pan sądzi o fotoradarach? Sporo teraz zamieszania wokół nich.

A to nie jest kampania „Drogówki”? (śmiech) Myślałem, że jest. Po premierze filmu pewnie policja szybko zabierze mi prawo jazdy i przestanę się przejmować fotoradarami. Będę jeździł autobusem. Ale te fotoradary wydają mi się tematem zastępczym. Nie chodzi o to, żeby było bezpieczniej, tylko żeby karać. Państwo też musi coś z siebie wykrzesać.

„Najłatwiej to nastawiać znaków”, mówi zatrzymany kierowca w „Drogówce”.

Zrobił pan film o państwie, które od wewnątrz toczy korupcyjna choroba. Czy jest pana zdaniem taka partia, która może w Polsce coś zmienić?

Interesują mnie ludzie, a nie partie. Polityka mnie nie interesuje. A już na pewno nie mam ochoty gadać o niej w gazecie.

Właściwie dlaczego nie?

Już pani powiedziała, że jestem anarchista. No więc jestem anarchista.

Ale to nie jest przekaz konstruktywny, jest bardziej odrzucaniem systemu niż wiarą w jakąś teorię. A ja pytam, jaka pana zdaniem jest alternatywa.

Należę do takiej licznej grupy ludzi, która potrafi zło nazwać, ale nie potrafi go uleczyć, i tego się trzymajmy.

Jest pan patriotą?

Myślę, że tak.

A co to dla pana znaczy być patriotą w dzisiejszych czasach?

Płać podatki, wychowuję ekologicznie dzieci.

Ale ekologia to po prostu zdrowy rozsądek. Tak można żyć i w Polsce, i w Honolulu.

Podatki płać w Polsce, nie w Honolulu. To naprawdę o czymś świadczy. Są też momenty, powiedzmy o zabarwieniu patriotycznym, kiedy się wzruszam. Na przykład gdy słyszę nasz hymn na bo-

isku przed meczem. Jest dużo cech, które lubię w Polakach.

Na przykład?

Lubię naszą gościnność. Cenię zaradność, honorowość, przywiązanie do tradycji. Sęk w tym, że te dobre cechy łatwo zmieniają się w wady. Bo od zaradności blisko do cwaniactwa. Tak jak od przywiązania do tradycji blisko do ksenofobii, od honorowości do pieniactwa. Dlatego boję się patriotycznego patosu.

Były takie chwile, że chciał uciec z Polski?

Był moment, kiedy myślałem, że wyjadę z kraju. To było wtedy, gdy bardzo długo nie mogłem zadebiutować. Czuję, że się marnuję, bałem się, że się zestarzeję i nie zrobię filmu, a gdzieś tam wierzyłem, że mam potencjał.

Wtedy pan wyjechał do Niemiec?

Tak, na krótko. Ale to był wyjazd zarobkowy. Wyjechałem, żeby zarobić pieniądze na wynajęcie mieszkania w Warszawie. O wyjeździe na dłużej myślałem później, ale wtedy niespodziewanie zacząłem robić filmy.

Czy wyobraża pan sobie, że kiedyś zrobi pan film nie o Polsce? Że przestanie nas pan kiedyś tą Polską dręczyć?

Dręczyć? Myślę, że gdybym miał robić film za granicą, to dotyczyłby Polonii.

Nie ma ucieczki przed Polską?

Nie. Wszystkie moje projekty są mocno osadzone w naszej rzeczywistości, ale przez to, że motywacje bohaterów są klarowne, wydaje mi się, że są uniwersalne. „Róża”, o której ktoś powiedział, że jest niezrozumiałą historią poza Polską, wciąż jeździ po świecie, jest zapraszana na festiwale do krajów tak odmiennych kulturowo, jak Indie, Egipt czy Zimbabwe. I nawet dostaje tam nagrody i wyróżnienia. Ja też chętnie oglądam filmy z innych zakątków świata, żeby się czegoś o nim dowiedzieć.

A gdyby pan miał uzupełnić takie zdanie: „Lubię Polskę, bo...”

„...bo to jest mój kraj, tu się urodziłem i tu pewnie umrę”.

Po nakręceniu „Róży” Smarzewski obiecał sobie, że odpocznie od kina historycznego. Obietnicy nie dotrzymał. Teraz pracuje nad scenariuszem filmu o rzezi wołyńskiej.



MATERIAŁY DYSKRYBICIONA

ANNA KOWALCZYK

Praca na papierze

W niemal każdym kraju Unii rośnie bezrobocie wśród młodych ludzi. Europostawie wpadli więc na pomysł, że można z nim **walczyć dyrektywami**.

W połowie stycznia Parlament Europejski przyjął tzw. pakiet na rzecz zatrudnienia młodych (Youth Employment Package), czyli zbiór zaleceń, który ma ułatwić trudny start na rynku pracy. Przekładając z brukselskiego na nasze, chodzi o to, że w ciągu najbliższych 2-3 lat Unia będzie próbowała skłonić kraje członkowskie, by osobom poniżej 25. roku życia najpóźniej w cztery miesiące po ukończeniu szkoły czy utracie zatrudnienia proponowały przyzwoitą pracę. A jeśli nie konkretne zajęcie, to przynajmniej kontynuowanie nauki albo odbycie praktyk zawodowych lub stażu. Jak na razie nikt nie zamierza mówić krajom członkowskim, jak

nie ma zajęcia od ponad roku. 7,5 mln osób w tym wieku ani nie pracuje, ani się nie uczy, ani nie uczestniczy w żadnych szkoleniach. W Polsce w listopadzie ubiegłego roku (ostatnie dane Eurostatu) bezrobocie w tej grupie wiekowej przekroczyło 28 proc. i znów było wyższe niż w 2011 r. A w tym roku i u nas prawdopodobnie pęknie kolejna granica 30-proc. bezrobocia wśród młodych. Nie licząc oplakanych skutków psychologicznych i społecznych takiego stanu rzeczy, już same straty ekonomiczne mogą przyprawić o zawrót głowy. Jak policzył unijny komisarz ds. zatrudnienia, spraw społecznych i integracji László Andor, gdy zsumuje się utracone korzyści dla gospodarek i wypłatę zasiłków, bezrobocie wśród młodych kosztuje państwa członkowskie ponad 150 mld euro rocznie, czyli więcej niż wyniosła np. dotychczasowa pomoc finansowa dla bankrutującej Grecji.

Politycy i eksperci rynku pracy są zgodni, że coś trzeba z tym wreszcie zrobić. Jednak pomysł wprowadzenia odgórnej gwarancji pracy wydaje się nie najszcześniejszy. Zastrzeżeń jest sporo. Po pierwsze, do unijnej definicji młodzieży. – Górny limit wieku ustalony na 25 lat jest za niski – uważa Monika Zakrzewska z Konfederacji Pracodawców Prywatnych „Lewiatan”. – Dziś osoby młode na rynku pracy to nawet te koło trzydziestki. I to do nich powinno być adresowane wsparcie – dodaje.

Po drugie, ekspertom nie podoba się sam pomysł gwarantowania pracy czy choćby stażu. – W warunkach gospodar-

ki wolnorynkowej to się nie może udać – mówi wprost Krzysztof Cibor z Fundacji Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych. – Minęły czasy, kiedy miejsce pracy dostawało się z rozdzielnika – wtóruje mu Agnieszka Bulik z agencji zatrudnienia Randstad ale też dodaje: – Prywatne firmy musiałyby dostać jakieś poważne zachęty finansowe, żeby przyjmować do pracy więcej osób młodych. I to właśnie może być klucz do choćby częściowego sukcesu unijnego projektu.

Jak pokazuje przykład Austrii, która notabene była konsultantem Komisji Europejskiej przy projektowaniu programu, takie dotacje dla prywatnych firm działają. Wiedeń w 2011 r. wydał na gwarancje zatrudnienia dla młodych prawie 40 proc. budżetu przeznaczonego na rozwój rynku pracy. Dziś może się poszczycić jedną z najniższych stóp bezrobocia w tej grupie wiekowej (8,5 proc.).

Komisja Europejska liczy, że inne kraje, wzorem Austrii, też same znajdą środki, ale zamierza przy tym uruchomić dodatkowe fundusze na ten cel. Dyskretny urok unijnych pieniędzy bywa jednak ulotny. – Owszem, osoby w trudnej sytuacji zostają zatrudnione, ale wiele tych miejsc pracy znika, kiedy tylko kończą się dopłaty – zauważa Krzysztof Cibor.

Jest jeszcze inny problem z tym związany: – Konieczność zatrudnienia po stażu doprowadziła m.in. w Polsce do tego, że stał się martwą instytucją – przekonuje Monika Zakrzewska z „Lewiatana” i precyzuje: – Pracodawcy nie chcieli brać stażystów z urzędów pracy, bo obawiali się, że zostaną zmu-



PEDRO ARMESTRE/AFP

szeni do zatrudnienia osób, które się nie sprawdziły. Zamiast pieniędzy i stażysty woleli mieć święty spokój.

Jak to robią najlepsi

Gorączkowe zabiegi unijnych urzędników, żeby zagwarantować młodym pracę, być może w ogóle nie są potrzebne. Sytuację młodych niepracujących paradoksalnie poprawia i będzie poprawiać zapas demograficzny Europy. Tam, gdzie na rynek wchodzi pokolenia niżej (tak jak np. teraz w Niemczech), praca dla młodych jest. Możliwe więc, że w starzejącej się Europie za kilka lat problem sam się rozwiąże. Poza tym nawet tam, gdzie gospodarka zwalnia albo i wpada w recesję, sytuacja młodych nie musi być tragiczna. Wystarczy, że system edukacji próbuje nadążać za tym, co się dzieje na rynku. My ciągle mamy z tym problem, ale już za naszą zachodnią granicą wiedzą, jak to się robi. Niemcy, ale też Austria-

cy czy Duńczycy, słyną z tzw. systemu dualnego, czyli takiej edukacji, która teorię od razu łączy z praktyką zawodową, a jednocześnie zobowiązuje pracodawców do zatrudniania niedłusiejszych praktykantów. Do tego Niemcy nieustannie badają, na jakie zawody jest i powinien się utrzymać popyt. Od ponad 20 lat monitorują też losy absolwentów szkół i uczelni. I wyciągają wnioski.

Na polskim podwórku

Polski resort pracy i polityki społecznej intensywnie pracuje nad stworzeniem nowego systemu wsparcia dla młodych bezrobotnych i zapewnia, że jeśli Unia zażąda od Polski gwarancji zatrudnienia lub dalszego szkolenia najpóźniej cztery miesiące po rejestracji w urzędzie pracy, będziemy w stanie sprostać temu już w 2014 r. Głównie dzięki stażom (nawet rocznym), dotowanym kursom i studiom podyplomowym, a także

Politycy znów mają szczęście. Sytuację młodych niepracujących paradoksalnie poprawia i będzie poprawiać zapas demograficzny Europy. Tam, gdzie na rynek wchodzi pokolenia niżej, praca jest.

dofinansowaniom i pożyczkom na założenie własnej działalności. Zwłaszcza w tych ostatnich szykuje się spora zmiana, bo zbyt wiele firm krzaków powstało za bezzwrotne dotacje na otwarcie biznesu. Istniały tylko po to, by nie musieć zwracać otrzymanych pieniędzy (często nie przynosząc złotówki dochodu), a potem zwiły się, rozwiewając złudzenie, że nowo powstałe miejsce pracy utrzyma się dłużej. Wprowadzenie korzystnie oprocentowanych, ale jednak zwrotnych pożyczek ma położyć kres tej fikcji.

W ubiegłym roku w 23 powiatach Ministerstwo Pracy uruchomiło pilotaż rozwiązań zbliżonych do tych proponowanych przez UE. Teraz szykuje ogólnopolski portal internetowy z ofertami praktyk zawodowych. Dzięki niemu wyszukanie miejsca, gdzie można zdobyć niezbędne doświadczenie i być może podjąć pierwszą pracę, ma się stać kwestią kilku kliknięć.



KANADA

Narodowy liść

Liść klonu to najbardziej rozpoznawalny symbol Kanady. Przez pomyłkę na nowych banknotach wyemitowanych w tym kraju znalazły się liście klonu zwyczajnego – podobnego do kanadyjskiej odmiany, lecz rdzennie niezwiązanego z tymi terenami. Choć oficjalnie liść na banknotach „jest jedynie stylizacją” i „nie odnosi się do konkretnego gatunku”, to przypadkowo wygląda dokładnie jak klon zwyczajny – ironizują botanicy. Odkąd w listopadzie Kanada wprowadziła nowe, plastikowe banknoty, nie słabną głosy krytyki. Powodem nie jest nowatorskie tworzywo (zastosowanie polimeru wydłuża żywotność banknotów nawet dwukrotnie), lecz kontekst obyczajowy. Bank Narodowy oskarżono już wcześniej o rasizm – znalazł się on pod ostrzałem krytyków, kiedy wycofał nominał, na którym znajdowała się kobieta o azjatyckich rysach. Dziś toczy się dyskusja, czy gatunek drzewa, które pochodzi z Europy, powinien reprezentować Kanadę. Na szczęście gdyby Kanadyjczycy podjęli decyzję o zmianie grafiki, plastikowe pieniądze łatwo jest poddać recyklingowi.

→ Basia Zaborowska-Czajka



WIELKA BRYTANIA, IRLANDIA

Konina w burgerach

Z brytyjskich i irlandzkich supermarketów Tesco usunięto burgery, po tym jak do opinii publicznej przedostała się wiadomość, że w składzie wołowych kotletów znaleziono wieprzowinę i koninę. W niektórych z nich konina stanowiła aż 29 proc. całości. Dla wielu informacja jest szokująca, ze względu na istniejące w Europie Zachodniej tabu związane z jedzeniem końskiego mięsa. Wiadomość wywołała również gwałtowne reakcje ze strony żydowskiej i muzułmańskiej społeczności, wśród których obowiązuje zakaz spożywania mięsa wieprzowego ze względów religijnych. Wieprzowe i końskie DNA znalazło się w składzie najprawdopodobniej pod postacią mączki proteinowej, dodawanej jako wypełniacz powiększający masę sprzedawanego produktu. Czy na pewno wiemy, co jemy? → bzc



SIEĆ

Trzecie oko Facebooka

Facebook uruchomił nowe narzędzie dla podglądaczy – Graph Search, wyszukiwarkę treści udostępnionych przez znajomych. Opiera się ona na aktywności użytkowników serwisu – tym, gdzie się meldowali, z kim się kontaktowali i jakie strony „polubili”. Pozwala ona na skojarzenie kilku kryteriów – np. „zdjęcia wykonane w Egipcie, na których jestem ja i moi znajomi”. Ale też „znajomi znajomych, samotni i lubiący seks”. Firma Zuckerberga chce w ten sposób zwiększyć przychody – wyniki wyszukiwania łatwo wykorzystać do reklamowania różnych produktów. Tak teraz robi np. Google, dla którego Graph Search na Facebooku może stanowić poważne wyzwanie. Ale jeszcze poważniejsze niebezpieczeństwo kryje się w niej dla samych użytkowników. Choć teoretycznie mają być zachowane wszelkie reguły prywatności, to jednak w wynikach mogą pojawić się „lajki” stron, o których dawno już zapomnieliśmy lub kliknęliśmy w nie dla żartu. Żartu, którego może nie zrozumieć pracodawca prześwietlający kandydata na pracownika. Wyszukiwarka będzie stopniowo udostępniana wszystkim użytkownikom Facebooka. → peka

INDIE

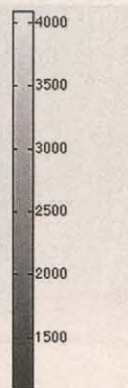
Rushdie na cenzurowanym

Choć prawda zagrożenie związane z fatwą Chomeiniego po publikacji „Szańskich wersetów” minęło, jednak Salman Rushdie nie cieszy się popularnością wśród muzułmanów nieprzerwanie od ćwierć wieku. Po raz kolejny protestują oni przeciw obecności autora na Dżajpurskim Festiwalu Literatury. Rok temu Rushdie zrezygnował z udziału, w tym roku zapewne też tak się stanie, bo grupy muzułmanów grożą zamachami w czasie planowanego na ten tydzień festiwalu i demonstracjami (te w Indiach rzadko mają charakter pokojowy). Co więcej, wyznawcy Allaha żądają, by z udziału w wydarzeniu wycofali się także czterej autorzy, którzy czytali na głos fragmenty z „Wersów” w zeszłym roku, by solidaryzować się z szykanowanym Rushdiem. Sam pisarz odwiedzi Indie i tak, bo weźmie udział w promocji filmu nakręconego na podstawie „Dzieci północy”. Oskarża jednocześnie Narodowy Kongres Indyjski, rządzącą partię, o rozdmuchiwanie problemu wśród indyjskich muzułmanów, w celu zbierania punktów wyborczych. → Szymon Mucha

No Coding



Rate 2/3 Reed-Solomon Coding



STANY ZJEDNOCZONE

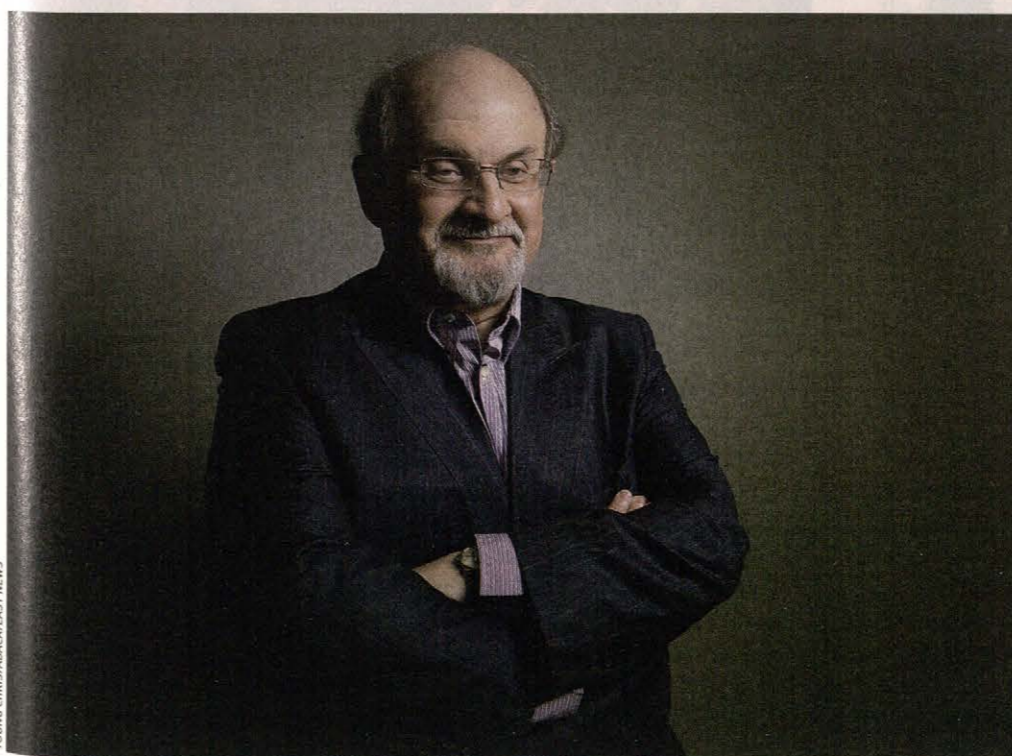
„Mona Lisa” w kosmosie

Słynny obraz Leonarda da Vinci został przesłany za pomocą promieni lasera na odległość ponad 384 tys. km – na orbitę Księżyca. W ten sposób naukowcy NASA przetestowali nowy i rewolucyjny pomysł komunikacji na wielkie odległości. W przyszłości będzie można w ten sposób przysyłać duże paczki danych, a także kierować sondami kosmicznymi. Najpierw obraz podzielono na części wielkości 150 na 200 pikseli. Laser w laboratorium Goddard Space Flight Center w stanie Maryland wysłał je z prędkością 300 bitów na sekundę do sondy Lunar Reconnaissance Orbiter. Tam obraz został zrekonstruowany i wysłany z powrotem na Ziemię drogą radiową. To pierwsza udana próba transmisji tego typu – zapewniają przedstawiciele NASA. I szykują już kolejną sondę wyposażoną w laserowy sprzęt do komunikacji → peka

STANY ZJEDNOCZONE

They love „Gwizdek”

Co wiadomo o festiwalu filmów niezależnych w Sundance? Na pierwszym miejscu w serii skojarzeń zawsze znajduje się lista najsłynniejszych, którzy zdobyli na nim nagrodę. No, bo rzeczywiście zdobyć taką samą nagrodę, jak Quentin Tarantino, bracia Coen czy Jim Jarmusch, to spore wyróżnienie. Główna nagroda wśród dokumentalnych filmów krótkometrażowych dla Grzegorza Zaricznego za „Gwizdek” to powód do dumy. Niespełna 30-letni reżyser jest wychowankiem szkoły filmowej Andrzeja Wajdy. „Gwizdek” to opowieść o chłopaku, którego hobby jest sędziowanie meczów piłki nożnej. Kiedy zostaje sędzią meczów ligi okręgowej, musi zmagać się z moralnymi dylematami. Jurorów Sundance film zaskoczył głębią, a jednocześnie poczuciem humoru. – We love this movie – powiedział jeden z jurorów, wręczając nagrodę. Gratulujemy! → szm



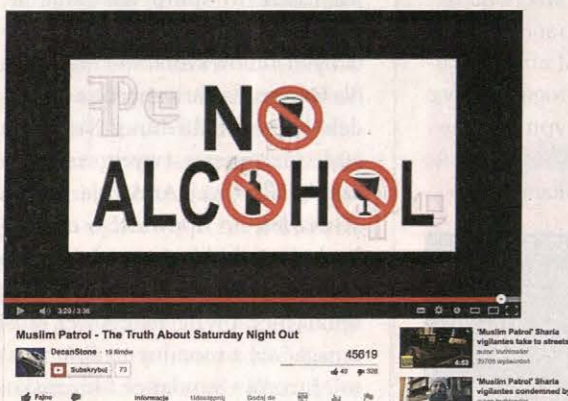


KOREA PÓLNOČNA

Wolność pozorowana

Od kilku dni Korea Północna pozwala przyjeźdnym, w tym dziennikarzom, używać własnych telefonów komórkowych. Do tej pory przy wjeździe musieli je deponować na granicy. Na tym koniec dobrych wieści. Wjeżdżając, trzeba kupić specjalną, miejscową kartę SIM, pozwalającą jedynie na wykonywanie połączeń międzynarodowych. W dalszym ciągu nie będzie można korzystać z Internetu ani dzwonić na lokalne numery. → bcz

JUNG YEON-JEONG



LONDYN

Patrol niezbyt słoneczny

Muzułmański patrol to nieformalna grupa młodych brytyjskich ekstremistów, którzy chcieliby, żeby na ulicach Londynu obowiązywało prawo szariat. Umieszczony przez nich w Internecie film pt. „The truth about saturday night out” zaczyna się charakterystyczną melodią, przerywaną raz po raz odgłosami wybuchów. Ubrani po europejsku czarnoskórzy muzułmanie zaczepiają przechodniów w okolicy Whitechapel, zakazując picia alkoholu i noszenia ubioru, który uznają za niegodny. Informują też, że jest to teren muzułmański. To niejedyny film tej grupy: w Internecie można znaleźć klip, w którym obrażają modnie wyglądającego chłopaka wyzywając go od „pedałów”. Jest to marginalne, ale niepokojące zjawisko, którym zainteresowała się już brytyjska policja. → bcz



NOWA ZELANDIA

Mega debiut

Modelki ubrane w mundury i muzyczna oprawa, stylizowana na etniczną muzykę Nowej Zelandii. W taki huczny sposób zainaugurowano nowy portal wymiany plików – Mega. Już pierwszego dnia zarejestrowało się w nim ponad pół miliona użytkowników. Sądząc jednak po lawinowo rosnącym zainteresowaniu serwisem, to dopiero skromny początek. Stworzony przez Kima Dotcoma program wzorowa-

ny jest na portalu, który przyniósł mu sławę. Megaupload zamknięto w zeszłym roku pod naciskiem Stanów Zjednoczonych, a sam Dotcom został oskarżony o łamanie praw autorskich, za co grozi mu 20 lat więzienia. Tymczasem nowy portal reklamowany jest jako „większy, lepszy, szybszy, mocniejszy i bardziej bezpieczny”. Ale czy okaże się również bezpieczniejszy dla samego twórcy, czas pokaże. → bcz

MICHAEL BRADSHAW

Mariusz Ziomecki

Moje lekcje realizmu, czyli płaca minimalna



FRANCISZEK MAZUR

Czy ten cholerny rząd i Sejm muszą podnosić nam koszty akurat TERAZ, gdy gospodarka spowalnia?

Przez większość życia byłem dziennikarzem i do niedawna nie wyobrażałem sobie, że mógłbym wykonywać inny zawód. Kocham tę krzykliwą branżę i nigdy nie żałowałem moich wyborów: świat gazet, stacji radiowych i telewizyjnych słuszy mi dobrze przez cztery dziesięciolecia. A jednak półtora roku temu zdecydowałem się na rzecz niewyobrażalną.

Otworzyłem biznes. Sprzedałem mieszkanie i dorobek praktycznie całego życia włożyłem w rodzinną firmę dystrybucyjną. Nie ma ona nic wspólnego z mediami. Nie jestem biznesowym gigantem: zatrudniamy raptem około 10 osób. Nie chcę się rozpisywać, dlaczego wszedłem do tej rzeki; to oczywiste w czasach, gdy tytuły prasowe znikają, a określenie „niezależny dziennikarz” znaczy po prostu „bezrobotny”. Nie jest też istotne, co konkretnie sprzedajemy z moim synem i pasierbami. Idzie mi tu o to, że wyjście poza dziennikarstwo, nawet jedną nogą, zaskakuje zmienia moje patrzenie na świat.

Nie piszę „zmieniło”, bo to jest proces, subtelny i początkowo mało zauważalny. On wciąż trwa i nie wiem, dokąd mnie intelektualnie zaprowadzi. Nawet trochę się obawiam, że na koniec mogę stać się nudnym konserwatystą, jak wielu rówieśników czy – to polska osobliwość – aż tylu młodszych kolegów po piórze.

Już widzę, że inaczej postrzegam gospodarkę, politykę, państwo i społeczeństwo, trochę też zmienia się mój pogląd na naturę ludzką. Przez całe życie starałem się unikać liczenia pieniędzy, dziś nie mam wyjścia. Muszę wiedzieć, czy mamy na wypłaty, zapłacenie rachunków i oczywiście na podatki.

Jako dziennikarz zawsze byłem zwolennikiem podnoszenia płac minimalnych. W imię solidaryzmu społecznego, bo gdy gospodarka rośnie, najbardziej poprawia się najbogatszym, tym z dołu prawie nic. Nie kupowałem poglądu konserwatystów, że urzędowe korygowanie tej niesprawiedliwości niszczy miejsca pracy. I co? Właśnie kończy się styczeń 2013 r., wynagrodzenie minimalne wzrosło o stówkę, do 1600 zł.

Mizerny to wzrost dla pracownika, ale nas boli. Bo automatycznie rośnie też ZUS i inne składki, które płacimy za sprzedaw-

ców i za siebie. Wzrosną też różne świadczenia. Na koniec miesiąca w naszej niewielkiej firmie robi się z tego kilka tysięcy złotych dodatkowych obciążeń – a koniunktura akurat słabnie. Nawet taki optymista jak ja nie da głowy, że tę zimę uda się przejść suchą stopą.

Nie zapominam o moich dawnych przekonaniach – ale mężczy mnie elementarne pytanie. Czy ten cholerny rząd i Sejm muszą podnosić nam koszty akurat TERAZ, gdy gospodarka spowalnia? Nie mogli opóźnić tej operacji, zaczekać chociaż do wiosny? Według mądrali drugie półrocze ma być lepsze. My dotrwamy, ale chyba nie każda firma go doczeka.

Politycy postawili nas i tysiące innych pracodawców przed paskudnym wyborem. Możemy kogoś zwolnić, by utrzymać fundusz płac mniej więcej na dotychczasowym poziomie. Albo możemy zmniejszyć ludziom premie, które są częścią ich dochodów. Ale zabieranie jest psychologicznie trudne dla obu stron. Może więc przestać dawać etaty i wzorem konkurentów przejść na umowy śmieciowe? Ale wtedy spadnie jakość obsługi, firma zacznie się cofać... Na razie przyglądamy się sytuacji, wstrzymując oddech.

Sporo jest spraw, na które obecnie patrzę inaczej. Choćby ratowanie LOT-u; kiedyś byłbym zdecydowanie za. Dziś wiem, że szkoda pieniędzy, i tak nie uda się uratować tego przewoźnika. Podobnie z podatkami: do niedawna uważałem, że ich stawki w Polsce są umiarkowane; teraz przekonałem się, że jeśli zliczyć wszystkie opłaty i urzędowe haracze, to jesteśmy w grupie państw takich jak Szwecja, gdzie dani-ny pochłaniają około 50 proc. wypracowanych dochodów – i wciąż rosną.

Firma daje mi bolesne lekcje realizmu. Ale czasem też krzepi. Na przykład pokazując, że z ludzkością i rodakami nie jest wcale tak źle, jak myśleliśmy, zakładając system monitoringu. Nasz towar mieści się w dłoni, wydawało się, że kradzieże będą problemem. Tymczasem jest to u nas zjawisko marginalne.

Oby to się nie zmieniło do końca tej okropnej zimy. Ludzie oszczędzają coraz bardziej. ☹

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o ekonomii.

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

Zbyt ciepły sen

Nawet nie da im się porządnie wyspać. Globalne ocieplenie tak namieszało zwierzętom, że jedne wybudzają się z zimowego snu zbyt wcześnie, a inne zbyt późno.

Tego jeszcze nie było. Niedźwiedzie, które zimę tradycyjnie spędzają w gawrze, pogrążone w słodkiej hibernacji, w tym roku wędrują rozbudzone po Bieszczadach. Przynajmniej tak mówią turyści wracający z ferii. – Coraz częściej niedźwiedzie są aktywne zimą, szczególnie w Bieszczadach – potwierdza pogłoski dr Nuria Selva z Instytutu Ochrony Przyrody PAN w Krakowie. – Prawdopodobnie powiązane jest to z łagodniejszymi zimami.

Skutki zmian mogą być zdumiewające. Takie jak na przykład w Górach Skalistych w amerykańskim stanie Kolorado. Z powodu ocieplającego się klimatu tamtejsze świstaki przez 30 lat badań kończyły hibernację coraz wcześniej. Miały zatem więcej czasu, by najeść się przed kolejną zimą i odchowić młode. Ich masa rosła z roku na rok. Otluszczone świstaki w lepszym stanie kończyły hibernację. Mniej ich ginęło z głodu. W efekcie liczebność zwierząt zaczęła gwałtownie rosnąć. To zaś miało wpływ na stan roślinności górskich łąk, którą żywią się świstaki.

Jeszcze bardziej zaskakujące konsekwencje przyniosło ocieplenie susłom z kanadyjskiej prowincji Alberta. W jego wyniku zwiększyła się tam wilgotność klimatu. Wiosną pojawiły się gwałtowne zawieje i zamiecie. Śniegu spadało więcej, więc mimo wyższych temperatur topniał on później. Przez 20 lat badań susły z Alberty pozostawały zatem w hibernacji coraz dłużej. Stan zwierząt, przeciwnie niż stanu świstaków z Kolorado, z roku na rok się pogarszał.

A co się stanie z bieszczadzskimi niedźwiedziami? Z pewnością zimowe pobudki mają na nie wpływ. Jaki? Do wiemy się od naukowców, którzy dopiero zaczynają badać to zjawisko.

CYRIL RUOSO/BIOSPOTO/AFP



JERZY ZIEMACKI, ILUSTRACJE AGATA „ENDO” NOWICKA

Narkohisteria

Śmierć Stasia Fryczkowskiego, 16-letniego ucznia warszawskiego liceum, stała się pożywką dla mediów. Wywiady z matką chłopca, która uważa, że do samobójstwa pchnęło go uzależnienie od marihuany, pojawiły się w telewizji i w prasie. Nakręcono spiralę sensacji, której nikt już nie potrafi zatrzymać. Postanowiliśmy się przyjrzeć zagadnieniu „młodzi i narkotyki” z perspektywy tych, których nikt nie zapytał o zdanie – rówieśników Stasia.

Stoimy pod liceum K., niedaleko reprezentacyjnego Krakowskiego Przedmieścia. Jest nas sześcioro. Żeby zgrzać lufę, trzeba się kitrać. Bo monitoring. Gadamy. – Trawka nie jest bardziej szkodliwa niż tytoń, alkohol czy nawet kawa. Palisz trawkę i wszystko jest spoczi – tłumaczy 17-letni Zinek, który wyjmuje szklaną lufkę, żeby ją nabić. I ciągnie: – Byłem w te wakacje po raz pierwszy w Pradze. Tam wszyscy jarają na luzie, w parkach, na ulicy. Młodzi i starzy. A my się musimy chować po bramach. I to jest słabe. Zinek trawę hoduje sam. Jego ulubione odmiany to: purple haze, amnesia, white widow i cheese. – Moi ulubieni raperzy palą trawkę. Snoop Dogg nie wychodzi bez macha z domu. Wiesz, ile przejechał 2Pac? Marihuana to element mojej osobowości – deklaruje Zinek i bierze macha. Przekazuje lufkę dalej. Po wszystkim zapodają sobie krople do oczu, żeby nie było widać, że są na haju. Zaraz wracają na zajęcia.

Marysia ma 18 lat. Trawkę pali od dwóch lat. – Marysia pali maryską! Dobre ziółko to jest podstawa: fajna energia, pozytywne nastawienie, luz i magia – mówi Maria, koleżanka Zinka. Lubi zapalić sobie nawet o 7 rano. Do szkoły jeździ kolejką miejską. Pa-

trzenie przez okno, obserwowanie ludzi, słuchanie muzyki jest po marihuanie absolutnie fascynujące. Dorabia jako modelka: ostatnio grała w teledysku polskiego rapera i reklamowała sklep dla transwestytów. Za każde takie zlecenie dostaje 200 zł. Stale brakuje hajsu. Na kawę (Starbucks) i papierosy (Lucky Strike), plus na ziółko (najlepiej amnesia). Ziółko tanie nie jest. Gram kosztuje 30 zł, piątki, czyli 5 g, 150 zł. Akcesoria to już grosze. Bletki, czyli bibułki, kosztują nieco ponad złotówkę, tyle samo trzeba zapłacić w kiosku za szklaną lufkę.

Ale wydać kasę warto, bo, jak mówi Maria, kiedy jest ziółko, jest najlepiej: – Pozytywnie, tiru-riru, śmichu-chichu. Z przyjaciółmi fajnie jest zająć się bongo. Dużo dymu – przekonuje. Marysia chce zdawać maturę z wiedzy o kulturze i filozofii. Nie ma problemów z nauką. W czym więc problem?

Syn, matka, tragedia

Stasiek Fryczkowski, 16-letni uczeń liceum przy Bednarskiej, zabił się przez marihuanę. Tak uważa jego zrozpaczona matka, pisarka Anna Fryczkowska. Chciał zostać filozofem, pisarzem albo mnichem. Ale wybrał śmierć. Umarł w teatralnym geście: powiesił

się w Wigilię, 24 grudnia 2012 r., w małym pokoju, na pasku przyczepionym do klamki szafy. Przez całe święta rodzice 16-latkę robili tylko dwie rzeczy: przygotowywali pogrzeb i przeszukiwali pokój syna. Chcieli zrozumieć, dlaczego ich Staś zdecydował się odebrać sobie życie. Przecież byli dobrą rodziną. Przejrzeli szuflady i skrytki. Przeczytali jego SMS-y, e-maile, wiadomości na Gadu-Gadu. Włamali się na konto na Facebooku. Rodzinne śledztwo przyniosło rezultaty: okazało się, że Staś palił lolki i bakał. Kupował kilka gramów miesięcznie. Rodzice nagle zrozumieli wszystko: ich syn był marihuanistą. To dlatego się zabił.

Fryczkowska odkrywa prawdę nie tylko o swoim dziecku, ale o całym pokoleniu Stasia. Okazuje się, że dzisiejsi licealiści regularnie palą marihuanę. Matka chłopca postanawia podzielić się prawdą z mediami, udzielając wywiadów i postulując założenie fundacji. Na pogrzebie Stasia zjawia się ekipa TVN-u. W jednym z programów Fryczkowska obrazowo opowiada o rodzinnej tragedii: mówi, jaki kolor miała skóra wisielca. Oprowdza ekipę telewizyjną po pustym pokoju. Pokazuje szafę, na której odebrał sobie życie. Przekonuje, że była to wina mari-



huany nasączanej przez dilerów heroina, muchozolem i tłuczonym szkłem. Dziennikarze węższą w osobistych rzeczach Stasia, publikują zdjęcia, ujawniają fakty z prywatnego życia. Przekaz jest jasny – miękkie narkotyki zabijają dzieci. Żurnaliści odważnie wyrokują: Staś zabił się z powodu psychozy ponarkotkowej. Nie szukają problemu głębiej. Choćby w zagubionej duszy 16-lata. – Staś był osobą bardzo inteligentną, wrażliwą i czytana. Miał wyjątkowe poczucie humoru. Zawsze trafiał w punkt. Kiedy teraz myślę o jego śmierci, widzę w tym samobójstwie prowokację. Znów trafił w punkt. W bardzo czuły punkt. To było prze-myślane i spektakularne. Może nawet trochę cyniczne – mówi uczennica z liceum, do którego chodził Staś. Rówieśnicy podziwiali go za świetny muzyczny gust. Jego ulubionym zespołem był Of Montreal, psychodeliczny indie pop, którego fani piszą na forach, że słuchają tej muzy, bo daje lepszy high niż kwas. Znajomi wspominają, że przed Wigilią życzył wszystkim smutnych świąt: pół żartem, pół serio, jak zawsze.

Matka nie zaprzecza, że miewał silne lęki i bywał roztrzęsiony. Przychodził do jej sypialni cały zapłakany. Umiała mu pomóc w „profesjonalny” sposób: wykupywała wielogodzinne spotkania u psychiatrów, psychologów, psychoterapeutów, pedagogów. Staś jednak wyjątkowo niechętnie rozmawiał z tymi ludźmi. Powtarzał, że gardzi „uczuciami z podręcznika”. Ale zażywał przepisane przez psychiatrów antydepresanty. Wystarczy spojrzeć na ulotki informacyjne tych leków: należy zachować szczególną ostrożność, zwłaszcza w przypadku najmłodszych pacjentów, wśród których notuje się najwięcej prób samobójczych.

Media bardziej jednak kręci temat marihuany. I nie tylko media. Gdzie dochodzi do nieszczęścia, zjawiają się niezawodni politycy. Pod koniec stycznia Solidarna Polska zorganizowała konferencję pod hasłem „Ile jeszcze osób powiesi się przez Paliko-

ta?”. Posłowie SP uważają, że Ruch Palikota postulujący legalizację marihuany jest moralnie współodpowiedzialny za tragedię Fryczkowskich. I dlatego złożył wkrótce w Sejmie projekt ustawy zaostřejający kary za posiadanie narkotyków (a więc zamiast depenalizacji – ostra kryminalizacja).

Czego nie wiemy o dzieciakach

Anna Fryczkowska ma prawo szukać sensu w śmierci syna. I odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego?”. W obliczu takiej tragedii nikt nie powinien rościć sobie prawa do oceny jej zachowania. Ale, jak tłumaczy psycholog Artur Lu-

dobrego smaku albo i pospolitej ludzkiej przyzwoitości, sprytnie zasłaniając się przy tym dobrem dzieciaków zagrożonych plagą marihuanowego uzależnienia, które zalewa Polskę? No bo jeśli rzeczywiście zależy nam na dzieciakach, dlaczego z nimi o tym nie porozmawiamy? Może nie potrafimy. Łatwiej jest przecież wprowadzić ostrą kryminalizację, nadzorować i karać, niż spróbować odpowiedzieć sobie na niewygodne pytania.

Jeden z uczniów liceum przy Bednarskiej relacjonuje nam przebieg lekcji wychowawczej, która odbyła się kilkanaście dni po tragedii. Nauczyciel-



tarewicz (wywiad ze specjalistą publikujemy na s. 24), w obliczu tak dramatycznego wydarzenia niezwykle trudną sztuką jest przejście z poziomu emocjonalnego na poziom racjonalny. Matka ma prawo do wyrażania przesadnych sądów i uogólnień. Ale czy media i politycy w obliczu tej samej tragedii są zwolnieni ze zdroworozsądkowego myślenia? I czy w nakręcaniu narkohisterii nie przekraczają granic

ka zapytała: „Co sądzicie o śmierci Stasia?”. Cisza. „Nie chcecie o tym porozmawiać?”. Cisza. „Nie macie żadnych uwag, przemyśleń?”. Cisza. „Nie jesteście zasmuceni tą sytuacją?”. W końcu odezwał się głos z sali lekcyjnej: „No jesteśmy. Bo to tragiczna, smutna sprawa. Pewnie, że tak. Ale co możemy o tym powiedzieć? Gdybym miał problem, nie przyszedłbym przecież o tym pogadać do pani albo do rodziców”.

O dzisiejszych nastolatkach wiadomo niewiele. Z jakiegoś powodu dorosłym trudno jest nawiązać z nimi kontakt. Stąd pokusa uproszczeń i tworzenia chwytliwych teorii. A że to zagubione pokolenie nastolatków, które dojrzewają w wyjątkowym momencie dziejów: u progu nowej epoki technologicznej, w świecie bez obiektywnych wartości, skazanym na relatywizm i hedonizm. Że ludzie urodzeni po 1995 r., nazywani Generacją Z (zostały nam już tylko Ż i Ż!), nastawieni są na konsumpcję, zakochani w luksusowym życiu, a przy tym skłonni do depresji i nadwrażliwi. Że to pokolenie dorastające w czasie kryzysu ekonomii i etyki, wylewające żale na portalach społecznościowych, dzięki kupionym na Gwiazdkę tabletom i smartfonom. Może więc trzeba przejrzeć fora, by dowiedzieć się czegoś więcej?

Niesłyszalny głos pokolenia Z

Na Facebooku nastolatki wyrażają współczucie. „Szkoda gości”. Wyśmiewają teksty prasowe i programy telewizyjne. „Nie mają pojęcia, o czym mówią”. Piętnują matkę Stasia. „Nie można tak się odzierać z intymności”. Ale część z nich przyznaje, że rozumie jej emocje. Martwią się też, że będą musieli kilka razy w semestrze oddawać mocz do badania. Opowiadają o zmianach w szkole. Jedna z uczennic stołecznego liceum narzeka, że zrobiła się nagonka. Podczas lekcji wychowawczyń zapytała, czy w klasie są osoby, które mają kolegów w liceum przy Bednarskiej. Gdy jedna z dziewcząt przyznała się, że tak, zaczęła być szczegółowo przepytwana. Według niej uczniowie z Bednarskiej są obecnie naznaczeni piętnem narkopodejrzanych. A każdy, kto ma w owym liceum kolegów, również z automatu staje się podejrzany. I musi odpowiadać na pytania o stosunek do marihuany. Pedagodzy muszą mieć przecież poczucie, że trzymają rękę na pulsie. I udowodnić, że o narkotykach wiedzą więcej niż to, o czym

usłyszeli w popularnych programach interwencyjnych. A z tych dowiadujemy się oczywiście, że narkotyki zabijają. I że mamy do czynienia z plagą.

Kiedy słucha się Marysi i jej kolegów, rzeczywiście można dojść do takiego wniosku. Dziewczyna zapewnia, że marihuana jest dobra na zmęczenie, depresyjki, ból głowy i bóle brzucha podczas okresu. Opowiada, że w jej liceum jest aktualnie trzech „dilerów online”. To znaczy, że mają ziółko. Na każdej przerwie można ich złapać na korytarzu. To uczniowie szkoły. Mają słabe oceny, ale dobre jaramie: 30-

Z ankiet przeprowadzonych w szkołach wynika, że marihuany próbował co czwarty nastolatek. Regularnie pali co dziesiąty.

40 zł za gram. Dilerzy są lubiani, bo robią biznes i dobry uczynek. Wiadomo, że kołowanie zioła na ulicy to jest straszny przypał.

Okazuje się jednak, wbrew narkohisterycznym doniesieniom, że większość dzieciaków pozostaje czysta. Weronika, nastolatka z innego stołecznego liceum, opowiada: – Zdarza się, że ktoś coś zapali na imprezie, ale to nie oznacza, że wszyscy to robimy. To kompletnie fałszywy obraz. Ja na przykład nie mam na to ochoty, bo bardzo lubię rysować i nie chciałabym, żeby mój styl kształtował się albo zmieniał pod wpływem jakichś substancji. Nie potrzebuję tego, może kiedyś spróbuję, ale to jeszcze nie ten czas. Z kolei 16-letni Janek z krakowskiego liceum tłumaczy: – Wiem, że niektórzy już próbowali, ale ja nie mam na to czasu. W szkole jest bardzo dużo zajęć, ciężko wyrobić się ze wszystkimi zaliczeniami. Poza tym mamy świetne fakultety i zajęcia dodatkowe, ciekawe wyjazdy... Dlatego dobarwianie rzeczywistości marihuaną nie jest mi potrzebne. Może to za-

leży trochę od szkoły, od towarzystwa. Ale nie wydaje mi się, żeby większość moich rówieśników paliła. Wprost przeciwnie – moim zdaniem spróbował co piąty.

Na pytanie, dlaczego nigdy nie sięgnął po dżointa, 18-letni Michał z warszawskiego liceum plastycznego przy Smocznej odpowiedział: – Moi rodzice nigdy nie przedstawiali mi marihuany w dramatycznym, złowieszczym świetle. A nawet nie tak dawno ojciec zachęcał mnie, żebym spróbował trawy. Michał śmieje się przekornie: – On zawsze daje mi zły przykład... Może dlatego nie czuję potrzeby, żeby palić. Zresztą nie palę też papierosów i nie piję alkoholu. Dlaczego? Bo aktualnie moją używką jest muzyka. Zerknij na mój profil na Facebooku! Właśnie wrzuciłem superfoty z ostatniego koncertu naszego zespołu... – płynnie zmienia temat.

Z przeprowadzonych w szkołach ankiet wynika, że co czwarty 16-latek próbował marihuany, a co dziesiąty palił ją w tym samym miesiącu, gdy odbywało się badanie (dane ESPAD). Dla niektórych dziennikarzy i polityków to dowód na to, że mamy do czynienia z narkoplągą. A także potwierdzenie, że o marihuanie posiadli wiedzę na poziomie eksperckim.

– Śmiesz mi, jak czytam, że marihuanę kupujemy pod Złotymi Tarasami, że jest nasączana heroiną, że spada od niej IQ i że od pierwszego skręta do zarzucenia pętli na szyję mija krótki czas – mówi Arek. – To są farmazony. I mogą robić więcej szkody niż pożytku. Bo kto potem uwierzy, że heroina jest szkodliwa, skoro te same gadające głowy mówią nam, że marihuana jest śmiertelna. Muszą być jakieś proporcje – kwituje. Ale przecież w Polsce dzieci i ryby głosu nie mają. Dlatego nikt nie będzie słuchał w tej sprawie ani Arka, ani innych dzieciaków. Medialni i polityczni eksperci z przyjemnością wypowiedzą się w ich imieniu.

Na prośbę bohaterów tekstu zmieniliśmy ich imiona.

ROZMAWIA ZUZANNA ZIOMECKA

Samo bycie nastolatkiem to problem

Na temat trawy dorośli wiedzą mniej niż nastolatki. Wychowani bez lub ze śladowym doświadczeniem z narkotykami, w rozmowach z dziećmi nie mogą być autorytetami – przekonuje Artur Lutarewicz.

Co mówią uczniowie Kąta o Stasiu Fryczkowskim?

Dzieciaki mówią, że jego mama wariuje. Są przerażone, że teraz szkoły zaczną wszystkich odsikiwać i ogólnie świrować w sprawie narkotyków. Dzieciaki przejmują się nie tyle samobójstwem Stasia, ile tym, że jest afera i teraz będą męczeni przez dorosłych.

A co pan sądzi o reakcji matki?

To się zdarzyło miesiąc temu, prawda? Czyli jest świeże, a jej reakcja bazuje głównie na emocjach. Nie dziwi mnie to, ale teraz racjonalna rozmowa z tą panią nie jest możliwa. Żałoba po śmierci bliskiego trwa do trzech lat albo i dłużej. A minął dopiero miesiąc. Radzi sobie jak wielu w trudnej sytuacji: szuka odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego?”. Z poziomu emocji niełatwo przejść do racjonalnego myślenia. I dlatego trudno w takiej atmosferze rozmawiać o narkotykach i realnej profilaktyce. Nie tylko z mamą Stasia zresztą. Narkotyki wzbudzają emocje u wszystkich dorosłych. Ponieważ patrzą na nie przez pryzmat lęków.

Boimy się narkotyków, bo w odróżnieniu od alkoholu są nielegalne?

O alkoholu łatwiej mówić, ponieważ jest wspólnym doświadczeniem wszyst-

kich pokoleń. A narkotyki nie są doświadczeniem nas wszystkich. W większości rodzin zdarza się, że nastolatek wróci do domu pijany. Nikt nie reaguje na to, zabierając dziecko do psychologa od uzależnień, prawda? Z narkotykami jest inaczej. Wzbudzają panikę z niewiedzy. Rodzice mają w głowie obrazki z filmów i stereotypy. To jeden z problemów w rozmowie z dziećmi na ten temat. Oni wiedzą dużo więcej niż my, więc nie jesteśmy dla nich w tej dziedzinie ekspertami.

A co powinniśmy wiedzieć, by móc rozmawiać z dziećmi na przykład o marihuanie?

Wiemy jak się bezpiecznie obchodzić z alkoholem dzięki obserwacji świata i zasłyszanych hasł. Przydałby nam się taki zestaw wiedzy zdroworozsądkowej na temat marihuany. W przypadku alkoholu wiem, że trzeba pić wodę, nie mieszać, nie kierować samochodem po spożyciu itd... Nikt takiej wiedzy na temat narkotyków nie przekazuje. Ani szkoła, ani państwo, ani rodzina. Są kampanie pod hasłem „Nie pal” albo „Rób cytologię”. A kto uczy, jak przyjmować narkotyki, żeby się nie przekręcić, żeby się nie stało nic złego? Nie znam wszystkich reguł, ale z tego, co mi nastolatki opowiadają, to jest

ARTUR LUTAREWICZ

Psycholog, od 20 lat pracuje w warszawskim Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapii nr 2 Kąt i w Społecznym Komitecie ds. AIDS. Młodzi ludzie, którzy trafiają do Lutarewicza, chętnie mu się zwierniają, bo potrafi z nimi empatyzować, traktuje ich z szacunkiem i uwagą. „Przekrojowi” opowiada o skuteczności testów na wykrywanie narkotyków w moczu młodzieży, ważnej strategii wsparcia dla nastolatków, i granicach między próbowaniem a uzależnieniem od narkotyków.

kilka ważnych ostrzeżeń. Na pierwszym miejscu powinno jednak zawsze paść zalecenie, by dziecko nie paliło. Na drugim – powinno znać źródło. To, co sprzedają dilerzy, jest czasem słabsze, czasem strasznie mocne i naszpikowane dodatkowymi substancjami. Czyli dzieciak powinien w miarę możliwości znać źródło lub osobę, od której dostaje trawę. Powinien być też w jego obecności ktoś trzeźwy, kto mu pomoże, jeśli coś będzie nie tak. Choć mieszać się nie powinno, młodzi często to robią. Najczęściej mieszają z alkoholem. Tu zasada jest taka, żeby najpierw palić, a potem pić. Gdy zapalimy, musimy zobaczyć, na ile nas kopnęło, bo alkohol jest łatwiej kontrolować. Dobrze, żeby dzieciak wiedział, że nielegalne jest posiadanie narkotyków, ale bycie pod ich wpływem nie jest. Jeśli coś będzie nie w porządku, niech nie boją się dzwonić na pogotowie. Taka wiedza może uratować życie.

Jeśli jednak nie wiemy, czy dziecko pali, czy nie, gdzie jest granica naszej ingerencji?

W wychowaniu młodzieży tracimy narzędzia, jakimi się posługujemy, ratując przed niebezpieczeństwem małe dzieci. Włączają się rozpaczliwe próby siły: „Ja mu teraz pokażę, kto tu rządzi!”. Tymczasem dziecko w naturalny sposób potrzebuje w tym czasie zdobywać wolność i przestrzeń, a my próbujemy ją ograniczać. To się może różnie skończyć.

No, ale przecież dysponujemy narzędziami kontroli. Wiele się teraz mówi choćby o testach wykrywających narkotyki w moczu.

Jestem zwolennikiem testów w bardzo określonych okolicznościach, ale nie ufam im bezwzględnie, bo mają poważne ograniczenia. Mogą być jednym z narzędzi do potwierdzenia naszych podejrzeń. Jeżeli się obawiam, że coś jest nie w porządku, to wtedy w rozmowie z dzieckiem mogę powiedzieć: „Dobra, słuchaj, widzę, że coś się dzieje, a ty nie bardzo mówisz co. Jako twój rodzic mam pewne obawy. Przychodzi mi do głowy, że może coś grzejesz”. Powiedzmy, że dzieciak się zgadza na test,



ale co ostatecznie on nam daje? Wyniki są mało konkretne. Marihuana jest wykrywana w testach przez trzy tygodnie po wypaleniu dżointa, a po niektórych prochach ślady znikają krótko po zażyciu. Dowiadywałem się też od kolegów, którzy pracują z uzależnieniami, że wystarczy być w pokoju, w którym ktoś pali marihuanę, by ona wyszła w testach. Czyli test nie jest dobrym narzędziem. Nie pokazuje, ile było wypalone, kiedy, czy to na pewno nasze dziecko paliło. A takiej na przykład amfetaminy zażywanej kilka dni temu nie pokaże wcale.

Jeśli jednak wyjdą drągi, to co? Ekspert?

Moim zdaniem najlepiej, żeby rodzic sam poszedł najpierw do eksperta. Nie poszedłbym z dzieckiem, tylko sam bym się dowiedział, co to za narkotyki, o co chodzi, co z tego wynika. Nauczyłbym się, jak rozmawiać z dzieckiem w takiej sytuacji, żeby go nie wystraszyć. Rolą rodzica jest wykrzyć, czy dziecko ma problem z narkotykami, czy też nie.

Są kampanie pod hasłem „Nie pal” albo „Rób cytologię”. A kto uczy, jak przyjmować narkotyki, żeby się nie przekręcić, żeby się nie stało nic złego?

Dżoint zapalony na imprezie nie jest tematem dla terapeuty uzależnień.

A jak rodzic ma się w tym zorientować?

Amerkanie w tym roku mieli zmienić klasyfikację psychiatryczną: wykreślić „uzależnienie” i zastąpić określeniami „używanie środków zmieniających świadomość” oraz „szkodliwe używanie środków zmieniających świadomość”. To pokazuje różnicę: samo używanie to jedna rzecz, inną jest nadużywanie, czyli ponoszenie szkodliwych kosztów brania. Dlatego rola rodzica jest bardzo trudna. Bo nie wymaga kontroli, ale czujności, bycia przy dziecku. Nawet kiedy wszystko wydaje się w porządku.

Na co trzeba zwracać uwagę?

Na zmiany. Pierwszy sygnał ostrzegawczy powinien się włączyć, gdy coś się zaczyna sypać. Widzimy, że dzieciak zaczyna inaczej funkcjonować. Obsuwa się w szkole albo może jakoś dziwnie wygląda. Tego bym też oczekiwał od szkoły, nie odsikiwania do testu. Ja na przykład odmówiłem w szkole odsikiwania mojego dziecka, bo powiedziałem, że jeżeli będę miał podstawy, zrobię to sam. Chcę, żeby mi w porę powiedzieli: „Pana córka się zmieniła”. Sam zdecyduje, co z tym zrobić, bo przyczyn może być wiele. Na przykład, jeśli poczyta pani ulotki „Jak rozpoznać, że moje dziecko bierze narkotyki”, to znaleźć tam objawy, które mogą być równie dobrze objawem zakochania. Bo zakochanie to też psychoza. Jak się człowiek zakocha, to ma rozszerzone źrenice, siedzi w pokoju, nie rozmawia, gapi się w sufit.

A przyczyny? Czasem narkotyk jest ucieczką przed problemami. Z czym nastolatki mają najpoważniejsze kłopoty?

Bycie nastolatkiem jest kłopotem. To strasznie trudny wiek. Nie bez powodu wymyślono przecież podział na psychiatrię dziecięcą, młodzieżową i dorosłych. Gdyby dorosły człowiek miał takie objawy, jak zwykły nastolatek, to by go zamknęli w psychiatriku. Jego wahania nastroju wyglądają jak dwubiegunówka – nagle z wielkiej wesołości nastolatek przechodzi w płacz. Zachowuje się przedziwnie. Jego świat jest strasznie czarno-biały i te emocje skaczą od skali do skali. Samo bycie nastolatkiem jest więc czynnikiem ryzyka.

Czy z tego wynika, że większość nastolatków prawdopodobnie sięgnie po środki zmieniające świadomość?

Myszę, że tak, jeżeli wliczymy w to alkohol i papierosy. Ponieważ to jest obszar i czas eksperymentowania, wpisany w rozwój człowieka w rodzinie i społeczeństwie. Dzieciaki robią to samo, co dorośli, tyle że robią to pierwszy raz, więc muszą się tego nauczyć. Po drodze może być różnie. Tak jak z jeżdżeniem samochodem – czasem dochodzi do tragicznych wypadków.



ROZMAWIA KAROLINA SULEJ, ZDJĘCIA WITOLD ORSKI

Pani dyrektor

Dzieci uciekają od świata, który im daliśmy – ostrzega **Krystyna Starczewska**, pedagog, filozof, dyrektor gimnazjum przy Raszyńskiej w Warszawie. Powinniśmy odejść od powszechnej rywalizacji. Zrozumienie, rozmowa i pielęgnowanie w dziecku poczucia własnej wartości – na tych filarach trzeba budować kontakt dorosły – małoletni.

Dzieci są głupie, bezsilne i agresywne – takie przekonanie stoi wciąż za polityką wielu szkół w Polsce. Według Krystyny Starczewskiej dzieci są wrażliwe, mądre i odpowiedzialne, jeśli tylko traktuje się je jak osoby myślące, a nie bandę rozwydrzonych kretynów. Na tym przekonaniu oparła najpierw program warszawskiego liceum przy Bednarskiej, potem gimnazjum przy Raszyńskiej, któremu do dziś dyktuje, a także innych szkół publicznych działających według „modelu Starczewskiej”. Nie chce się nazywać ani pozytywistką, ani romantyczką. Po prostu lubi ludzi. Jak tłumaczy: – Mój tata był lekarzem, a moja mama – nauczycielką. Kiedy zdałam maturę, miałam trudny wybór, czy iść w ślady ojca i zostać lekarką, czy raczej tak jak mama nauczycielką. Zdecydowałam, że pójdę na polonistykę, aby potem uczyć polskiego. Miłości do literatury nauczyła mnie moja licealna polonistka, pani Michalska. Była świetnym pedagogiem. Niestety, trafiła na złe czasy. Wyrzuciono ją ze szkoły za to, że mówiła prawdę, na przykład o tym, kto zabił polskich oficerów w Katyniu.

Panią także usunięto ze szkoły. W 1967 r. wyrzuciono panią z pracy w LO im. Słowackiego

w Warszawie, z zakazem nauczania w szkołach PRL. Uzasadnienie brzmiało: za nieobniżenie ocen uczniom, z których jedna w swojej pracy maturalnej głosiła idee anarchizmu, a druga korzystała z tradycji chrześcijaństwa. W wolnej Polsce pani pozycja, teraz już dyrektorki szkoły społecznej, także była zagrożona, kiedy zdecydowała się pani nie podpisywać oświadczenia lustracyjnego. Edukacja wydaje się uwikłana w ideologie niezależnie od systemu, w jakim jest prowadzona. Czy powinno się więc przeciwstawiać im własną ideologię? Czy program wychowawczy pani szkoły, realizowany pod nazwą Rzeczypospolitej Szkolnej, był właśnie taką stworzoną na własny użytek ideologią?

W moim przekonaniu szkoła powinna przede wszystkim służyć dziecku. Nie powinna służyć państwu, nie powinna służyć Kościołowi, w ogóle żadnej organizacji, a już zwłaszcza partii politycznej. Szkoła jest od tego, żeby stwarzać szanse dla rozwoju młodego człowieka, dać mu wiedzę i umiejętności, ale przede wszystkim nauczyć go samodzielności myślenia, umożliwić odnalezienie siebie, odkrycie swoich mocnych stron. Takie jest moim zdaniem naczelne powołanie szkoły. Fakt, że szkołę wykorzystuje się jako miejsce służące do indoktrynacji, jakkolwiek ona by była, jest tym, czemu się przeciwstawiałam

w czasach komunizmu i, jeśli takie próby się pojawiały, także w czasach późniejszych.

Podczas rozmów Okrągłego Stołu, w których brałam udział jako przedstawicielka „Solidarności”, przy tak zwanym podstoliku oświatowym walczyłam o to, żeby mogły powstawać szkoły niezależne, które nie są sterowane ideologicznie przez nikogo z zewnątrz, które mają możliwość dostosowywania profilu nauczania i metod wychowawczych jedynie do potrzeb uczniów. Czy taki postulat ma także charakter ideologiczny? Oczywiście wszystko można nazwać ideologią – nawet medycynę. Ja powiedziałabym raczej, że są to założenia szkoły wolnej od ideologicznych nacisków. Myślę, że są one zgodne z tym, co propagował w okresie międzywojennym Janusz Korczak – to znaczy z przeświadczeniem, że wszelkie działania wychowawcze i edukacyjne powinny być nastawione na potrzeby ucznia i na skuteczne metody wprowadzania go w świat.

Kiedy zakładaliśmy w 1989 r. nasze I Społeczne Liceum Ogólnokształcące, tworzyliśmy wychowawczy program szkoły demokratycznej. Był to program, który miał dać uczniom możliwość swobodnego wypowiedzenia się, współdecydowania poprzez udział w szkolnych władzach demokratycznych – sejmie szkolnym, radzie szkoły, sądzie szkolnym – o wspólnocie, którą tworzyć powinni uczniowie, nauczyciele i rodzice. Program szkoły demokratycznej zakładał partnerskie traktowanie uczniów przez nauczycieli – jako osób, z którymi prowadzi się dialog, a nie jako podwładnych, którym się tylko rozkazuje. W naszym przekonaniu szkoła demokratyczna miała być przeciwieństwem szkoły autorytarnej, w której dorosły mówi, co masz robić, a ty, dziecko, masz go słuchać po prostu dlatego, że on jest dorosły.

Ale czy dzieci są na to partnerstwo gotowe? Nie jest im wygodniej traktować szkołę jako ścianę, od której mogą się odbić? Jako miejsce, gdzie mogą nauczyć się buntować?

Oczywiście, że wygodniej. Ale nie zawsze to, co wygodne, jest dobre. Kiedy

Wrażliwość jest wrodzona, tylko często zostaje w dziecku zabita. Żeby nie zanikała, musi być ćwiczona.

w 1989 r. zdecydowaliśmy, jaki ma być ustrój w szkole – bo to miała być decyzja całej społeczności, rodziców, uczniów i nauczycieli – w skrzydle konserwatywnym, które opowiadało się za ostrą dyscypliną, było również sporo uczniów. Taka szkoła jak nasza wymaga odpowiedzialności i inicjatywy oraz niewątpliwie dodatkowej pracy. Łatwo jest zrzucić odpowiedzialność na dorosłego, a samemu tylko się wygłupiać, bojkotować albo się buntować. Tutaj tymczasem nie masz wobec czego się buntować – masz miejsce i czas, aby realizować to, co uważasz za słusze i właściwe. Żadnej łatwizny. To program wychowawczy nastawiony na to, żeby promować samodzielność, ale także zdolność pracy w grupie. Te wartości wydają nam się szczególnie cenne w życiu społecznym.

A wiedza?

Ważne jest nie tyle wkuwanie wiadomości, ile umiejętność zdobywania wiedzy, a przede wszystkim odnajdywania własnych zainteresowań. Nie odnajdzie się ich, jeśli szkoła nie stworzy do tego okazji. Dlatego w naszej szkole kładziemy duży nacisk na zajęcia fakultatywne, pozalekcyjne. Uczniowie mają fakultet fotograficzny, filmowy, mają zajęcia sportowe, mogą się uczyć suahili, chińskiego, japońskiego, są fakultety artystyczne, jest teatr. Niektórzy z trudem wysiadają na zajęciach podstawowych, ale odnajdują się przez realizację swoich zainteresowań na wybranych przez siebie fakultetach. Podstawowe umiejętności współzycia społecznego muszą jednak zdobyć wszyscy i temu służy szkolny program wychowawczy.

Można nauczyć wrażliwości na drugiego człowieka?

Wrażliwość jest wrodzona, tylko często zostaje w dziecku zabita. Nam chodzi o to, żeby ją przywrócić, jeśli została w jakiś sposób stłumiona, i stworzyć

szanse na jej rozwijanie. Żeby nie zanikała, musi być ćwiczona, trzeba ją pobudzać na rozmaite sposoby.

Dzieci miewają skomplikowane biografie, nie mniej skomplikowane niż dorośli. Niektóre mają za sobą tragiczne przeżycia, które wyprały je z wrażliwości, nauczyły okrutnego zachowania w stosunku do rówieśników. Są dzieci, które były w szkołach podstawowych prześladowane, wyśmiewane, oraz takie, które zyskiwały poklask dlatego, że były złośliwe i agresywne. Trzeba zrozumieć, dlaczego są takie, jakie są, i pomóc im w odbudowie umiejętności współzycia z innymi.

Mam wrażenie, że nastolatki często uważają, że szkoła to jest jeszcze taki czas, kiedy nie muszą konfrontować się z życiem, że jeszcze będą na to miały czas. Nawet rodzice przed tym wydoroseniem chronią.

To nie jest kwestia wydorosenia. Dzieci mają taki uniwersalny atrybut gatunku ludzkiego, jakim jest myślenie, od samego początku – nie jest tak, że nabywają go wraz z dorosłością. Trzeba im w tym myśleniu towarzyszyć. Ważne jest, aby brały odpowiedzialność, której się tak obawiają, ale też aby miały poczucie, że jest jakaś siła, która może w trudnej sytuacji przyjąć im z pomocą, czyli żeby miały w otoczeniu dorosłego, któremu mogą zaufać i do którego mogą się zwrócić, kiedy poczują się zagubione, zagrożone, kiedy zaczynają popadać w wewnętrzne rozterki uniemożliwiające im normalne funkcjonowanie. Mamy w szkole psychologa, uwrażliwiamy wychowawców na to, żeby dostrzegali problemy uczniów.

KRISTYNA STARCZEWSKA

polonistka, filozof, etyk i pedagog. Przez lata pracowała w PAN. Twórczyni i dyrektorka kulturowej Bednarskiej w Warszawie. Teraz kieruje stołecznym gimnazjum przy Raszyńskiej. Odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Czasem jednak bardzo trudno jest, nawet codziennie przyglądając się dziecku, dostrzec, że przechodzi przez trudny czas. To przerażająca świadomość. Z tym lękiem związana jest też dyskusja o śmierci chłopca z liceum przy Bednarskiej, który miał popełnić samobójstwo wskutek nadużywania marihuany. Doszło do strasznej tragedii. Także dla szkoły – uczniów, nauczycieli. Jest dla mnie żenującą sprawą robienie wokół tego wydarzenia takiej prasowej nagonki, wykorzystywanie tego faktu do na-

kręcania medialnego hałasu. Natomiast problem, który wypłynął, jest bardzo dojmujący. To przede wszystkim problem złego samopoczucia młodzieży, depresji, samotności. Poczucie bezsensu, obawa przed własnym środowiskiem, a przede wszystkim brak wiary w siebie. Bardzo często wynika to z powszechnego nastawienia na rywalizację. Masz być lepszy, a jak nie jesteś – przekreślasz siebie.

Uciekanie w narkotyki jest jedną z prób wycofania, wypisania się z tego nastawionego na konkurencyjność świata. Narkotyki obiecują ulgę od napięcia. Nie ostra walka z narkotykami, tylko odejście od rywalizacyjnego nastawienia jest niezbędne. Narkotyki to pomysł na ucieczkę od naszych wymagań. Mało się mówi w tej wrzawie medialnej o tym, że to, jak działa współczesny świat, sprzyja poczuciu gorszości własnej, nieumiejętności odnalezienia własnej wartości i marzeniu o czymkolwiek, co pozwoli to poczucie na chwilę zniwelować, co jest oczywiście złudne, bo to chwilowa ulga, której konsekwencją jest pogłębienie smutku.

To nie powinna być więc dyskusja tylko o narkotykach. Przede wszystkim chodzi o to, żeby dbać o lepszy kontakt między dorosłymi a młodzieżą i żeby rodzice się wspólnie porozumieć, jak młodzieży pomagać. W naszej szkole organizujemy teraz spotkania z psychologiem o problemie uzależnień. Rodzice mogą się tam wymienić obserwacjami, lękami, wątpliwościami. Moim zdaniem zakazy i nakazy nie przyniosą oczekiwanych efektów, trzeba pokazać młodemu, że mogą się zainteresować wieloma dziedzinami, które pokażą im inne drogi życia niż ucieczka w używki. Współpraca, zrozumienie, bliski kontakt i reagowanie, kiedy dzieją się rzeczy niebezpieczne – to najważniejsze. Często zdarza się, że młody człowiek nie ma po prostu komu się zwierzyć.

Ostatnio chłopcy z mojej szkoły zwrócili się do mnie z pytaniem, dlaczego nie robimy już tego, co trwało przez lata, to znaczy dlaczego nie badamy już uczniów w testach na obecność narkotyków. To, co powiedzieli, było



Krystyna Starczewska na fotografiach z rodzinnego archiwum. Na dole z córką Anią.

interesujące. Ich zdaniem ta praktyka, choć opresyjna, nie była zła, bo dawała pomoc w odmawianiu. Rzeczą najtrudniejszą w grupie młodzieży jest zaś powiedzieć: nie, nie wezmę. Wtedy nie jest się aprobowanym. W grupie rówieśniczej mogą zaś przecież mieć złudne poczucie, że jestem lepszy – nie mogę zadowolić rodziców, to chociaż sprostam oczekiwaniom kolegów. Trzeba nauczyć młodzież umiejętności niezależnienia się od grupy, niepodporządkowywania się jej, niepodążania za modą.

Do gimnazjum przy Raszyńskiej trafiają także dzieci uchodźcze.

W każdej klasie jest ich kilkoro. Poza tym mamy taką klasę, multi kulti, w której w trzech grupach jest ok. 30 przybyszów z nierzadko bardzo odległych zakątków świata. Mamy klub wielokulturowy i organizujemy wieczory poświęcone różnorodnym kulturowym tradycjom. Dzieci śpiewają, pokazują zdjęcia, opowiadają o kraju swego pochodzenia, przygotowują tradycyjne potrawy narodowe. Chodzi o to, aby polskie dzieci otworzyły się na różnorodność świata. Takie spotkania dają im wiedzę, że świat jest skomplikowany, że na wiele rzeczy można odmiennie patrzeć, ale że są też rzeczy wspólne dla

wszystkich mieszkańców Ziemi. Dzięki temu uczą się, czym są w swej istocie prawa człowieka.

To spójne, słuszne i oczywiste. Dlaczego więc taki model szkolnictwa nie obowiązuje w całej Polsce?

W tym kierunku powinien zmierzać system edukacji. Wciąż jednak jest żywy tradycyjny autorytaryzm, który wynika z obawy przed dopuszczeniem dzieci do współdecydowania o sobie. Ta obawa bierze się z mylnego poglądu, że złe czy też moralnie wątpliwe zachowania płyną z nadmiernej swobody pozostawianej dzieciom. One zaś płyną z nieumiejętności wciągania dzieci w działania zespołowe rozwijające ich wrażliwość i dobre odruchy. Płyną także z naturalnych odruchów buntu, będących odpowiedzią na represyjne oddziaływanie wychowawcze źle przygotowanych do pracy z dziećmi nauczycieli i wychowawców. Model edukacji autorytarnej, propagowany w swoim czasie przez ministra Giertycha, miał zapobiegać postępującej agresywności dzieci poprzez wzmocnienie represyjności placówek edukacyjnych. Był to pomysł zdecydowanie chybiony, bo zamiast likwidować agresję, wzmacniał ją.

Im większa represyjność, tym większy wobec niej bunt. Autorytaryzm z jednej strony rodzi uległość – zgadzam się na wszystko, idę za tym, kto jest silniejszy, i w milczeniu przyjmuję jego agresywność, a z drugiej strony rodzi bunt, protest. To właśnie autorytaryzm produkuje to, czego tak się boimy w szkołach, co nazywamy „rozwydrzeniem młodzieży”. Kto jest silny, ten się buntuje, za nim idą zaś ci, którzy są ule-

gli. I tak rusza lawina agresji skierowanej zarówno przeciwko słabszym kolegom, jak i przeciwko nauczycielom, którzy nie radzą sobie z rozwydrzoną młodzieżą. Bo jeśli w tych warunkach nauczyciel „ma sobie radzić”, to musi być silniejszy i jeszcze bardziej agresywny niż przywódca dziecięcy. To bardzo zły model wychowania szkolnego, który nie zmniejsza przemocy, lecz ją prowokuje.

Właściwe rozumienie kwestii bezpieczeństwa w szkole to tworzenie okazji dla ciekawych działań zespołowych, uczenie umiejętności współpracy, to wskazywanie dróg, dzięki którym dziecko może stać się ważne w grupie, bez konieczności popisywania się agresją i przemocą wobec innych. Oczywiście do tego typu działań wychowawczych trzeba odpowiednio przygotować nauczycieli – to podstawowa sprawa. My przy Bednarskiej czy Raszyńskiej mamy o tyle komfortową sytuację, że duży procent nauczycieli stanowią nasi absolwenci. Zdali maturę, ukończyli studia, niektórzy zrobili doktoraty i powrócili do szkoły. Z własnego doświadczenia wiedzą, jak postępować z uczniami.

Jeśli chodzi zaś o sprawy kraju, to już do znudzenia powtarzam, że warunkiem otrzymania prawa nauczania powinna się stać – poza ukończeniem studiów przedmiotowych – roczna praktyka w wytypowanych specjalnie w tym celu „szkołach ćwiczeń”. Powinny to być szkoły wyłonione w rankingach na najlepiej działający system wychowania, szkoły, w których przyszły nauczyciel nauczy się, jak organizować działania dydaktyczne i wychowawcze, aby sprzyjały intelektualnemu i moralnemu rozwojowi uczniów. Praktyka wychowawczo-dydaktyczna w najlepszych szkołach powinna się łączyć z zajęciami z psychologii rozwojowej. Wprowadzenie tak pomyślanego przygotowania do zawodu nauczycielskiego stworzyłoby szansę na oddolną reformę polskiego szkolnictwa w kierunku, o którym mówimy. Zmiana systemu nie jest możliwa bez zmiany sposobu przygotowania do zawodu nauczycieli wychowawców.

Jest wciąż problem z prestiżem zawodu nauczyciela?

Z prestiżem nie mają problemu nauczyciele, którzy potrafią skutecznie uczyć i wychowywać, którzy cieszą się zaufaniem uczniów, którzy potrafią rozwijać ich pasje poznawcze, którzy umieją organizować pracę zespołową i wciągać w życie społeczne swoich wychowanków. Takich nauczycieli z powołania na pewno byłoby wystarczająco wielu, aby zmienić charakter szkół. Niestety, w szkołach często nie ma dla nich miejsca.

Došlo do strasznej tragedii. Także dla szkoły – uczniów, nauczycieli. Robienie z tego prasowej nagonki jest dla mnie żenujące.

Wadliwy jest obecny system awansów. Ktoś, kto uzyskał najwyższy stopień awansu, nie może zostać zwolniony ze szkoły, chyba że – hiperbolizując, ale nie do końca – dokona przestępstwa. To utrwała tę stereotypową autorytarną kadre pedagogiczną polskich szkół. Wszyscy mogą uzyskiwać kolejne stopnie awansu zawodowego – wymaga to tylko nagromadzenia odpowiedniej liczby wymaganych papierków, ocena właściwych kompetencji nauczyciela do wychowywania młodzieży w zasadzie nie istnieje. I tu jest pies pogrzebany.

Szkola jest także ustawiana bardzo celowo: ma przygotować do testu i dać użyteczną wiedzę, z którą dziecko ma większe szanse na studia i pracę.

System testowy to rodzaj atrapy – nie daje ani gwarancji zdobycia rzeczywistej wiedzy praktycznej, ani nie ułatwia później zdobycia pracy. Sprzyja jedynie konkurencji. Obserwuję to konkurencyjne nastawienie u rodziców – „najważniejsze jest, żebyś był lepszy od innych”. Co znaczy lepszy, nie wiadomo, ale „jeśli będziesz lepszy, na pewno znajdziesz pracę, łatwiej zrobisz karierę”. Ogromny jest więc nacisk na stopnie. Ostatnio spotkałam na korytarzu płaczącą

dziewczynkę. Płakała, bo dostała piątkę. Zdziwiona pytam: „Dlaczego płaczesz z powodu piątki?”. „Bo Halinka dostała szóstkę, a mama powiedziała, że jak ona będzie lepsza ode mnie, to nie pojedę na wycieczkę”.

Nie liczy się to, jaki jesteś, co umiesz, co potrafisz osiągnąć – twoje osiągnięcia są tyle warte, ile są lepsze od osiągnięć innych. Nie ma nic gorszego niż taki system motywowania uczniów do pracy. Rankingowanie szkół według wyników testów w katastrofalny sposób sprzyja także rozwarstwieniu społecznemu. Dobre szkoły, które nie są rejonowe, przyjmują tylko uczniów z najlepszymi wynikami. Uczniowie słabsi idą do innych szkół. Uruchomiliśmy mechanizmy sprzyjające powstawaniu gett. W szkołach rejonowych, które muszą przyjmować także dzieci ze słabszymi wynikami w testach, tworzy się klasy dla uczniów, którzy mają słabsze wyniki, tak zwane „zsypy”. „Ja byłem w zsypie” – mówi mi chłopiec na egzaminie wstępnym – „nie dostanę się do was”. Nie trzeba chyba dowodzić, jak to niszczy psychikę tak zwanych gorszych dzieci. Musi być lepszy, w bicie albo w kopaniu, bo w nauce został z góry skazany na bycie tym gorszym. To fatalny, a niestety bardzo powszechny, system wychowania młodego pokolenia.

My na początku nie chcieliśmy w ogóle stawiać stopni – stopień to zamknięta w cyferce opinia o uczniu. Zbyt enigmatyczna i ostateczna. Ocena osiągnięć ucznia powinna być w naszym przekonaniu opisowa: w tym jesteś dobry, w tym jesteś słabszy, to mógłbyś poprawić. Ale rodzice tego nie chcieli. Przychodzili z takimi recenzjami i pytali – ale jak to przełożyć na stopień, to jest trójka czy czwórka? Kategoriecznie domagali się cyferek, bo byli przekonani, że kariera dziecka zależy od tej cyferki. I rzeczywiście, w jakimś sensie zależy – na studia przyjmuje się według wyników testów. Test może decydować o całej przyszłej karierze młodego człowieka, o tym, jak będzie odbierany w kręgach społecznych, do których aspiruje, jak sam siebie będzie oceniać. System testowy nie jest więc przygotowaniem

do zawodu. Jest jedynie przygotowaniem do konkurencji opartej na wymaganiach kryteriach. Zamiast rozwijać zainteresowania, uczyć samodzielnego myślenia, działania zespołowego, uczymy rywalizacji.

Niektórzy dyrektorzy argumentują, jednak że taka rywalizacja jest prawidłowa, bo pozwala wybrać tych najlepszych i pcha ich do góry, a ci gorsi mają sobie jakoś radzić, bo w kapitalizmie każdy jest zdany na siebie i musi być przedsiębiorczy.

Rywalizacja w rozwiązywaniu testów wcale nie sprzyja wyborowi najlepszych. Bardzo często testy rozwiązują najlepiej uczniowie o niewielkich zainteresowaniach, którzy po prostu nie robią nic innego, tylko uczą się rozwiązywać testy. Nie jest to więc dobór korzystny nawet dla ustroju kapitalistycznego. Poza tym wiadomo, że dzieci rozwijają się nierówno. Przy Raszyńskiej mamy cztery osoby na miejsce. Po roku często się okazuje, że dzieci z list rezerwowych, które słabiej zdały egzamin wstępny, radzą sobie w szkole dużo lepiej niż te z pierwszych miejsc.

Powołaniem pedagoga jest dawanie każdemu dziecku szansy rozwoju, odnajdywanie tego, co specyficznie dobre właśnie dla tego konkretnego dziecka. Są dzieci, które mają słabą pamięć, ale są bardzo wrażliwe i dobre dla innych. Są dzieci, które mają zdolności jednokierunkowe, na przykład artystyczne, ze słabszymi wynikami w dziedzinach ścisłych. Nie może więc być tak, że jednolity, abstrakcyjny test dzieli ludzi w nieodwołalny sposób na lepszych i gorszych. Mieliśmy ucznia z Czechenii, który był wybitnie utalentowany plastycznie, ale bardzo słaby z przedmiotów ścisłych. Jeśli zostanie wybitnym rzeźbiarzem, jakie znaczenie będą miały wyniki jego testów z matematyki?

Jestem przeciwna rankingom opartym wyłącznie na wynikach testów egzaminacyjnych. Byłam na spotkaniu dyrektorów najlepszych szkół w Polsce i jeden z nich zapytany, jak jego szkoła osiąga tak świetne wyniki, odparł bez żenady: „Nie przyjmuję dzieci z dysleksją, dzieci z zagranicy, dzieci z rodzin zabu-

rzonych, dzieci z problemami psychologicznymi”. Przyjmował zatem wyselekcjonowane dzieci, które gwarantowały jego szkole osiągnięcie wysokich miejsc w rankingach.

Oczywiście można by przeprowadzać rankingi szkół, ale na zupełnie innej zasadzie. Opierać ocenę szkół na tak zwanej wartości dodanej – to znaczy mierzyć to, co udało się osiągnąć w pracy z dziećmi o określonych możliwościach w czasie ich pobytu w szkole. Można by także oceniać rezultaty wychowawcze, atmosferę szkoły. Taki ranking miałby sens.

Czy wychowanie do życia w rodzinie to pani zdaniem ważny przedmiot?

Jeśli tylko jest mądrze prowadzony, to tak. Nie rozumiem, skąd się biorą spory wokół tych lekcji. Przecież dziecko musi wiedzieć, skąd przychodzi na świat i jak sobie radzić z seksualnością.

Lubię dzieci, lubię ludzi w ogóle. Zależy mi na sensowności tego, co robię. Jestem raczej optymistką. Pozytywistką mogłabym się nazwać w tym sensie, że usiłuję wierzyć w postęp.

Spory wynikają z tego, że trudno ustalić linię ideologiczną opowiadania o seksie.

Dla jednych rozmowa o prezerwatywach będzie wręcz abecadłem, dla innych będzie obraźliwa dla ich poglądów religijnych. Publicysta katolicki Tomasz Terlikowski powiedział, że prezerwatyw używają tylko „dziwkarze i seksturyści”.

Moim zdaniem szkoła jest od tego, żeby pokazywać dzieciom różne rozwiązania światopoglądowe i praktyczne. Musi mówić uczciwie: dla osoby wierzącej to rozwiązanie, które tu przedstawiamy, jest nie do przyjęcia z takich a takich powodów, jeśli znajdzie się racjonalne uzasadnienie tych powodów.

Prowadzimy w naszej szkole zajęcia z etyki i filozofii. Uważam, że wiek dojrzewania jest wiekiem filozoficznym,

młody człowiek stawia sobie w tym wieku pytania natury etycznej, ontologicznej, światopoglądowej. Na przykład kiedy na lekcji etyki rozmawiam z dziećmi o aborcji, wyraźnie mówię, z jakimi konsekwencjami etycznymi wiąże się określone rozwiązanie tego problemu. Ty wybierzesz takie rozwiązanie, które uznasz za słuszne. Chodzi o to, żeby dziecko miało możliwość samodzielnego przemyślenia konsekwencji etycznych swoich ewentualnych późniejszych decyzji. Powtarzam moim wychowankom, że jeszcze sto razy mogą zmienić zdanie na jakiś temat. Mogą się nawrócić albo stracić wiarę, ale to nie znaczy, że przestaną wierzyć we wszystko, co było dla nich ważne, bo poglądy etyczne mogą być niezależne od wyznania.

Podobnie z seksem. Nie ma powodu, aby człowiek religijny, którego wiara zobowiązuje do zachowywania wstrzeźliwości do chwili ślubu, nie miał wiedzieć, jakie są środki antykoncepcyjne. Nie będzie ich przyjmował, nie będzie rozpoczynał współżycia przed ślubem, ale powinien wiedzieć o ich istnieniu i działaniu – właśnie po to, żeby świadomie odmówić ich używania. Tak samo człowiek niewierzący powinien wiedzieć, jakie jest uzasadnienie dla postawy jego koleżanki, która wierzy. A każde z nich powinno umieć przeciwstawiać się naciskowi, nauczyć się asertywności, która pozwala żyć zgodnie z własnymi przekonaniami.

Czyli trzeba wyjąć najtrudniejsze etyczne dylematy z szufladek światopoglądowych, w które zostały wciśnięte.

Trzeba nieustannie się zastanawiać – dlaczego uważam, że to jest złe, a to dobre. Czy mamy wspólne wartości? A jeśli tak, to jakie?

Pani metoda nauczania jest często określana jako „lewicowa”. Wrażliwość na inne, równość, opiekuńczość.

Równie dobrze można by powiedzieć, że jest to postawa chrześcijańska – wrażliwość na innego, opiekuńczość to przecież także chrześcijańskie ideały. Jednak wolałabym nie używać etykietek. Chodzi mi po prostu o to, żeby odnajdywać



wspólnie z uczniami wartości uniwersalne, które nas wszystkich łączą.

Czy pojęcie „inteligencja” jeszcze coś znaczy dla współczesnych uczniów?

Myszę, że tradycja polskiej inteligencji, zwłaszcza postępowej inteligencji z początku wieku XX, jest dobrą tradycją. O jej wartościach warto z uczniami rozmawiać. Dobrze by było, aby ta tradycja stała się żywa.

Uczniowie, którzy kończą pani szkoły, jeszcze wiele lat po liceum identyfikują się przede wszystkim jako absolwenci Raszyńskiej, Bednarskiej, Kłopotowskiego. Uważa pani, że tak silna identyfikacja ze szkołą jest dobra?

Daje poczucie więzi. Niedobra byłaby, gdyby izolowała od społeczeństwa. Jednak w pewnym momencie przestraszyliśmy się, że urośnie nam grupa przemądrzałych ludzi, którzy będą uważali, że są lepsi od innych. Wtedy zaczęliśmy przyjmować na bezpłatne miejsca do szkoły inne dzieci niż te ze środowiska inteligencji warszawskiej – uchodźców, dzieci z domów dziecka, dzieci niepełnosprawne. Wydawało nam się rzeczą ważną, żeby nie tworzyć szkoły elitarniej, lecz szkoły otwartą na różnorodność społeczną.

Są opinie, że Bednarska i Raszyńska to szkoły właśnie dla elit. Dla bogatych dzieci, które rodzice podwożą wytwornymi samochodami przed wejście.

To szkoły dla dzieci bogatych i biedniejszych, dla dzieci stąd i zewsząd. Szkoła jest jak mikrosoczeństwo. Trzeba na-

uczyć się współżyć ze wszystkimi rodzajami jego przedstawicieli.

Dlaczego jednak to tak kole w oczy?

To jest niestety dość częsta w naszym kraju złośliwość społeczna. Jeśli ktoś jest zamożny, to na pewno nakradł. Jeśli ktoś chodzi do fajnej szkoły, to na pewno dlatego, że ma bogatych rodziców. Nasza szkoła jest szkołą niepubliczną i dlatego płaci się w niej cieszne, to prawda, ale mamy system stypendialny dla tych, którzy nie mogą wnieść całej opłaty. Chodzą też do nas dzieci, które w ogóle nie płacą za szkołę, a także takie, które dostają od szkoły za darmo obiady i pieniądze na wycieczki. Ci, którzy dostrzegają tylko dzieci bogate, intencjonalnie szukają powodu do zawiści. Merytorycznie to się nijak nie tłumaczy. To nie jest szkoła dla dzieci z bogatych domów, chociaż chodzą do niej także takie dzieci. Jeśli dziecko z bogatego domu chodzi do klasy razem z uchodźcą z Afryki, to uczy się, że świat nie jest tylko dla takich jak on, uczy się solidarności z innymi od siebie. Zdarzają się oczywiście przypadki afiszowania się bogactwem, ale to się wszędzie zdarza. Jest to związane również ze wspomnianym priorytetem rywalizacji – ja jestem lepszy, bo mój tata ma więcej pieniędzy niż twój. Staramy się przeciwdziałać takim postawom.

Określiłaby się pani raczej jako romantyczka czy pozytywistka?

Pozytywistką mogłabym się nazwać w tym sensie, że wciąż usiłuję wierzyć w postęp i w to, że coś da się zrobić ma-

Szkoła jest jak mikrosoczeństwo – przekonuje Krystyna Starczewska. Powinna być otwarta na różnorodność społeczną.

łymi krokami, w taką pracę od podstaw. Z drugiej strony wierzę w emocjonalną więź między ludźmi. Wierzę w to, że jeśli będą bardzo czegoś chcieli, to da się to zrealizować. Nie określiłabym się jednak żadnym z tych terminów.

A innym terminem? Lub opisowo?

Lubię dzieci, lubię ludzi w ogóle, zależy mi na sensowności tego, co robię. Wierzę, że ludzie mogą ze sobą współpracować, chociaż jest wiele negatywnego nastawienia, ale też wierzę, że można je zmniejszyć czy odrzucić. Jestem raczej optymistką – myślę, że wszystko zmierza ku lepszemu. Wydaje mi się, że świat dziś jest dużo lepszy niż w przeszłości. Wydaje mi się, że to, co złe, da się naprawić.

Miewam oczywiście momenty gniewu. Wiele rzeczy mnie złości, ale zauważyłam, że im jestem starsza, tym bardziej staram się opanowywać złość. Negatywne emocje, niezależnie od tego, co zrobiła druga strona, nigdy nie dobrego nie przynoszą.

Są takie rzeczy u ludzi, których pani absolutnie nie toleruje?

To są rzeczy, a nie ludzie. Coraz bardziej wydaje mi się, że nawet jeśli człowiek postępuje w sposób całkowicie dla mnie nie do przyjęcia, to ma ku temu jakieś powody. Wobec tego trzeba wyjść ponad prosty odruch sprzeciwu, pierwszą poręczą reakcję. Jeśli człowiek się wtedy wkurzy, to po prostu postąpi w zły sposób. Jeśli się zdenerwuję, jeśli wygarę, mam potem wyrzuty sumienia. Chociaż czasem człowieka po prostu szlag trafia i nie daje rady.

Ma pani czas wolny?

Trochę mam. Dla rodziny, wnuczek, dwóch prawnuków.

Czyli znów czas dla innych.

Mieszkam sama. Mam godziny ciszy i samotności. Lubię je. Czekałam na takie momenty. Każdemu potrzebna jest samotność, nie można być wiecznie z ludźmi. Ważne jednak, żeby człowiek był zadowolony z tej samotności, umiał w niej znaleźć siebie.

JOANNA CWIEK, ARTUR GRABEK

Klik! I pan premier odpuści

Polacy odkryli właśnie, że można wywierać na władzę skuteczną presję i bronić się przed jej najbardziej absurdalnymi pomysłami. Wystarczy dołączyć do **internetowego protestu**.

W poniedziałkowy poranek w siedzibie stowarzyszenia Rzecznik Praw Rodziców na stole ląduje świeża dostawa korespondencji. Sterta kopert, cieńszych i grubszych. W każdej podpisany pod kolejną inicjatywą stowarzyszenia, które od 2008 r. walczy z reformą obniżającą wiek szkolny. Tym razem Karolina i Tomasz Elbanowscy, znani bardziej z akcji „Ratuj maluchy”, chcą zebrać pół miliona głosów pod obywatelskim wnioskiem o referendum. Ich zdaniem o tym, czy dzieci sześciolatnie mają obowiązkowo rozpoczynać naukę w szkołach, powinno decydować społeczeństwo.

– Policz głosy i wrzuć informację na Facebooka. Ludzie na to czekają – Karolina prosi męża. Po dwóch tygodniach od startu referendalnej akcji mają ponad tysiąc osób, które zbierają dla nich podpisy. Dzięki ich determinacji już kilkakrotnie udało się odwlec reformę. Liczą, że referendum zakończy temat raz na zawsze, bo, jak pokazują liczby, Polacy nie chcą wcześniej posyłać dzieci do szkoły – w tym roku do podstawówki z woli rodziców trafiło

tylko 17,5 proc. uprawnionych do tego sześciolatek. Akcja rodziców to jeden z wielu obywatelskich protestów, nagłaśnianych w sieci, które coraz częściej wpływają na decyzje zarówno rządu, jak i prywatnych firm. I choć eksperci przekonują, że liczba oddolnych inicjatyw nie rośnie lawinowo, to dostęp do nowoczesnych komunikatorów oraz portali społecznościowych sprawia, że ich siła rażenia znacznie wzrosła.

Są nas tysiące

Najgłośniejszy jest ostatnio o ruchu Matek Pierwszego Kwartału. – Wszystko zaczęło się od listopadowego wystąpienia ministra pracy Władysława Kosiniaka-Kamysza dotyczącego planowanych zmian w polityce rodzinnej – wspomina Joanna Pietrzak, jedna z liderów tego ruchu. Okazało się bowiem, że wiele matek oczekujących na początku 2013 r. na poród nie będzie mogło skorzystać z obiecanych przez premiera Donalda Tuska wydłużonych o pół roku urlopów macierzyńskich.

– Wylczyliśmy, że ten przywilej obejmie te matki, które urodzą dzieci po 17 marca 2013 r. Wydało mi się to głę-

boko krzywdzące, taki sztuczny podział w ramach jednego rocznika, przy jednoczesnym odebraniu od 1 stycznia 2013 r. innych przywilejów, m.in. likwidacji becikowego dla części rodzin – opowiada Pietrzak. Grupa rozczarowanych decyzją rządu Polek szybko urosła do kilkunastu tysięcy. Postanowiły powiedzieć, co o tym myślą, i wpiisały się na facebookowym profilu Kancelarii Premiera. Zaiskrzyło. Okazało się, że zawiedzionych matek jest naprawdę wiele i trudno zlekceważyć ich głos. – Skrzyknęliśmy się i ustaliłyśmy, że warto nagłośnić ten problem i być może doprowadzić w ten sposób do zmiany decyzji ustawodawców – kontynuuje Pietrzak.



MARCIN WALIŃSKI/PAP



Najbardziej aktywne oburzone założyły stronę internetową. Jak mają działać, podpowiadało im stowarzyszenie Rzecznik Praw Rodziców. Pojawił się wtedy pomysł, żeby napisać petycję do ministerstwa. Gdy ją wręczały, miały kilkaset podpisów, dziś jest ich już ponad 17 tys., a codziennie do ich profilu na Facebooku dołącza półtora tysiąca nowych internautów.

Widzialna ręka

Karolina Elbanowska porównuje dynamikę akcji społecznych do efektu śnieżnej kuli. Pierwsze podpisy kapią, a wieści o akcji rozchodzą się pocztą pantoflową. Krople szybko zamieniają

się w strumyczek, a listonosz przynosi coraz grubsze koperty z podpisami. Zaraz potem dzwonią ludzie, którzy chcą pomóc. Spontanicznie, bo czują się związani z ideą, o którą chcą powalczyć. Ożywają fora internetowe, a temat, co bardzo ważne, podchwytywać w końcu media. I wtedy strumyczek zamienia się w rwącą rzekę. Gdy Elbanowscy rozpoczęli swój protest w 2008 r. – minister edukacji Katarzyna Hall ogłosiła wtedy swój pomysł obniżenia wieku szkolnego – byli po prostu rodzicami czwórki dzieci, które miały zostać objęte reformą. Karolina jako lektorka języka niemieckiego miała rozeznanie, jak wyglądają polskie szkoły, i nie za bardzo

Karolina i Tomasz Elbanowscy chcą zebrać pół miliona podpisów pod wnioskiem o referendum w sprawie obniżenia wieku szkolnego.

wyobrażała sobie w niej swoje sześciolatnie maluchy. – Szokujące było to, że zapowiedzi szefowej MEN nie spotkały się z żadną kontrofensywą. Nie było żadnej krytyki tego pomysłu, nikt publicznie nie zgłaszał uwag czy wątpliwości – opowiada.

Temat żył jedynie na forach internetowych. Elbanowscy skontaktowali się z innymi rodzicami w kraju, którzy także byli zaniepokojeni planami resortu edukacji. Aby było im łatwiej odnaleźć się w sieci, założyli stronę Ratuj Maluchy. Dzięki temu zebrali pierwszy tysiąc podpisów pod petycją negującą reformę. Gdy podczas jednej z konferencji prasowych próbowali ją wręczyć minister Hall, ta jej nie przyjęła. Gdy jedna z urzędniczek MEN zaczęła opowiadać dziennikarzom, że Elbanowscy sami spreparowali podpisy, poprosili oni wszystkich sygnatariuszy, aby odbili na ksero swoją rękę i wysłali faksem do MEN – jako dowód, że rodzice protestujących sześciolatek istnieją naprawdę. – Akcja nazywała się „Widzialna ręka” i myślę, że kosztowała Ministerstwo Edukacji sporo tonerów – śmieje się Elbanowska. Pierwszym ich sukcesem było przekonanie do swoich racji ówczesnego prezydenta Lecha Kaczyńskiego. – Przyjął nas bardzo miło, siedzieliśmy w Pałacu Prezydenckim w towarzystwie szefa jego kancelarii Piotra Kownackiego, a po pałacowych dywanach biegały dzieciaki – opowiada Elbanowska. Efektem tego spotkania było prezydenckie weto, które nie tylko opóźniło wejście w życie ustawy, lecz także doprowadziło do tego, że MEN zmieniło model prowadzenia reformy i dało rodzicom trzyletni okres przejściowy, w którym to oni decydowali o tym, czy posłać sześciolatka do szkoły czy też nie. Był 2009 r.

Nabici w mBank

W tym samym czasie skrzykiwała się grupa klientów mBanku, którzy poczuli przez tę instytucję oszukani. Chodziło o jeden z zapisów umowy kredytowej, zgodnie z którym bank mógł zmieniać oprocentowanie klientom



PIOTR WITTMAN

bez ich wiedzy. W dodatku decyzja banku nie musiała być poparta zmianami wskaźników ekonomicznych na rynku bankowym czy walutowym, które bezpośrednio wpływały na oprocentowanie kredytów. To od samodzielnej woli zarządu zależało, kiedy, o ile i na podstawie których parametrów podwyższyć lub obniżyć stopę oprocentowania klientom, a tym samym wysokość odsetek płatnej co miesiąc raty. Klienci, którzy nazwali się Nabitymi w mBank, najpierw próbowali psuć wizerunek banku, potem wytoczyli BRE Bankowi (do niego należy marka mBank) sprawę (pозew zbiorowy), a wielu z nich dołożyło jeszcze pozwy indywidualne.

Do dziś zapadło już w tej sprawie kilka korzystnych dla klientów wyroków.

Taktyka Nabitych okazała się skuteczna. BRE Bank z 8 tys. kredytobiorców podpisał aneksy do umów kredytowych zmieniające sposób liczenia raty – w oparciu jedynie o stopę LIBOR, a nie decyzję zarządu.

24-latek Maciej Cudera, student Politechniki Gdańskiej na Wydziale Zarządzania i Ekonomii, też wypowiedział prawdziwą wojnę w sieci. Zorganizował na Facebooku akcję „Goń z reklamy bolszewika”. To była odpowiedź na reklamę marki Heyah, w której główną rolę odgrywała postać przywódcy rewolucji bolszewickiej Włodzimierza Lenina.

Joanna Pietrzak, jedna z liderów ruchu Matek Pierwszego Kwartału, który domaga się od rządu objęcia przedłużonym urlopem macierzyńskim kobiet spodziewających się dziecka na początku 2013 r.

– Użycie elementów tak jednoznacznie kojarzących się z zagładą dziesiątek milionów istnień ludzkich i z agresją bolszewicką, a później radziecką na Polskę, zasługuje w mojej ocenie na najwyższe potępienie – tak Cudera tłumaczył niedawno swoje zaangażowanie w sprawę w rozmowie z dziennikiem „Rzeczpospolita”. Jego opinię podzieliły tysiące internautów. Efekt był taki, że Polska Telefonia Cyfrowa (właściciel marki Heyah) wycofała się z emisji kontrowersyjnego spotu, a sprawę nagłośniły wszystkie największe media w kraju. W ten sposób grupa kilku tysięcy internautów posługujących się jedynie narzędziami sieciowymi zablokowała wielomilionową kampanię jednego z potentatów na rynku telekomunikacji i zmusiła firmę do przeprosin.

Tłum rządzi

Skuteczność internautów wynika z tego, że celne uderzenie w markę może zachwiać nawet największą korporacją. Jacek Santorski, konsultant w zakresie psychologii biznesu, przyznaje, że korporacje podchodzą do tego, co o nich piszą w sieci i w gazetach, coraz ostrożniej. – Wiele firm stara się budować siatki informatorów, którzy zewczas dowiadują się np. o planowanych publikacjach na ich temat – mówi Santorski i tłumaczy: – W zarządzaniu marką można wyróżnić dwa modele działania. Pierwszy to podejście pragmatyczno-cyniczne, w którym kontrowersyjna kampania przynosząca efekty napotyka na opór kontrkampanii. Wtedy zarząd firmy liczy środki i zastanawia się, czy warto atakować przeciwnika i czy koszty procesów sądowych oraz strat wizerunkowych kalkulują się z potencjalnymi zyskami. Drugi model to według Santorskiego strategia idealistyczna, polegająca na promowaniu marki bez wykorzystywania elementów powodujących konflikty etyczne.

Obywatelskich kampanii organizowanych w sieci boją się nie tylko korporacje. Społeczny opór jest także coraz skuteczniejszy w walce z absurdami fundowanymi przez urzędników. Doskonałym przykładem skuteczno-

ści aktywnych obywateli był protest w sprawie ACTA, czyli międzynarodowego porozumienia dotyczącego walki z przestępstwami naruszenia własności intelektualnej oraz praw autorskich. Dokument ten został przyjęty przez rząd bez konsultacji społecznych. Bura rozpętała się po tym, jak pod koniec stycznia 2012 r. premier Donald Tusk ogłosił, że Polska go podpisze. Hasłem do rozpoczęcia protestów był wirtualny atak na blisko 20 witryn rządowych. Do blokady przyznali się internauci działający pod szyldem grupy Anonymous, którzy przedstawili się jako kontestatorzy ograniczenia wolności narzucanej przez rządy i korporacje. Największe wrażenie zrobiły jednak wielotysięczne manifestacje. Internauci w kilka godzin zorganizowali protesty w Krakowie, Wrocławiu i Warszawie. W ciągu kilku dni poparcie dla Platformy Obywatelskiej w najmłodszej grupie wyborców spadło o 17 proc. To dlatego rząd ugiął się pod presją protestujących. Na początku lutego premier ogłosił, że podjął decyzję o zawieszeniu procesu ra-

Sygnatariusze akcji „Ratuj maluchy” skserowali swoje dłonie i wysłali odbitki faksem do MEN – jako dowód, że rodzice protestujących sześciolatków istnieją naprawdę.

tyfikacji umowy ACTA do czasu wyjaśnienia wszelkich wątpliwości.

Czekając na kapitulację

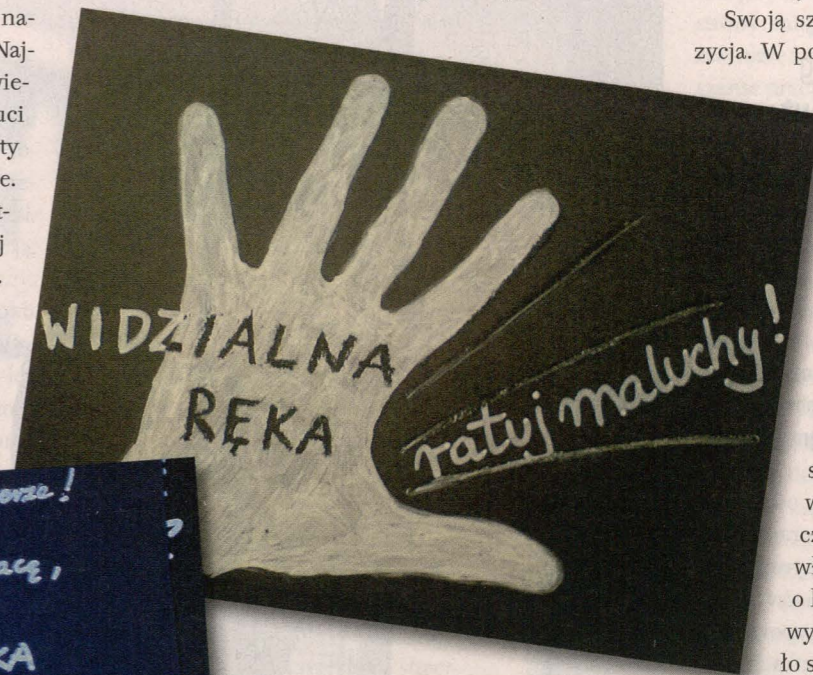
– Władza zawsze waży zagrożenia, jakie wynikają z prowadzonej przez nią polityki. Przeważnie wybiera rozwiązanie, które przynosi jej mniej strat, dlatego aby osiągnąć swój cel, grupa przeciwników określonej reformy musi wywierać tak duży nacisk, żeby przekonać władzę do tego, że wprowadzenie zmian przyniesie jej więcej strat niż zysków – mówił na łamach „Rzeczpospolitej” Leszek Balcerowicz i przekonywał, że można

daniowym TVN i tak poszło... coraz więcej poważnych mediów, portali i gazet zaczęło o nas wspominać. Gdy premier ogłaszał rok rodziny, byliśmy zaproszone już do większości stacji telewizyjnych – opowiada Joanna Pietrzak z ruchu Matek Pierwszego Kwartału. Jak cała sprawa się skończy? Na razie nie wiadomo, bo premier Donald Tusk nadal się upiera, że żadnych zmian nie będzie, bo brakuje środków w budżecie państwa. Rząd wyliczył, że kapitulacja przed matkami kosztowałaby budżet dodatkowe 400 mln zł, czyli tyle, ile ostatnio wydano na wsparcie dla LOT.

Swoją szansę wyczuła za to opozycja. W połowie stycznia PiS i Solidarna Polska złożyły w Sejmie wspólny projekt ustawy o rocznym urlopie rodzicielskim obejmującym także Matki Pierwszego Kwartału. Karolina Elbanowska przestrzega jednak przed związkami z polityką. – Społecznicy muszą działać tak, żeby nie wpisać się w partyjne spory, bo wtedy akcja traci wymiar obywatelski. Tymczasem w naszą inicjatywę włączają się osoby zarówno o lewicowych, jak i prawicowych przekonaniach. Zdarzało się nawet, że podpisy zbierała młodzieżówka PO – mówi

Karolina Elbanowska.

Siła setek tysięcy facebookowych wpisów i apeli, organizowanych w sieci manifestacji i listów protestacyjnych jest tak duża, że internauci nie muszą szukać sojuszników wśród polityków. Elbanowskiemu już raz udało się zebrać prawie 350 tys. podpisów i dzięki ich determinacji powstał raport, który pokazał fatalny stan przygotowań do przyjęcia sześciolatków przez szkoły. Minister Hall skapitulowała. Jej następczyni Krystyna Szumilas przekonuje, że nie ugnie się pod presją protestów, ale równie twarde stanowisko prezentowała także minister Hall... zanim musiała się z resortem pożegnać.



Szanowny Panie Premierze!
Szanujemy Pańską pracę, dlatego jest to ostatnia
WIDZIALNA RĘKA
wystana na ten numer.

MEN lekceważysz nasz głos. Dlatego zostaliśmy zmuszeni do pokazania, że jesteśmy konkretnymi rodzicami konkretnych dzieci. Bardzo je kochamy i dlatego zrobimy wszystko żeby nie dopuścić do wprowadzenia reformy, która je skrzywdzi.

Z wyrazami szacunku
Rodzice z Akcji Ratuj Maluchy

wymóc na władzy każde rozwiązanie, pod warunkiem że presja społeczna będzie wystarczająco duża. Dr Dominik Batorski, socjolog zajmujący się problematyką Internetu, przyznaje, że w tych działaniach pomaga globalna sieć. – To narzędzie, które pozwala łatwo zorganizować się osobom z podobnymi problemami. A kiedy akcje stają się głośne, przyciągają kolejne osoby, które się w nie angażują – mówi.

Ten sam mechanizm zadziałał w przypadku protestujących matek. Ich petycja zwróciła uwagę organizacji pozarządowych, polityków, mediów, a także pary prezydenckiej. – Najpierw była wizyta w grudniu w paśmie śnia-

ROZMAWIA JOANNA CŹWIEK

Grypa zmienną jest

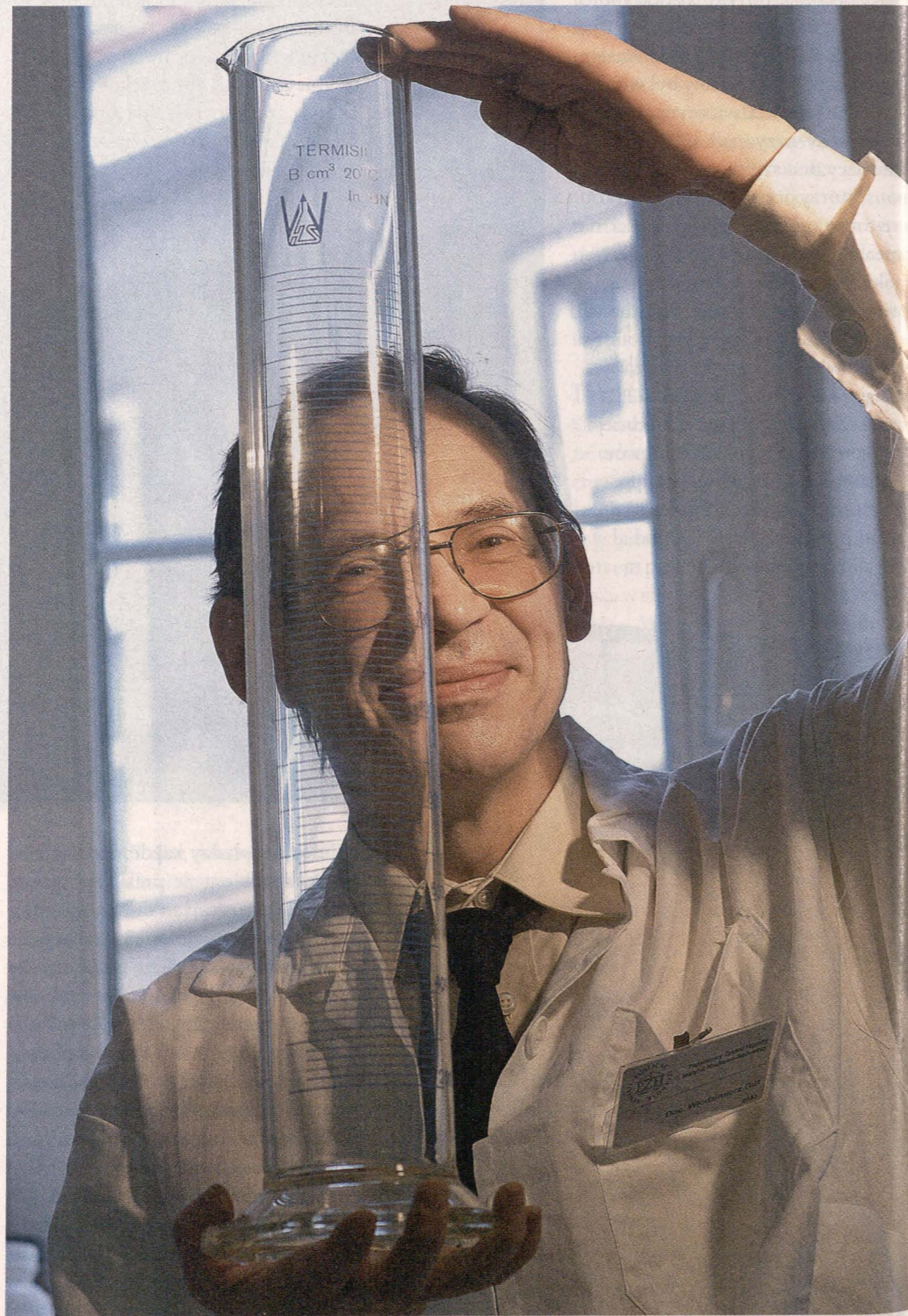
Groźne epidemie nadal zagrażają ludzkości. W każdej chwili może się pojawić choroba zakaźna, wobec której lekarze będą bezsilni. Na szczęście, jak tłumaczy wirusolog **prof. Włodzimierz Gut**, nawet najbardziej zjadliwie wirusy nigdy nie zabijały wszystkich.

Zimą zawsze wraca temat zachorowań na grypę. Do sanepidu wpłynęło już ponad 200 tys. zgłoszeń o wystąpieniu tej choroby, a w mediach pojawiły się informacje o grożącej epidemii. Czy jest się czego bać?

Grypa jest chorobą znaną od dawna. To bardzo specyficzne schorzenie atakujące drogi oddechowe, wywoływane przez kilkadziesiąt różnych wirusów. Prawie każdy z nich ma swoją fazę grypową. Stąd zachorowania liczone są w setkach tysięcy, a nawet w milionach. A ponieważ składu tych chorób nikt nie bada, to nie wiadomo do końca, czy była to grypa, czy nie.

Znamy przypadki pierwszej grypy ubiegłego wieku, tzw. hiszpanki, która zabiła od 50 do 100 mln ludzi.

Hiszpanka nie była wcale pierwszą grypą w XX w. Taką pierwszą epidemią była grypa końska, która miała miejsce w latach 1903–1906. Hiszpanka natomiast zebrała takie żniwo, bo uderzyła w bardzo złym momencie – tuż po pierwszej wojnie światowej, kiedy ludzie mieli osłabione organizmy. Poza tym warunki do rozprzestrzeniania się tej choroby były idealne, bo łatwo przenosiła się w dużych skupiskach wojska.



WZROZCZOP DAKULAFCORUM

A tak na marginesie – hiszpanka nie wybuchła wcale na Półwyspie Iberyjskim, ale w Stanach Zjednoczonych.

To skąd nazwa hiszpanka?

To zasługa mediów. Jako pierwsza nową epidemię opisała hiszpańska gazeta.

Czy dziś grypa mogłaby zabijać miliony ludzi?

Takich sytuacji nigdy nie można wykluczyć, ale obecnie grypa jest chorobą bardzo dobrze opracowaną, znamy jej podstawowe cechy, a poza tym mamy szczepionkę, która powinna na nią uodparniać.

I tak jest?

Gdybym był grypologiem, to zachęcałbym wszystkich do szczepienia się i opowiadał o jej skuteczności. Ale jestem wirusologiem i wiem, że szczepionka może pomóc, ale wcale nie musi. Wszystko zależy od tego, czy tworząc ją, uda nam się trafić we właściwy wirus.

Chodzi o to, że grypa jest co roku inna. My, opracowując szczepionkę na przyszły sezon, kierujemy się logiką i rachunkiem prawdopodobieństwa. Na tej podstawie wyodrębniamy ten szczep, co do którego jest największe prawdopodobieństwo, że zaistnieje w przyszłym sezonie. I na podstawie tych badań zlecamy produkcję, która trwa kilka miesięcy. Jeśli uda nam się trafić, to szczepionka zadziała. Ale nie zawsze przecież trafiamy. To losowa sprawa.

To chyba nie warto się szczepić. Zwłaszcza że wiele osób narzeka, iż po szczepieniu choruje.

Szczepionki są bezpieczne, nie powodują skutków ubocznych i dlatego zaszczepienie się nie zaszkodzi. A że czasami po szczepieniu wzrośnie temperatura? Ja nawet tak wolę, bo widać, że organizm zareagował.

Ale to, czy pomoże, to już druga strona medalu. Teoretycznie powinna przynajmniej złagodzić zachorowanie, ale tak naprawdę odpowiedź jest zawarta w surowicy krwi.

Amerykanie stosują szczepionkę żywą, która działa na błony śluzowe, czyli w miejscu wnikania wirusa. Czyli

jeśli trafi się we właściwy szczep, szczepionka dobrze zadziała. Taka szczepionka jest z reguły skuteczniejsza od tych, które my stosujemy.

Dlaczego nie produkujemy szczepionek na wzór amerykański?

Szczepionkę zabita, czyli taką, jaką mamy w Polsce, można podać każdemu. Może nie zadziałać, ale też nie da skutków ubocznych. Szczepionka żywa jest już mniej bezpieczna. U osób z obniżoną odpornością może dojść do choroby. Ale ponieważ nikt nam z reguły nie raczy powiedzieć, jaki profil odporności ma szczepiona osoba, bezpieczniej jest taką szczepionką nie szczepić.

Dochodzi także aspekt ekonomiczny. Produkuje się ogromne liczby szczepionek. A ponieważ są one sezonowe,

Czynniki chorobowe dostosowują się do sytuacji. To jest gra. Ten, który zabija za szybko, wcale nie jest taki groźny. Bać się trzeba wirusów, które działają z opóźnieniem.

firmy farmaceutyczne chcą ich sprzedać jak najwięcej. Łatwiejsze i tańsze w produkcji są szczepionki zabite, więc nawet gdy część trzeba wyrzucić, straty są mniejsze.

W 2009 r., kiedy mieliśmy do czynienia ze świńską grypą, ówczesna minister zdrowia Ewa Kopacz odmówiła zakupienia za państwowe pieniądze szczepionek. Czy ich brak był wówczas niebezpieczny?

Pani minister miała rację, bo to byłoby wyrzucenie pieniędzy w błoto. Nie kupiła tych szczepionek tylko dlatego, że firma, która je sprzedawała, nie chciała wziąć za nie odpowiedzialności, a sama szczepionka pomogłaby albo nie. Niemcy wtedy kupili i co? Zużyli zaledwie 8 proc. z nich. Tak naprawdę zaszczepienia są skuteczne tylko w przypadku tych chorób, które występują raz w życiu.

Na zdjęciu po lewej prof. Włodzimierz Gut, wirusolog z Zakładu Wirusologii Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego.

Czyli te, które wchodzą do obowiązkowego kalendarza szczepień dla dzieci, np. odra, świnka, różyczka, polio, krztusiec czy WZW typu B.

Te szczepionki są skuteczne, jeśli obejmują co najmniej 90 proc. populacji. Dzięki nim udało się jako tako opanować choroby zakaźne w Europie, choć nie do końca. Są rodzice, którzy odmawiają wykonania takich szczepień u swoich dzieci, dlatego nadal wybuchają ogniska tych chorób. Nie są jednak tak groźne jak kiedyś, bo ludzie zdążyli się już na nie uodpornić. Każdy patogen, z którym styka się populacja ludzka jako pierwsza, jest wysoce śmiertelny. Ale z jednej strony patogen, który zabija gospodarza, idzie z nim do grobu. Czyli większe szanse przetrwania mają szczepy łagodniejsze.

Z chorobami najgorzej jest wtedy, gdy pojawiają się wśród ludzi, którzy nigdy się z takim patogenem nie spotkali. Tak było np. z odrą w Ameryce Północnej, która wykosowała w pień Indian. Osadnicy z Europy dali im po prostu koce, którymi wcześniej przykrywano chore dzieci. U nas była to choroba dzieci o stosunkowo łagodnym przebiegu.

Z drugiej strony wielu osadników z Europy doświadczyło chorób przenoszonych przez piski preriowe, na które znów Indianie byli odporni.

Ta historia z Indianami zainspirowała także wielu do rozpoczęcia prac nad skonstruowaniem broni etnicznej, która działałaby na jednych, a na innych nie. Na szczęście ludzie zdążyli się już tak wymieszać, że taka broń prawie na pewno nie ma racji bytu.

Kontrowersje wśród rodziców wzbudza natomiast szczepionka przeciwko ospie, która jest nieobowiązkowa, ale zalecana przez lekarzy.

Szczepionka przeciwko ospie to bardzo dziwna szczepionka. Była to jedyna szczepionka, która miała określoną normę bakterii. I niestety dawała komplikacje. W latach 60., gdy we Wrocławiu wybuchła słynna epidemia ospy, dziwnym trafem po przeprowadzonym wówczas szczepieniu zmarło dokładnie tyle osób, ile na skutek choroby. W tej chwili, gdybyśmy zaszczepili populację, to można śmiało powiedzieć,

że mielibyśmy od 6 do 9 tys. zgonów, nie licząc powikłań typu porażenie nerwowe. Dlatego masowe szczepienia nie mają sensu. Poza tym ospa ma jedną, bardzo korzystną cechę, której nie mają inne wirusy. U większości z nich okres zakaźny poprzedza objawy. Z ospą jest odwrotnie – można zarazić się dopiero wtedy, gdy choroba się ujawni. A wtedy zapobiega się jej rozprzestrzenieniu poprzez kwarantannę.

To dlatego otoczono wtedy Wrocław kordonem sanitarnym? Ale on też nie zapobiegł rozprzestrzenieniu się choroby.

Nie był on szczególnie szczelny. Mnie udało się wówczas przejechać przez miasto, w drodze powrotnej do Warszawy ze Szklarskiej Poręby. A choroba się rozprzestrzeniła, bo nie zareagowano na nią w porę. Wirusa przywłókł wówczas z Indii do Polski pracownik ówczesnych służb specjalnych. Trafił do szpitala, od niego zaraziła się pielęgniarka, która zmarła. Pielęgniarka była lubiana, na pogrzebie wszyscy się z nią serdecznie pożegnali i zachorowali. Uczestników pogrzebu zamknięto w ośrodku na czas kwarantanny, ale niektórzy z osobistych powodów nie chcieli się temu poddać. I choroba się rozniosła.

Dziś rodzice zamiast szczepić dziecko, wolą iść na „ospa party” do chorego rówieśnika. Dzieci się zarażają od siebie, chorują i uodparniają w naturalny sposób. Co pan o tym myśli?

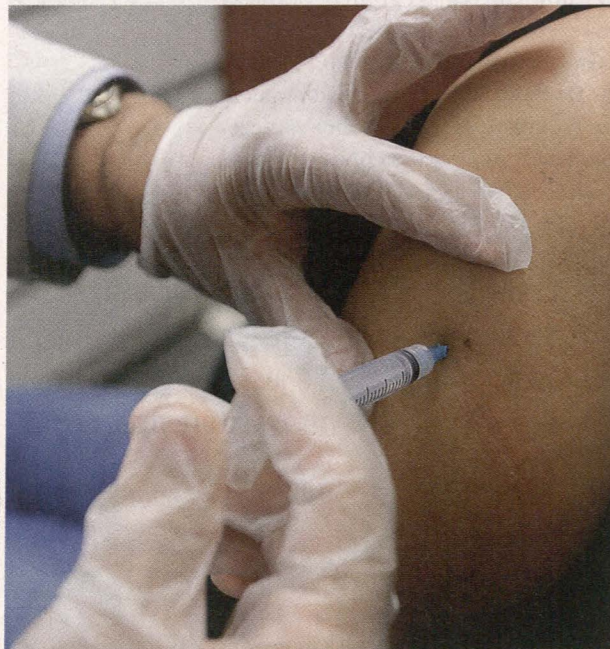
Jak ktoś chce dziecku zafundować półpaśca na starość, to niech z nim idzie na taką imprezę. Ten wirus ma to do siebie, że lokuje się w węzłach i ma skłonności do reakcji w okresach obniżonej odporności w postaci półpaśca. Dziecko przejdzie ospę, ale to nie oznacza, że wirus nigdy nie wróci.

Jednocześnie wciąż nie mamy pewności, czy szczepienia też nie dają latencji, bo pokolenie, które zostało zaszczepione w przeszłości, jeszcze się nie zestarzało.

Ja swoje dziecko bym zaszczepił z prostego powodu – jeśli na szczepionkę zareaguje gwałtownie, to gdyby niezaszczepione złapało wirusa, mogłoby się to bardzo źle skończyć.

Mówiliśmy o epidemiach w Ameryce i Azji, ale Europy także choroby nie oszczędzały. Mieliśmy przecież dżumę, cholere czy tyfus. Śmiertelne żniwo zebrała zwłaszcza dżuma w średniowieczu.

To nie była dżuma. Dżuma jest przenoszona przez pchły i szczerzy. A na średniowieczną zarazę chorowano także na Islandii, gdzie szczerów nie ma. Poza tym przed chorobą chroniła kwarantanna, która w przypadku dżumy się nie sprawdza. Rzeczywiście, zaraza przetrzebiła Europę. Na początku chorowali na nią wszyscy, którzy się z nią



MARIO TAMMA/GETTY IMAGES/AFP

z zetknęli. Potem stopniowo pojawiały się osoby, które były na nią odporne albo przechodziły ją łagodnie. Zaczęła się kształtować odporność genetyczna populacji. A potem choroba zniknęła. Nie wiadomo dlaczego. Czy dlatego, że populacja stała się zbyt rzadka, czy dzięki kwarantannie, czy też doszło do wyselekcjonowania osobników mało wrażliwych, czy zadziałały wszystkie czynniki razem wzięte.

Potem ludzie z tych samych rodzin byli odporni na ospę. A teraz na HIV. Właśnie przez te średniowieczne doświadczenia populacja europejska aż tak szybko wirusa HIV nie łapie. Choć nie wiem, czy powinienem o tym mówić głośno.

W Polsce stosuje się szczepionkę zabita, a w USA szczepią jej żywą odmianę, która działa w miejscu wnikania wirusa. Jeśli trafi się we właściwy szczep, szczepionka dobrze zadziała.

„Czarna śmierć” podobno doprowadziła do zniesienia systemu feudalnego, bo chłopcy pomarli.

To prawda, ale wielka zaraza rozpoczęła także nagonkę na czarownice. Jak wiadomo, te kobiety zajmowały się antykoncepcją i aborcją. A ponieważ brakowało rąk do pracy, palono na stosach tych, którzy przyczyniali się do tego, że dzieci rodziło się mniej.

„Czarna śmierć” miała też swój udział w powstaniu ksenofobii. Ludzie bali się obcych, bo przynosili śmierć. W średniowieczu było wielu uciekinierów z miast, w których panowała zaraza. Przemieszczając się, roznosili choroby.

Czy dziś są możliwe takie epidemie?

I tak, i nie. Nie wierzę, że zagraża nam np. wirus ebola, bo zanim zarażony osobnik dotrze do Europy, choroba da o sobie znać i co najwyżej dotknie osób, które siedziały z nim w samolocie. Nie wykluczam też, że może zmutować np. małpia ospa, ale przecież nie musi. Pocięszające jest to, że wirusy zawsze mutowały, a jednak populacja ludzi nie wyginęła.

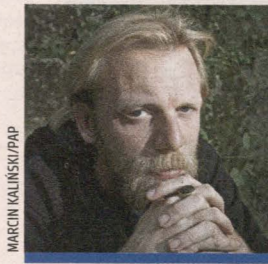
Czynniki chorobowe również dostosowują się do sytuacji. To jest gra. Ten, który zabija za szybko, wcale nie jest taki groźny. Ten, który nie zabija, może mieć różne konsekwencje, ale też nie jest aż taki groźny. Najgroźniejsze są te, które działają na zasadzie bomby z opóźnionym zapłonem. I prawie na pewno nie będzie to to, co znamy teraz, bo na to już się jakoś uodporniliśmy.

Straszenie ludzi określonymi wirusami to wróżenie z fusów. Problem byłby dopiero wtedy, gdyby z ludźmi zrobiono to, co z gepardami.

Gepardy są w 100 procentach jednorodnie genetycznie. Doprowadzono do tego, że każda choroba, która zabija jednego, zabija wszystkie. Nasza nadzieja jest w zróżnicowaniu. Jeżeli kiedyś zaczniemy sobie dobierać geny na zasadziecech pożądanym, to musimy pamiętać, że cechy pożądanym występują z cechami niepożądanymi. Jeżeli stanemy się tak mądrzy, że będziemy decydować, programować człowieka, przytrafi się nam nieszczęście. ☹

Max Cegielski

Kochani rodzice...



MARCIŃ KALINSKI/PAP

Ani kary więzienia, ani rozmowy z nastolatkami i umoralniające lekcje nie wyleczą katuszy dojrzewania w XXI w.

Pierwszego dzointa zapaliłem chyba tuż po tym, kiedy straciłem dziewictwo, czyli kiedy miałem 15 lat. O historycznych chwilach nie wiedzieli rodzice, co z perspektywy czasu wydaje mi się dosyć oczywiste. Przypuszczam, że moi dziadkowie również nie mieli pojęcia, kiedy ich dzieci zaczęły bawić się w „sex, drugs and rock'n'roll”. Na szczęście za komuny liczba używek była bardzo ograniczona, postęp technologiczny, dzięki któremu wysyłamy dziś satelity w kosmos, nie pozwalał jeszcze robić w domu amfetaminy, a żelazna kurtyna zatrzymywała też kontenery heroiny z Azji. Po Okrągłym Stole, zanim moi rodzice się zorientowali, co robię, byłem wraz z kolegami pochłonięty torebkami pełnymi amfy produkowanej w wolnej ojczyźnie. Wszyscy pochodziliśmy z dobrych domów, wcześniej braliśmy udział w olimpiadach i pisaliśmy wiersze. Zdaliśmy do „renomowanych liceów”, ale wszyscy byli zbyt zajęci transformacją ustrojową, żeby badać nam mocz. Dosyć szybko zresztą wielu z nas, wciąż nieletnich eksperymentatorów, wyciągnęło wnioski z planu Balcerowicza i wzięło sprawy w swoje ręce. Budowaliśmy kapitalizm, aż się kurzyło z głów i fifek, kreski towaru wciągaliśmy szybko z biurków nowych inicjatyw gospodarczych. Nie mieliśmy czasu na depresje ponarkotykowe. Jaranie shitu, czyli heroiny, skutecznie wyciągało nas z dołów. Nikt nie prowadził nas za rączkę do przychodni psychologicznej, ponieważ zdążyliśmy się już wyprowadzić z domów i cierpieć musieliśmy na własną rękę. Do czasu, aż pękła bańka mydlana polskiego wczesnego kapitalizmu i naszego uzależnienia. Ja wylądowałem w ośrodku dla narkomanów w 1998 r., inni koledzy trochę później, inni niestety nigdy...

Co to ma wspólnego z samobójczą śmiercią Stasia? Nic. Losy każdego młodego użytkownika zarówno miękkich, jak i twardych narkotyków są zupełnie inne, tak jak różne są osobowości i czasy. Moje doświadczenie życiowe jest nie do powtórzenia, a nawet, obawiam się, dziś nikt by nie dał rady funkcjonować tak jak my przez dziesięć lat. Kiedy więc rozdzwania się mój telefon i zapycha e-mail, ponieważ media szukają ekspertów od narkotycznej sensacji, mogę tylko odpowiedzieć

pytaniem: „Dlaczego historia świata i kultury wybrukowana jest dragami?”. Każdy wrażliwy człowiek zadaje sobie regularnie pytanie: „Czy życie ma sens?”. Zazwyczaj odpowiedź brzmi: „Raczej nie”. Motorem cywilizacji są próby stworzenia innego modelu, nowych światów, ciekawszych niż szkółka niedzielna i praca w korporacji.

Własne doświadczenie uprawnia mnie jedynie do domniemania, że świętej pamięci Staś, podobnie jak ja i setki innych przed nami, doszedł w swoich rozważaniach do podobnego punktu. Tyle że życie nie zaproponowało mu wtedy budowania kapitalizmu bądź komunizmu, żadnej dużej sexynarracji. Trochę muzykował, trochę pisał, próbował zabić to niemodne dziś poczucie bezsensu. Czuł się zagubiony, bo kto się nie czuje? W kraju alkoholików i pozeraczy tabletek przeciwbólowych psycholog zapisał nastolatkiwi lek antydepresyjny. Tak jakby sam był przekonany, że życie jest różowym pasmem sukcesów, a z pesymizmu trzeba się leczyć. Tak jakby bóle dojrzewania płciowego i emocjonalnego stanowiły jedynie temat reklam środka na pryszcze.

Cierpienia młodych Werterów, jednym z nich był niewątpliwie Staś, muszą być szczególnie trudne, kiedy ich problemy zostają sprowadzone do policyjnej kontroli mocz w szkołach, do medialno-politycznej przepychanki „legalizować czy nie?”. Na pytanie, co to samobójstwo ma wspólnego z marihuaną, odpowiadam, że nic. Nie należy mylić skutku z przyczyną. Ani kary więzienia, ani rozmowy z nastolatkami i umoralniające lekcje nie wyleczą katuszy dojrzewania w XXI w. Ani legalizacja, ani penalizacja nie spowoduje, że życie zamieni się w kreskówkę o kucykach. Kiedy więc przyszły samobójca mówi rodzicom szczerze, że jego zdaniem życie nie ma sensu, całkowicie się z nim zgadzam. Niestety, nie mam na to czasu, ponieważ moja córka ma szkarlatynę. Wieczorem, kiedy wrócę z pracy, znów mi się przypomni, że „no future”, więc napiję się wódki. Nie mogę spalić blanta, bo jeszcze w ramach nowej społecznej paranoi mnie aresztują. I kto wtedy spłaci kredyt mieszkaniowy? ☹

Autor jest dziennikarzem i pisarzem. Ostatnio opublikował „Mozaikę. Śladami Rechowiczów”.

MARIANNA SASKA

Jawa czy sen

W Kuńkowcach pod Przemysłem grupa zapaleńców zbudowała średniowieczną wioskę.

Na początku odbywały się tam gry terenowe, ale dziś to także stały adres dla tych, którzy wolą życie bez bieżącej wody i prądu.



ADRIANNA MARKOWICZ

O d tygodni tułamy się po bezdrożach. Brakuje jedzenia i wody. Nagle z przodu karawany dobiega nas okrzyk: „Wioska! Fort!”. Jesteśmy uratowani! Na wzgórzu stoi drewniana twierdza otoczona palisadą. Na podgrodziu stoją chaty – znajdziemy w nich schronienie. Nad rzeką drewniany mostek. W rzece... trup.

Tak rozpoczęła się jedna z przygód organizowanych w Wiosce Fantasy. Zbieranina uciekinierów trafia do przekłetej osady. Są tu wszelkie wygody: dach nad głową, strawa i ogień, nikt nie czuje się bezpiecznie. Łączy nas wspólny cel, jakim jest przetrwanie, ale są wśród nas też wrogowie. Każdy skrywa jakiś sekret. Ja sama jestem opętana. Jeśli dowiedzą się o tym łowcy czarownic, nie żyję. Choć to tylko zabawa i wiem, że dobiegające zza palisady krzyki i przesłuchujący mnie inkwizytorzy to moi znajomi, mam niezłego stracha. Ta zabawa to LARP, czyli Live Action Role Play.

Wyobraź sobie, że przenosisz się na plan filmowy, brakuje tylko kamer, widzów i nie ma znanego z góry zakończenia. Jest scenariusz, który zakłada pewne wydarzenia, np. to, że w wiosce wybucha epidemia. Są co prawda przypisane role, ale stanowią one tylko punkt wyjścia. To ja decyduje, jak zachowa się moja postać. W tej grze wcielam się w pomyloną wyznawczynię boga chaosu. Mam własne cele, które mijają się z celami łowców czarownic. Czy uda mi się ich zmylić? Czy domyślą się, że jestem „zła”?

Osadnicy z miasta

Gramy w Kuńkowcach pod Przemysłem, gdzie grupa zapaleńców własnymi rękoma zbudowała prawdziwą średniowieczną wioskę. Wszystko jest drewniane: fort, chaty, palisady. Pomyślowcą i założycielem Wioski Fantasy jest Remigiusz Maciupa, pochodzący z Kuńkowic absolwent socjologii. W dzieciństwie bawił się na tych terenach z przyjaciółmi. Nieopodal w lesie mieli swoją „bazę”. W 2008 r. Remigiusz założył Przemyską Gildię Fantastyki, nieformalną grupę organizującą gry terenowe. Brakowało im

Uczestnicy Live Action Role Play, w skrócie LARP, wcielili się w role średniowiecznych osadników i grają o tron. To tylko zabawa, ale drewniana osada pod Przemysłem jest prawdziwa i w przyszłości ma przyciągać turystów przez cały rok.



OSKAR USAREK

jednak tej „bazy” z dawnych lat, w której, już jako dorośli ludzie, mogliby grać. Postanowili więc zbudować ją sami. Dostali pieniądze z unijnego programu „Młodzież w działaniu” i ziemię od gminy. Budowę rozpoczęli w 2010 r.

Początkowo w Wiosce Fantasy raz na jakiś czas organizowano głównie LARP-y. To jednak nie wykorzystywało potencjału miejsca, w które Remigiusz i jego znajomi włożyli ponad dwa lata pracy. W lecie 2012 r. powstała nowa budowla – karczma ogrzewana wielkim kominem. Dzięki niej wioska może funkcjonować przez cały rok, a jej założyciele postanowili zamieszkać w osadzie na stałe.

Obecnie osadników jest dwóch. Remigiusz i Oskar to twardziele, którzy nie boją się spędzić zimy w średniowiecznych warunkach. Ale to dopiero początek.

– Chcemy stworzyć samowystarczalną społeczność. Codziennie dostajemy e-maile od ludzi, którzy chcą do nas dołączyć. Wszystko ruszy pełną parą, kiedy tylko zrobi się trochę cieplej. Na wiosnę, oprócz ludzi, zamieszkają z nami zwierzęta. Na początek będą

W wiosce nie ma elektryczności, ale wkrótce będzie sauna i łaźnia z kąpielnią. Jest już ogrzewana wielkim kominem karczma.

to kozy i kury. Psa już mamy. Wtedy też zaczniemy uprawiać ziemię – opowiada Remigiusz.

Założyciele osady chcą zadbać o komfort życia mieszkańców. – W wiosce nie ma elektryczności ani sedesów z porcelitu. Budujemy za to saunę i łaźnię z kąpielnią, w której zmieści się sześć osób. Po dniu pracy mieszkańcy wioski będą mogli napić się piwa w karczmie, zjeść gorący obiad i położyć się spać we własnej chacie lub na ciepłym strychu – wyjaśnia Remigiusz, który doświadczenie logistyczne i survivalowe zdobywał w harcerstwie.

Drewno, kamienie i złoto

Jednak osady, która może przyciągać i utrzymać całą społeczność, nie wybuduje się tylko dobrymi chęciami. W styczniu ruszyła kampania finansowania społecznościowego na rzecz Wioski Fantasy w serwisie Indiegogo (indiegogo.com/fantasyvillage). Pieniądze potrzebne są przede wszystkim na zakup budulca.

– Zauważyliśmy, że Wioska Fantasy jest inspiracją dla wielu osób, zwłaszcza tych przytłoczonych życiem w mieście. Udowadniamy, że pasja i ciężka praca wystarczą, aby stworzyć niesamowite miejsce do życia. Indiegogo pozwoliło nam pokazać nasz projekt światu i mamy nadzieję, że spotka się z pozytywnym odzewem. Może kogoś zainspirujemy i podobne wioski powstaną



ADRIANNA MARKOWICZ

w innych krajach? – zastanawiają się założyciele.

Odzew jest rzeczywiście spory. Jednym z fundatorów został Sander Bruining z Holandii, miłośnik fantastyki i gier terenowych. Spytałam go, dlaczego zdecydował się wesprzeć akurat ten projekt. – Dla mnie w LARP-ach najważniejsza jest atmosfera i wolność, jaką dają te gry. Niestety, gdy dzień dobiega końca, wszyscy musimy wrócić do codziennego życia. Ludzie z Wioski Fantasy spełniają marzenia larpowców: życie w fantastycznym świecie, w prawdziwym grodzie, jak w filmach! Kiedy tylko usłyszałem o tym projekcie, postanowiłem wziąć w nim udział. Chciałem pomóc założycielom wioski osiągnąć to, o czym inni tylko marzą. Już nie mogę się doczekać, kiedy po raz pierwszy odwiedzę osadę – odpowiada Bruining.

Po zakończeniu kampanii na Indiegogo Remigiusz i jego ekipa planują przeprowadzenie podobnych akcji w polskich serwisach crowdfundingowych. Są też otwarci na wsparcie firm, organizacji i innych sponsorów.

Strawa z kotła

To był mój drugi dzień w osadzie. Siadamy przy ognisku, na którym gotuje

Planowane wydarzenia:

1 – 5 maja – w długi majowy weekend mieszkańcy wioski organizują imprezę w klimacie fantasy połączoną z piknikiem historycznym. Uczestnicy będą brać udział w LARP-ach i innych grach. Odbędą się także dni otwarte dla turystów.

26 lipca – 4 sierpnia – Fornost to impreza terenowa dla miłośników twórczości Tolkiena. Głównym punktem programu jest trzydniowy LARP osadzony w tolkienowskim Śródziemiu. Codziennie odbywać się będą konkursy, turnieje i ogniska.

się kocioł zupo-kaszo-gulaszu. Choć wciąż wszystkim burczy w brzuchach, musimy czekać na swoją kolej. Nie każdy ma własną miskę i łyżkę, więc trzeba poczekać, aż inni zjedzą. W daniu da się wyczuć smak popiołu i zapach dymu z ogniska. Po chwili dowiadujemy się, że zupa była zatruta. Zaczynamy chorować...

To scenariusz dwudniowej gry, która odbyła się latem. A jak wygląda życie osadników zimą?

– Jest ciężko, nie tylko ze względu na chłód, ale dlatego, że wszystko zajmuje mnóstwo czasu – opowiada Oskar Usarek, który w wiosce mieszka od listopada. – Rano zjadamy coś na zimno. Trzeba napalić w piecu, żeby rozgrzać blachę, na której ugotujemy obiad.

Na blasze kocioł z gulaszem czy potrawką gotuje się ze trzy godziny. Przyносimy wodę, robimy obchód wioski. Póki jest dzień, pracujemy na zewnątrz: rąbamy drewno, budujemy. Wieczorami, przy świeczkach, naprawiamy ubrania i szyjemy stroje.

Gosia Balicka, studentka drugiego roku bohemistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, jest regularną bywalczynią Wioski. Pod koniec lata spędziła w niej ponad miesiąc. Karczma była wtedy w budowie. – Kiedy mieszkasz w wiosce, reguluje ci się tryb życia, uzależniasz się od przyrody. We wrześniu poranki były już chłodne, a spaliliśmy w chatkach bez ogrzewania. Gosia opowiada, że wraz z innymi wstawiała około 8 rano. Trzeba było przynieść wodę, ugotować ją na ognisku, bo wtedy jeszcze nie było pieca. Potem już praca. – Ja zajmowałam się głównie gotowaniem, ale też pomagałam przy budowie. Obiad przyrządzany na ognisku trzeba zacząć robić o 11. Menu było uzależnione od naszych finansów, tego, co dostaliśmy od ludzi lub przywieźliśmy z domów. Wrzucaliśmy do garnka, co akurat było pod ręką. Czasem wychodziły rewelacyjne rzeczy. Myć naczyń to zawsze była męczarnia, uży-

waliśmy niechemicznych środków, żeby można było wylać pomyje w lesie – dodaje Gosia Balicka.

Życie z epoki

Podczas gry uczestnicy prezentują na sobie najróżniejsze stroje. Ja gram prostą chłopkę, więc wystarcza mi zgrzebna tunika i gruby, wełniany płaszcz. Są jednak wśród nas i rycerze w błyszczących zbrojach, i kapłani w długich szatach, i wojownicy odziani w skóry. Jak na razie wioska przeistacza się w fantastyczny świat tylko podczas LARP-ów. Jednak już na wiosnę stanie się prawdziwą, działającą przez cały rok średniowieczną osadą. – Wioska będzie strefą utrzymaną w klimacie średniowiecza. Wszyscy mieszkańcy będą cały czas chodzić w strojach z epoki. Jeśli ktoś zechce przyjechać i pomieszkać z nami dłużej, będzie musiał przygotować się na takie życie. Przewidujemy co prawda miejsce, gdzie będzie można trzymać cywilne ubranie, laptopa czy komórkę. Warto jednak się zastanowić, bez czego tak naprawdę możemy się obyć – mówi Remigiusz i dodaje: – Jeśli

ktoś chce nas odwiedzić już teraz, musi zdawać sobie sprawę z tego, jak tu żyjemy. Warunki są, no cóż, średniowieczne, w dodatku w środku zimy. Nie jesteśmy jeszcze gotowi przyjmować tłumów gości, ale już niedługo będziemy otwarci na turystów i wolontariuszy.

Do obowiązków mieszkańców wioski należeć będzie rozbudowa osady, prace gospodarskie i rzemieślnicze. Osadnicy będą oprowadzać turystów i zapewniać im dodatkowe atrakcje. Planują też gry przygodowe dla rodzin, naukę strzelania z łuku, zdjęcia w strojach historycznych. Poza tym mają zamiar sprzedawać pamiątki, które sami wyprodukują. Głównym źródłem utrzymania Wioski pozostaną LARP-y.

Ucieczka od dorosłości

„Byłam ranna i schowałam się w chacie, a oni ją podpalili! Widzieliście jak wyskoczyłam przez okno?”. Po skończonej grze wspomnieniom nie ma końca. Oczywiście nikt tak naprawdę chaty nie podpalił, ale ja rzeczywiście uciekłam przez okno, aby uratować się od wymaganych płomieni. Przypadkowy



ADRIANNA MARKOWICZ

Zdjęcie po lewej, u góry: Gra o tron, miejsce akcji: okolice średniowiecznej osady.

Ludzie z Kuńkowic, m.in. Remigiusz Maciupa (na zdjęciu obok, w środku) spełniają marzenia larpowców: życie w fantastycznym świecie, w prawdziwym grodzie, jak w filmach!

Wioska Fantasy w Internecie

- [indiegogo.com/fantasyvillage](https://www.indiegogo.com/fantasyvillage) Kampania crowdfundingowa – każdy może się przyczynić do rozbudowy osady
- [facebook.com/wioskafantasy](https://www.facebook.com/wioskafantasy) – najnowsze informacje o projekcie
- wioskafantasy@gmail.com – skontaktuj się bezpośrednio z założycielami

obserwator mógłby pomyśleć, że znalazł się w wariatkowie. Opowiadamy o obleżeniu, porwaniach, zadanych ranach, krwawych rytuałach. Dla nas te rzeczy wydarzyły się naprawdę.

Odgradzeni drewnianą palisadą od realnego świata zapominamy o jego istnieniu. Większości z nas praca i obowiązki pozwalają tylko na kilka takich weekendów w roku. Niektórzy wykorzystują urlop i przyjadą na tydzień, dwa. A kto zamieszka w osadzie na stałe? Piotruś Pan przewodził grupie Zaginionych Chłopców w Nibylandii. Ile osób, które nigdy nie chcą dorosnąć, zgromadzi wokół siebie Remigiusz w Wiosce Fantasy? ☞

ROZMAWIA ARTUR CIECHANOWICZ

Rosjanie już się nie boją władzy

Jest uznawana za duchową przewodniczkę opozycyjnej młodzieży rosyjskiej. Należy do nielicznych żyjących jeszcze sowieckich dysydentów z pokolenia Sacharowa i Jakowlewa. W rozmowie z „Przekrojem” **Ludmiła Aleksiejewa** opowiada o politycznej adopcji Gerarda Depardieu i szansach na prawdziwą demokrację nad Wołgą.

Jak donosi „Komsomolskaja Prawda”, w Białych Słupach pod Moskwą Gerard Depardieu buduje dom. Jest pani dumna, że została radczą francuskiej gwiazdy kina?

Niewyobrażalnie. Zachodnie gwiazdy rzadko nas rozpieszczają. A tu nagle taki zaszczyt. Po prostu brak mi słów. To oczywiście sarkazm.

Dlaczego właściwie prezydent Putin zaproponował Depardieu rosyjskie obywatelstwo?

To ruch propagandowy. Władza myślała, że w ten sposób zwróci na siebie uwagę Zachodu w trochę bardziej pozytywnym kontekście niż zazwyczaj. Rządzący Rosją nie mają – zwłaszcza ostatnio – zbyt dobrej prasy w Europie. A to Parlament Europejski coś uchwali, a to Bundestag. Uznali zapewne, że polityczna adopcja Depardieu poprawi ich reputację.

Mylili się?

Przecież pan doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że takie posunięcia są żałosne. PR-owsko przynoszą o wiele więcej szkody niż pożytku, bo na odległość czuć je udawaniem, nieszczerością i obłudą – krótko mówiąc, potiomkinowskimi wioskami. Ale ludzie, którzy są obecnie przy władzy, wydają się nie mieć najmniejszego wyczucia w tej kwestii. Zwłaszcza że Depardieu wcale nie ukrywa własnej motywacji. Nie przyjął przecież obywatelstwa dlatego, że podziwia rosyjską kulturę, tylko z powodów finansowych. W Rosji obowiązuje 13-procentowy podatek

liniowy i to dla niego świetne rozwiązanie. Ale nawet mimo to nie sądzę, żeby przyszło mu do głowy samemu ubiegać się o rosyjskie obywatelstwo. Przyjął je tylko dlatego, że zostało mu podane na tacy przez Władimira Putina. No cóż, tak jak powiedziałam, władza w Rosji ma talent do kompromitowania się. Opozycja nie musi tego robić – Kreml i Duma ją wyręczają. Wystarczy chociażby przypomnieć haniebną odpowiedź na tzw. ustawę Magnitskiego autorstwa amerykańskiego Kongresu (ustawa zabrania udzielania wizjazdowych do USA rosyjskim funkcjonariuszom rządowym współodpowiedzialnym za śmierć w areszcie w roku 2009 adwokata Siergieja Magnitskiego, a także innym urzędnikom podejrzanym o łamanie praw człowieka – red.).

Duma przyjęła prawo nazwane przez opozycję „ustawą Heroda”, wprowadzające zakaz adopcji rosyjskich sierot przez obywateli USA. To szokujące.

Oczywiście. To kanibalistyczne przepisy. Nie można ich inaczej nazwać. Używanie własnych obywateli jako zakładników, jako w pewnym sensie żywych tarcz, jest po prostu haniebne i obrzydliwe. W tym znaczeniu ustawa wpisuje się we wspomnianą nieumiejętność oceny przez władzę, co jest dopuszczalne, a co nie. Ale nawet w tej kanibalistycznej ustawie Duma nie potrafiła się skompromitować na poważnie. Musiała zrobić to groteskowo.

Władimir Putin nie ma dobrej prasy w świecie, szczególnie po wprowadzeniu tzw. ustawy Heroda. Obywatelstwo dla Depardieu to próba przedstawienia Rosji w pozytywnym kontekście.



Co ma pani na myśli?

W „ustawie Heroda” jest bardzo interesujący punkt. Otóż nakłada ona sankcje wizjazdowe na 60 urzędników USA, którzy rzekomo łamią prawa człowieka w Ameryce. Już sobie wyobrażam, jaka panika i żal ogarnęły tych urzędników, jak ich rodziny wstydzą się i myślały o zmianie nazwisk. Przecież to absurdalne. Żeby jeszcze bardziej się skompromitować, mogli ogłosić, że zamrażają

konta amerykańskich obywateli w Sberbanku. I miałyby to dla USA takie samo znaczenie. Powiedzmy sobie szczerze: gdyby nie kanibalistyczne zapisy rosyjskiej ustawy, to nikt by o niej nawet nie usłyszał.

A może „ustawa Heroda” jest odbierana w Rosji jako próba obrony dobrego imienia kraju i jest symetryczną odpowiedzią na tzw. ustawę Magnitskiego?

Rosja nie jest w stanie udzielić USA symetrycznej odpowiedzi. Może co najwyżej próbować udzielić identycznie brzmiącej. Ale niby kto da się na to nabrać? To jest klasyczny argument w stylu: „A u was biją Murzynów”. I muszę panu powiedzieć, że Rosjanie właśnie tak to odbierają. Jestem naprawdę z nich dumna. Zorganizowali masowe akcje protestu przeciwko „ustawie Heroda”, a teraz zbierają podpisy za roz-

wiązaniem Dumy. Jestem pod wielkim wrażeniem godności, z jaką naród rosyjski zareagował na zniewagę i hańbę, której dopuścił się parlament. Nie mówię tego jako nacjonalistka, bo nią nie jestem. Mam wrodzoną wadę, która polega na tym, że nie potrafię oceniać ludzi według narodowości. Nawet nie umiem po rysach twarzy określić przynależności etnicznej. W związku z tym jestem zmuszona do oceniania według



czynów, działań. To, co robią Rosjanie w odpowiedzi na skandaliczne zachowanie Dumy, jest godne szacunku.

Ale pewnie niczego nie zmieni.

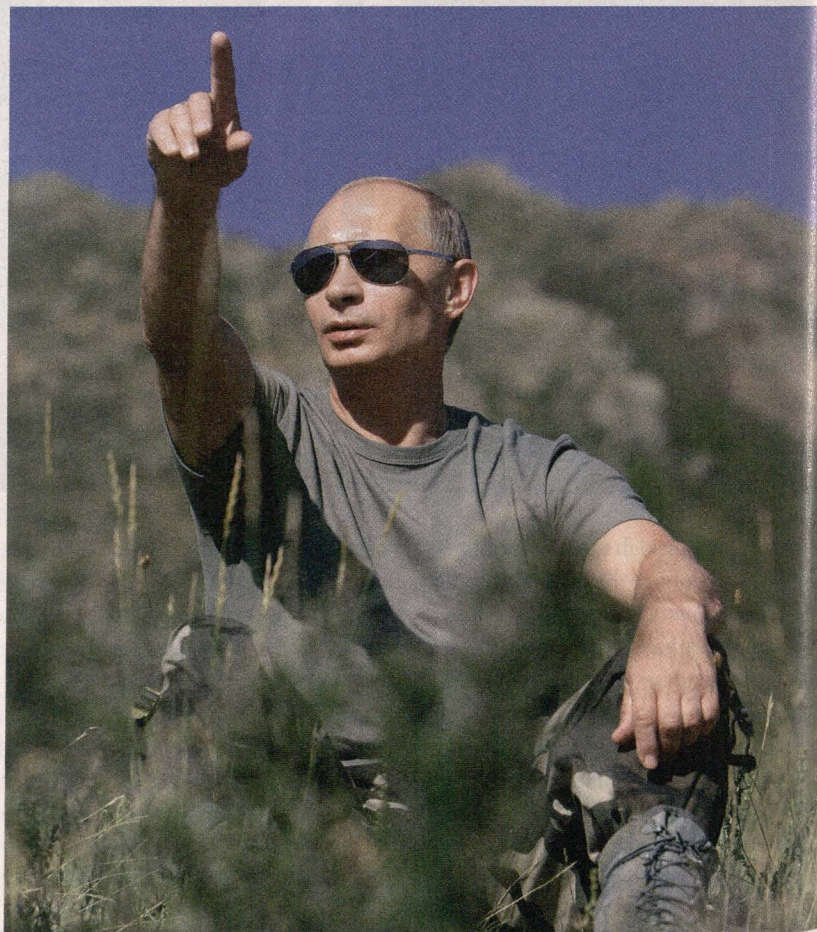
Może nie w krótkim czasie. Prezydent rzeczywiście raczej nie rozwiąże parlamentu, w którym większość ma jego partia – Jedna Rosja. Ale to ważny sygnał mobilizacji społeczeństwa.

Czyżby? Jakis czas temu Władimir Bukowski, rosyjski dysydent i pisarz, który teraz mieszka w Anglii, stwierdził w rozmowie ze mną, że charakterystyczną cechą Rosjan jest to, że „stoją po pas w gównie i marzą o podboju kosmosu”. Nie chciał obrażać własnego narodu, lecz wskazać na wyjątkową gotowość Rosjan do poświęceń pod warunkiem, że władza zapewni im jakieś marzenie albo iluzję.

To absolutna nieprawda. To stereotyp o rzekomym fatalizmie, ciemnocie, bierności i niewolniczej naturze Rosjan. Kompletna bzdura, powielana przez dyletantów z Zachodu, którzy lubią sobie poglądać o „rosyjskiej duszy”. Nie dość, że nosi to znamiona

W reakcji na zakaz adopcji rosyjskich sierot przez obywateli USA Rosjanie organizują masowe protesty i zbierają podpisy pod apelem za rozwiązaniem Dumy.

Aleksiejewa:
– Nasza obecna władza panicznie się boi i dlatego spazmatycznie przyjmuje kolejne absurdalne ustawy.



nieuctwa, to jeszcze rasizmu, który pozwala się wywyższać. Opowiem panu historię z własnego życia. W 1941 roku zostałam ewakuowana z rodzicami do Iżewska. Miałam wtedy 14 lat, więc byłam już zupełnie świadoma. Poza tym na wojnie człowiek bardzo szybko dorasta. Przed wojną miasto to liczyło około 60 tys. mieszkańców. W czasie wojny – 360 tys. Oczywiście nie zbudowano żadnych nowych domów. Musieliśmy się wszyscy pomieścić w tych skromnych kłitkach, w których i tak ciasno żyli rdzenni mieszkańcy. Warunki były okropne. Ale przetrwaliśmy tylko dzięki optymizmowi i zgodzie. Przez półtora roku, które spędziłam w czasie wojny w Iżewsku, nie byłam świadkiem żadnego konfliktu, żadnej scysji. Natomiast codziennie widziałam objawy ludzkiej solidarności, wspaniałomyślności i poświęcenia. I właśnie to – umiejętność zachowania wspólnoty – pozwoliła nam przetrwać. To tyle na temat fatalizmu, niewolnictwa i bierności. Czy naprawdę uważa pan, że naród, który nie jest silny i dumny, umiałby przetrwać gehennę wojny z Niemcami mimo i wbrew terrorowi władzy? My nie walczyliśmy o Stalina. Nienawidziliśmy go i się go baliśmy, walczyliśmy o siebie. Wracając do Bukowskiego, myślę, że jego wypowiedź dotyczy raczej pewnej techniki stosowanej przez władzę, która polega na serwowaniu obywatelom tematów zastępczych zamiast rozwiązywania realnych problemów. Ale myślę, że Rosja nie jest tu wyjątkiem i że podobne wybiegi można obserwować gdziekolwiek na świecie: w Polsce, Meksyku, Niemczech i Tanzanii.

Stalin umarł ponad pół wieku temu. Chce pani wszystkie nieszczęścia dzisiejszej Rosji tłumaczyć wprowadzonym przez niego terrorem? Chodzi mi przede wszystkim o uświadomienie panu dwóch problemów. Po pierwsze, naród, który poniósł takie straty ilościowe i jakościowe w ludziach nie funkcjonuje, jak każda inna społeczność, która takich nieszczęść nie doświadczyła. Potrzebuje czasu na odbudowę. Ten czas, na szczęście, został

nam zapewniony. Pokolenie młodych Rosjan jest już zupełnie inne niż okaleczone generacje ich rodziców i dziadków. Ono ma głód i siłę przeprowadzenia zmian. Druga rzecz to natura relacji władza – ludzie. Otóż mówiłam przed chwilą, że po wojnie ludzie byli traktowani jak bydło (są zresztą nadal). Nie było to nowe doświadczenie. W Rosji, mimo jej dynamicznej historii – różnych rewolucji, zamachów, dekabrystów i pałacowych spisków, typ relacji między urzędnikiem a człowiekiem był zaskakująco stały. I to od czasów Złotej Ordy. Ludzie nauczyli się sobie z tym radzić, żyjąc niejako obok państwa. Ta cecha właśnie jest brana przez ludzi z Zachodu za fatalizm, ciemnotę i poddańczość. Tymczasem jest po prostu ukształtowanym przez wieki sprytem. Unikiem. Tworzeniem iluzji kontroli. Stalin doskonale sobie z tego zdawał sprawę i właśnie dlatego wprowadził terror, fizyczną eksterminację – żeby mieć rzeczywistość, a nie pozorną kontrolę. Po jego śmierci Rosjanie znowu zaczęli stosować tę umiejętność.

Twierdzi pani, że młode pokolenie jest gotowe do przeprowadzenia zmian. A jest pani pewna, że nie ma szans na powtórzenie terroru w takiej skali, jak za Stalina?

Dwa lata temu zapytałby pan: „A co z Koreą Północną, Tunezją, Libią i Egiptem?”. Ale sam pan widzi, że liczba dyktatorów się zmniejsza. A rewolucje arabskie w Afryce Północnej dowodzą, że ludzie się buntują nie dlatego, że są głodni, tylko dlatego, że chcą wolności. Pełnej. Reżim w Phenianie już trzeszczy, topnieje. To samo się dzieje na Kubie. Przyjdzie również czas na zmiany w Rosji.

Naprawdę pani w to wierzy?

Nie wierzę – jestem tego pewna. Z 85 lat mojego życia 50 poświęciłam na to, żeby do tego doprowadzić. Moim przekleństwem było to, że żyłam za Stalina, Chruszczowa, Breżniewa i wszystkich pozostałych. Potrafię obserwować, co się wokół mnie dzieje, i porównywać. Może pan sobie pomyśleć: „Stara baba głądzi od rzeczy”, ale ja po prostu



LUDMIŁA ALEKSIEJEWA

86 lat, ukończyła studia historyczno-archeologiczne na Uniwersytecie Moskiewskim, w 1952 r. wstąpiła do KPZR, po śmierci Józefa Stalina zrezygnowała z kariery naukowej. W latach 60. jej mieszkanie stało się miejscem spotkań środowisk dysydenckich. W 1976 r. weszła w skład Moskiewskiej Grupy Helsińskiej – pierwszej organizacji niezależnej w ZSRR, zajmującej się prawami człowieka. W 1977 r. została zmuszona do wyjazdu do USA, w 1993 r. wróciła do Rosji. W 2004 r. wspólnie z Garrim Kasparowem tworzyła Wszechrosyjski Kongres Obywatelski. Organizuje mityngi na placu Tryumfalnym w Moskwie, w obronie swobody zgromadzeń. Uehonorowana Nagrodą Sacharowa. tekst

wyciągam wnioski. Weźmy tę tzw. ustawę Magnitskiego. Otóż Amerykanie (zarówno wyborcy, jak i politycy) mają nosa do historycznych zmian. Proszę przypomnieć sobie prezydenta Cartera. Jako pierwszy na poważnie podniósł sprawę praw człowieka w ZSRR. Okazał się nieudolnym prezydentem, ale wprowadził ten temat na agendę. Samo to było ogromnym wsparciem dla sowieckich dysydentów. Co ciekawe, Reagan, mimo że republikanin, nie zrezygnował z drażenia tego tematu. Ustawa Magnitskiego jest właśnie takim moralnym wsparciem, nazwaniem rzeczy po imieniu. Myślę, że państwa europejskie powinny pójść w ślady USA.

Państwom europejskim bardziej zależy na robieniu interesów z Rosją, ewentualnie niedrażnieniu jej, niż udzielaniu wsparcia opozycji.

Europa powinna sobie uświadomić, że jej interesom właśnie służy przekształcenie się Rosji w przewidywalne demokratyczne państwo prawa. Proszę sobie samemu zadać pytanie, czy Polska woli sąsiadować z Rosją obecną, czy raczej z w miarę obliczalną i przyjazną? Otóż dlatego w interesie Warszawy i całej Unii Europejskiej jest popieranie zmian. Nie mówię tutaj o poparciu materialnym. My sobie sami poradzimy. Sami pokojowo przekształcimy Rosję. Widać to po reakcji na „ustawę Herolda”. Zresztą zwracanie się o fizyczną pomoc do obcych państw uważam za coś żalnego. Chodzi nam o wsparcie moralne. Nie lędzę się, że szybko staniami się wzorcową demokracją, jak państwa o kilkusetletniej tradycji. Mamy jednak już teraz potencjał, żeby pod tym względem znaleźć się w europejskiej średniej – to znaczy stać się krajem, w którym życie i z którym sąsiedowanie nie wywołuje wstrętu. Na pewno ten potencjał wykorzystamy. Nasza obecna władza doskonale sobie z tego zdaje sprawę, panicznie się boi i dlatego spazmatycznie przyjmuje kolejne absurdalne ustawy. Kłopot jednak w tym, że Rosjanie już się władzy nie boją. Za 5–10 lat, ja już pewnie nie dożyję, wspomni pan moje słowa. ☞

ROZMAWIA GRZEGORZ SIEMIONCZYK

Debata bez końca

Wideoklip, w którym spór między gigantami ekonomii: Hayekiem i Keynesem, został przełożony na język rapu, ma już na YouTube ponad 4 mln odsłon. Współautor filmu **Russell „Russ” Roberts** tłumaczy „Przekrojowi”, co zwykli śmiertelnicy powinni wiedzieć o ekonomii.



RUSSELL „RUSS” ROBERTS

Ekonomista, popularyzator ekonomii, wykładowca na Uniwersytecie im. George'a Masona w północnej Wirginii, prowadzi bloga Cafe Hayek. Zrealizował ponad 350 dostępnych w sieci audycji EconTalk, w których rozmawia z innymi ekonomistami.

Niebawem ukaże się w polskim przekładzie książka Nicholasa Wapshotta „Keynes vs Hayek”, traktująca o dyspucie dwóch tytułowych, XX-wiecznych ekonomistów. Pan nakręcił o tym sporze dwa bardzo popularne teledyski. Dlaczego?

Był 2009 r., w USA dużo mówiło się o pakiecie stymulacyjnym, który miał postawić gospodarkę na nogi. To był renesans myśli Johna Maynarda Keynesa, o którym w latach 80. praktycznie zapomniano. Planowaliśmy więc – z Johnem Papolą – nakręcić serial o powrocie Keynesa, który miał być profesorem ekonomii żyjącym w Nowym Jorku. Ale uznaliśmy, że na to nie mamy pieniędzy, więc stanęło na motywie muzycznym do tego serialu. Choć ani John, ani ja nie jesteśmy zwolennikami Keynesa, stwierdziliśmy, że nie byłoby w porządku, gdybyśmy po prostu się z niego naśmiewali. Dlatego znaleźliśmy mu interlokutora, z którym mógłby dyskutować o własnych poglądach.

Zależało panom na tym, żeby popularyzować ekonomię czy żeby pokazać, że któryś z bohaterów teledysku miał rację?

Zamysł był przede wszystkim popularyzatorski, ale chcieliśmy też przypomnieć o Hayeku, który jest według nas

niedoceniany. Gdy zaczynaliśmy pracować nad pierwszym teledyskiem, dostrzegaliśmy zbyt dużo entuzjazmu dla zwiększania wydatków publicznych, co jest keynesowską receptą na problemy ekonomiczne. Chcieliśmy pokazać pewne problemy, które wiążą się z tą receptą, a które Hayek dobrze rozpoznał.

Czyli spór Johna Maynarda Keynesa z Friedrichem von Hayekiem, który toczył się w latach 30. i 40., jest wciąż aktualny?

Niestety, pozostaje równie aktualny co wtedy. To ironia losu. Keynes był zwycięzcą sporu z Hayekiem, ale później, w latach 70., ekonomiści zaczęli myśleć, że może jednak nie miał racji. Wtedy większą popularność zyskał Hayek, który jeszcze żył, i spór znów wydawał się rozstrzygnięty. Ale gdy tylko nadszedł kryzys, politycy znów uwierzyli w teorię Keynesa, że należy zwiększyć wydatki i w ten sposób rozruszać gospodarkę.

Znów wszyscy jesteśmy keynesistami, jak w 2009 r. napisał „Wall Street Journal”?

Tak daleko bym się nie posunął. Ale prawdą jest, że dzisiejsze spory ekonomistów w dużej mierze są kontynuacją utareczek Keynesa i Hayeka.

Nie sądzi pan, że te nazwiska są już tylko symbolami? Dziś guru wolnorynkowców jest Milton Friedman, ale sam Hayek mówił, że friedmanowski monetaryzm ma więcej wspólnego z keynesizmem niż z jego teoriami.

Keynes też zapewne nie zgodziłby się z wieloma swoimi kontynuatorami. Doszło więc do pewnego przeinaczenia idei Keynesa i Hayeka i relacji między nimi. Ale w szerokim wymiarze to nadal jest ta sama debata. O tym, czy kapitalizm jest z definicji niestabilny czy stabilny. Keynesiści argumentują, że raz na jakiś czas ludzie tracą rozsądek, górę biorą „zwierzęce instynkty”, a na rynkach i w gospodarce dochodzi najpierw do boomu, a potem do krachu. Jeśli w takiej sytuacji nie interweniuje rząd, to gospodarka sama się nie podniesie. Zwolennicy Hayeka sądzą zaś, że gospodarka na ogół działa lepiej, jeśli rząd pozostawi ją w spokoju. Oczywiście keynesiści nie są socjalistami, a hayekowcy nie są anarchistami. Wszyscy się zgadzają, że państwo ma jakąś rolę do odegrania. Spór dotyczy tego, jak wielką. Czy porządek gospodarczy ma rozlewać się z góry na dół czy z dołu na górę, czyli jakby samoistnie.

To chyba nie dziwne, że w czasie kryzysu sięga się po Keynesa?

Uważam, że Hayek ma coś do zaoferowania także dziś. Politycy jednak faworyzują Keynesa, bo jego rzekome remedia wydają się bardziej strawne. Proszę sobie wyobrazić człowieka, który za dużo palił i przychodzi do lekarza ze schorzeniami płuc. Mówi, że przez 50 lat



postępował nieroztropnie, ale chciałby to teraz naprawić. Lekarz powie, że nie ma na to leku, nie można po prostu oczyścić płuc i anulować wszystkich konsekwencji. Jedyne, co pacjent może zrobić, to przestać palić. Czy ktoś będzie go żałował, jeśli odpowie, że tego akurat zrobić nie może, ponieważ bardzo lubi papierosy? Ale z jakiegoś powodu ludzie oczekują, że banki centralne i rządy potrafią anulować błędy, które doprowadziły do kryzysu, szybko i bezboleśnie naprawić gospodarkę. Trudno jest im przyjąć do wiadomości, że nie ma takiej opcji. Tymczasem Keynes powiedziałby palaczowi, który ma problemy, bo za dużo palił, żeby poczęstował się ekstramocnym papierosem.

To jednak sugeruje, że Keynes lepiej zrozumiał naturę człowieka. Naprawdę sądzi pan, że w czasie kryzysu da się przekonać ludzi,

aby przetrwali trudności, licząc na samych siebie?

Nie przesadzałbym z pesymizmem. Przede wszystkim ludzie są dziś bardziej sceptyczni wobec myśli Keynesa, niż byli w czasie poprzednich kryzysów. Poza tym nie sądzę, aby Hayek w reakcji na kryzys powiedział: „Nie róbcie nic”. Jest wiele rzeczy, które można zrobić, aby poprawić sytuację gospodarczą.

Jakich?

Możemy usprawnić systemy podatkowe, aby były prostsze, bardziej przejrzyste i nie zniechęcały do pracy i inwestowania. Możemy przestać zachęcać ludzi do zadłużania się, do czego obecnie sprowadza się polityka stymulacyjna. Możemy przestać ratować duże instytucje finansowe, co tylko pogarsza problemy, bo czyni je jeszcze większymi i zachęca je do lekkomyślności. Możemy

Politycy znów uwierzyli w teorię Keynesa, że należy zwiększyć wydatki, żeby ratować gospodarkę. Zwolennicy Hayeka poszli w odstawkę. Russ Roberts wspólnie z filmowcem Johnem Papolą przypomnieli spór ekonomistów językiem filmu. Na zdjęciu kadr ich wideoklipu.

zrezygnować z płac minimalnych, które utrudniają ludziom znalezienie pracy. Lista tego, co możemy zrobić, jest znacznie dłuższa, ale da się ją streścić: musimy zachowywać się jak dorośli ludzie, a nie jak dzieci. Dorosły człowiek powinien rozumieć, że nie ma darmowego lunchu. Jeśli w USA chcieliśmy subsydiować mieszkalnictwo i żyć na tani kredyt, teraz musimy zapłacić za to cenę. Tymczasem Waszyngton próbuje zrobić wszystko, abyśmy nadal się zadłużali.

Być może Amerykanów byłby pan w stanie przekonać. Trudno mi jednak sobie wyobrazić, że jakkolwiek europejski polityk jest w stanie wytłumaczyć Grekom, Hiszpanom czy Włochom, że państwo dobrobytu było iluzją i teraz muszą sobie radzić sami.

To prawda, że europejscy politycy stoją przed trudnym wyzwaniem. Ale z drugiej strony borykają się z ograniczenia-

mi budżetowymi, które sprzyjają podejmowaniu trudnych decyzji.

Problem w tym, że nawet ekonomiści nie zgadzają się ze sobą, że te trudne decyzje są rozsądne. Jak więc mogą do czegośkolwiek przekonać polityków, aby ci z kolei wyjaśnili to społeczeństwu?

Ekonomia nie jest nauką ścisłą. Przypomina nieco historię, tyle że jest w niej więcej liczb. A to oznacza, że nigdy nie wiadomo dokładnie, co działa, a co nie. Mamy na ten temat jakieś wyobrażenia i jakieś dowody, ale nie są to nigdy dowody jednoznaczne. O ile ludzie doświadczenia na co dzień, że grawitacja działa, o tyle nie mogą doświadczyć tego, czy rację miał Keynes czy Hayek. Wielu ekonomistom nie podoba się jednak takie przedstawianie ekonomii. Sądzą, że uprawiają twardą naukę.

Międzynarodowy Fundusz Walutowy, do niedawna przedstawiany jako obrońca liberalizmu, nawrócił się na keynesizm. Ostatnio skrytykował Łotwę za to, że obcięła wydatki socjalne, a i krajom zachodniej Europy mówi, aby nie przesadzały z oszczędzaniem.

Ale w dłuższej perspektywie z pewnością Hayek awansował. W latach 80. w USA powszechnie uważano, że trwa wojna między kapitalizmem i socjalizmem, że nie wiadomo, który z tych systemów wygra, bo za oboma stoją jakieś racje. A dziś nikt tak już nie myśli. Wiele krajów stało się bardziej wolnorynkowych, niż było wtedy. Choćby Polska. Nie mówię, że jest to wolnorynkowy raj, podobnie jak nie są nim USA, ale jednak coś się zmieniło.

Triumf Hayeka nie był trwały, jak pan przyznaje. To dość zaskakujące, bo mogłoby się

wydawać, że w dobie indywidualizmu jego wolnościowa filozofia będzie ludziom bliższa niż myśl Keynesa.

Też mnie to dziwi. Za wielką przewagę teorii Hayeka uważam właśnie nacisk na ludzką wolność, decentralizację władzy. Ludzie nie lubią, kiedy mówi się im, co mają robić. Problem w tym, że jednocześnie lubią mówić innym, co oni powinni robić (śmiech).

A jednocześnie ludzie nie chcą być postrzegani jako pozbawieni społecznej wrażliwości egoiści. A taki wizerunek mają zwolennicy wolnego rynku.

To dowód na to, że nie wszyscy rozumieją, czym jest wolność gospodarza. Ale taką jej koncepcję promują nasi przeciwnicy. Mówią, że za wolnością opowiadają się tylko ci, którzy chcą się wzbogacić. Oczywiście wolność polega na możliwo-

Wideo klip (fragment na zdjęciu) jest praktyczną lekcją ekonomii. Widzimy, że grawitacja działa, ale na co dzień nie doświadczamy tego, czy rację miał Keynes czy Hayek.

ści bogacenia się, ale również na możliwości przekazywania pieniędzy organizacjom charytatywnym, pomagania innym.

I byłby pan zwolennikiem rozwiązań wolnorynkowych, nawet gdyby nie sądził pan, że są one bardziej efektywne niż interwencjonizm, że maksymalizują tempo wzrostu gospodarki?

Oczywiście. Nie dbam o tempo wzrostu gospodarczego. Podobnie jak większość zwolenników wolnego rynku zależy mi na tym, aby ludzie mogli wieść znaczące życie, zgodne ze swoimi odkryciami i wyborami. Drugi z teledysków o Keynesie i Hayeku kończy się wezwaniem tego ostatniego: zostawcie nas w spokoju, abyśmy mogli odkrywać najlepsze metody wzajemnego służenia sobie. To jest dla mnie sedno wolnego rynku. Pomaganie sobie na drodze transakcji komercyjnych i niekomercyjnych.

Ale sądzi pan, że gospodarka wolnorynkowa jest bardziej efektywna?

Owszem, ale nie z tego powodu opowiadam się za takim modelem.

Być może gdyby ekonomiści powszechnie odwoływali się do wartości, jak pan, to łatwiej byłoby im przekonać ludzi do swoich racji. Widziałem niedawno wyniki badań, które wskazywały, że laicy nie widzą świata tak jak ekonomiści. Inaczej odpowiadają na pytania dotyczące rozmaitych zjawisk i zależności gospodarczych. A gdy powie się im, co na ten temat mówią podręczniki, wcale nie zmieniają zdania. Z czego wynika ten brak zaufania do ekonomistów?

Ekonomia nie zawsze jest zdroworozsądkowa. Ale przede wszystkim nie zawsze jest przyjemna. Opiera się na założeniu, że ludzie stoją wobec pewnych ograniczeń, że nie mogą mieć wszystkiego, czego zapragną. Nie każdy chce, aby mu o tym przypominać. Poza tym ekonomia często jest nauczana w sposób nieprzystępny, często zbyt zmatematyzowany. Ja staram się, aby uczynić ją strawną, a nawet rozrywkową. Właśnie dlatego ubieram ją w powieści, teledyski, audycje radiowe.

Nicholas Wapshott



spór, który zdefiniował współczesną ekonomię

Teraz nie mówi pan o keynesizmie i szkole austriackiej, tylko o ekonomii. Czyli jednak są jakieś kwestie, co do których ekonomiści się zgadzają?

(Śmiech) O tak, zgadzają się w wielu sprawach. Przede wszystkim stosują te same ramy do oglądania świata. Zakładają, że ludzie podejmują decyzje w ramach pewnych ograniczeń, a na ich decyzje wpływ mają decyzje innych ludzi, na ogół za pośrednictwem rynku. Innymi słowy, ekonomiści uznają, że liczą się bodźce, których ważnym przykładem są ceny, a te pojawiają się wskutek aktywności kupujących i sprzedających. Ekonomiści na ogół opowiadają się za wolnym handlem, choć w ostatnich latach ten konsensus nieco osłabł. Większość odrzuca też pewne typy rządowych interwencji, takie jak kontrola cen, płace minimalne itd. Ostat-

nio znów jednak zaczęto te poglądy podważać.

Jedna z pańskich stron internetowych opatrzona jest mottem: „Jak wykorzystywać ekonomię, aby wyciągnąć z życia jak najwięcej”. Jak daleko ekonomia potrafi zajść w objaśnianiu życia, rzeczywistości?

Cenię to powiedzenie, bo ekonomia dotyczy znacznie szerszego spektrum problemów, niż się powszechnie uważa. Dotyczy m.in. niedoboru, czyli tego, że ogółowi ludzi nie wystarczy wszystkiego, czego chcą. A dobrem, którego niedobór jest szczególnie dotkliwy, jest czas. Nawet nie wiemy, ile go mamy. Musimy więc bardzo poważnie podchodzić do tego, jak ten czas wykorzystujemy. Ekonomia ułatwia myślenie na ten temat, podobnie jak na wiele innych nieekonomicznych na pozór problemów.

REKLAMA



Prenumerata w egazety.pl to:

- najbogatsza oferta na rynku – ponad 370 tytułów
- atrakcyjne ceny
- wygoda korzystania

Zarejestruj się na www.egazety.pl i testuj za darmo.

Przy większej liczbie prenumerat skontaktuj się z egazety@egazety.pl, +48 22 379 16 90

PRENUMERATA
2013

eGazety.pl
prasa bez granic

BEATA DREWNOWSKA

Jak wystraszyć palaczy

Zniekształcone przez nowotwór fragmenty ciała, umierający chorzy i duszące się dzieci. To nie film grozy, ale przykłady **drastycznych zdjęć** umieszczanych na papierosach. W walce z palaczami stosuje je już ponad 40 krajów. Polska może być następną.



KURT DESPENTER/BELGA/ANP

Barb Tarbox umarła na raka płuc, gdy miała 42 lata. W tym samym wieku u oddychającej przez maskę tlenową Leny zdiagnozowano rozedmę. Barb i Lenę łączą nie tylko zgubne skutki nałogu papierosowego. Zdjęcia obu kobiet znalazły się wśród ostrzeżeń graficznych umieszczanych na papierosach w Kanadzie. Do fotografii Barb dołączony jest przejmujący apel: „Spójrz, jaka jest siła papierosa... zapamiętaj tę twarz, a także to, że palenie mnie zabiło”.

Kanada jest pierwszym krajem na świecie, który w 2001 r. nakazał umieszczać na papierosach ostrzeżenia graficzne. Dziś takich państw jest już ponad 40. Rozsiane są od Antypodów przez Azję (na Bliskim Wschodzie wprowadziły je m.in. Iran i Pakistan) aż po Amerykę Południową. Jak na razie jako ostatnia ostrzeżenia obrazkowe

WHO i kraje, które wprowadziły ostrzeżenia graficzne na paczkach papierosów, twierdzą, że są one skutecznym remedium na tytoniową plagę.

w 2012 r. zastosowała Ukraina. Nie będzie z pewnością ostatnia. Niewykluczone, że w tym roku do grona państw z drastycznymi obrazkami na papierosach dołączy Rosja. Bliskie ich wprowadzenia były Stany Zjednoczone. Tamtejsze sądy, na wniosek concernów tytoniowych, wstrzymały jednak na razie rewolucję w opakowaniach.

Żółto-zielone pudełka

Wiele wskazuje, że także i Polska – od ośmiu lat o szkodliwości palenia informują u nas napisy umieszczane u dołu paczek – wprowadzi wkrótce ostrzeżenia obrazkowe na papierosach. Komisja Europejska chce bowiem, aby umieszczanie drastycznych zdjęć na wyrobach tytoniowych stało się w UE obowiązkowe. W projekcie nowej dyrektywy tytoniowej zaproponowała, aby ostrzeżenia obrazkowe zajmowały 75 proc. paczki.

Jeżeli dokument nie zostanie zawetowany przez państwa członkowskie, nowe przepisy wejdą w życie w 2015-2016 r.

WHO i kraje, które wprowadziły ostrzeżenia graficzne, twierdzą, że są one skutecznym remedium na tytoniową plagę. A liczby są rzeczywiście przerażające. Co roku na świecie umiera ponad 5 mln palaczy. To tak jakby z powierzchni ziemi zniknęły z dnia na dzień Warszawa i Berlin. Tylko w Unii Europejskiej z życiem żegna się rocznie 700 tys. palących papierosy. Co dziesiąty z nich mieszka w Polsce.

Najdalej w zniechęcaniu do palenia poszła Australia. Jako pierwsza na świecie w grudniu ubiegłego roku wprowadziła jednolite opakowania, tzw. plain packaging. Wszystkie papierosy na Antypodach sprzedawane są w żółto-zielonych pudełkach, na których dominują

ostrzeżenia graficzne. Przypada na nie 82,5 proc. paczki. Logotypy i nazwy marek są ujednolicone i zajmują niewielką powierzchnię u dołu pudełka. WHO w raporcie z 2011 r. poświęconym epidemii tytoniowej na świecie wyjaśnia, że usunięcie z opakowania elementów atrakcyjnych marketingowo sprawia, że kupujący papierosy koncentrują się bardziej na ostrzeżeniach. Władze Australii liczą na to, że do 2018 r. odsetek palaczy w tym kraju spadnie do 10 proc. W ubiegłym roku sięgał 15 proc. Pójścia w ślady Australii nie wyklucza Wielka Brytania. Wprowadzenie jednolitych opakowań rozważają także Kanada i Nowa Zelandia.

Choroba na obrazkach

W większości krajów stosujących ostrzeżenia obrazkowe na opakowaniach umieszcza się zdjęcia płuc i języków zajętych rakiem płuc, zatkanych żył oraz stóp zmasakrowanych przez gangrenę. Palacze bombardowani są także zdjęciami niemowlaków wdychających dym opatrzonymi informacją, że palenie może doprowadzić do ich nagłej śmierci. Stosowane są też zdjęcia mężczyzn cierpiących na impotencję. W Ekwadorze na jednym z nich smutny pan zapala opadniętego papierosa. Jednym z krajów z najbardziej drastycznymi zdjęciami są Filipiny. Są na nich zbliżenia chorych na raka piersi, krtani oraz ust.

Anna Kozieł, ekspertka ds. zdrowia publicznego, która przez wiele lat zajmowała się tematyką palenia w WHO, zwraca uwagę, że ostrzeżenia obrazkowe są bardziej skuteczne od tekstowych. – Wielu nałogowych palaczy wywodzi się z biedniejszych, mniej wykształconych warstw społecznych. Do nich, a także do młodzieży, obrazki przemawiają dobitniej niż tekst ostrzeżenia – wyjaśnia Kozieł.

Według ekspertki w krajach, w których wprowadzono drastyczne zdjęcia, znacznie wzrósł procent osób gotowych rzucić palenie. W Brazylii jest ich ponad 60 proc. Za to w Polsce ostrzeżenia słowne mają podobny wpływ tylko na niecałe 18 proc. palaczy. Z ko-

lei w Kanadzie dzięki ostrzeżeniom co roku do 5 proc. młodych ludzi potencjalnie narażonych na popadnięcie w nałóg nie sięga po papierosa.

Wyniki świadczące o stosunkowo małej skuteczności obrazków przytaczają też przeciwnicy ostrzeżeń graficznych, m.in. koncerny tytoniowe. Drastyczne zdjęcia na opakowaniach nie sprawdzają się według nich w Belgii. Obrazki na papierosach pojawiły się tam w 2006 r. Z badania Eurobarometru wynika, że paliło wówczas 26 proc. dorosłych w tym kraju. Po dwóch latach udział ten wzrósł do 30 proc. – Nie ma wiarygodnych dowodów na to, że ostrzeżenia graficzne prowadzą do jakichkolwiek korzyści dla zdrowia publicznego – podkreśla Magdalena Włodarczyk z Krajowego Stowarzyszenia Producentów Tytoniu.

Papierosy znikną z rynku?

O tym, że same obrazki, nawet najbardziej odrażające, nie rozwiążą problemu, przekonana jest także Anna Kozieł. – Konieczne są rozbudowane i spójne działania. Przykładem kraju, w którym się to udało, jest Turcja. Ostrzeżenia obrazkowe wprowadzono tam w 2010 r. Do tego drastycznie wzrosły ceny papierosów, a w mediach pojawiły się liczne kampanie antytytoniowe – wyjaśnia Anna Kozieł. Skutek? Udział pa-

laczy wśród Turków zmalał do 36 proc. Cztery lata temu sięgał 50 proc.

W Europie zmasowany atak przeciw palaczom prowadzi Wielka Brytania. W ostatnich tygodniach w angielskich mediach pojawiły się spoty pokazujące dosadnie skutki palenia (na papierosie w trakcie palenia wyrasta nowotwór). Kraj ten wprowadził też, wzorem m.in. Kanady, zakaz eksponowania papierosów w punktach sprzedaży.

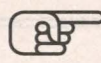
Wśród nielicznych krajów, w których na paczkach papierosów nie muszą znajdować się żadne ostrzeżenia, są Togo, Somalia i Laos. Notkę o negatywnym wpływie palenia na zdrowie wprowadziły na opakowaniach już nawet Chiny, które przez lata stosowały liberalne przepisy w kwestii tytoniu. Nadal można tam jednak palić w miejscach publicznych, np. w restauracjach. Ostrzeżenia graficzne ma natomiast od 2007 r. Hongkong.

Jak na razie jedynym państwem, gdzie nie wolno w ogóle palić papierosów, jest Bhutan. Turcja chciałaby być krajem całkowicie wolnym od dymu w 2030 r., a Finlandia 10 lat później.

– Wprowadzenie całkowitego zakazu palenia papierosów nie ma sensu bez przygotowania społeczeństwa. Ludzie muszą zrozumieć, że nie warto palić – uważa Anna Kozieł.



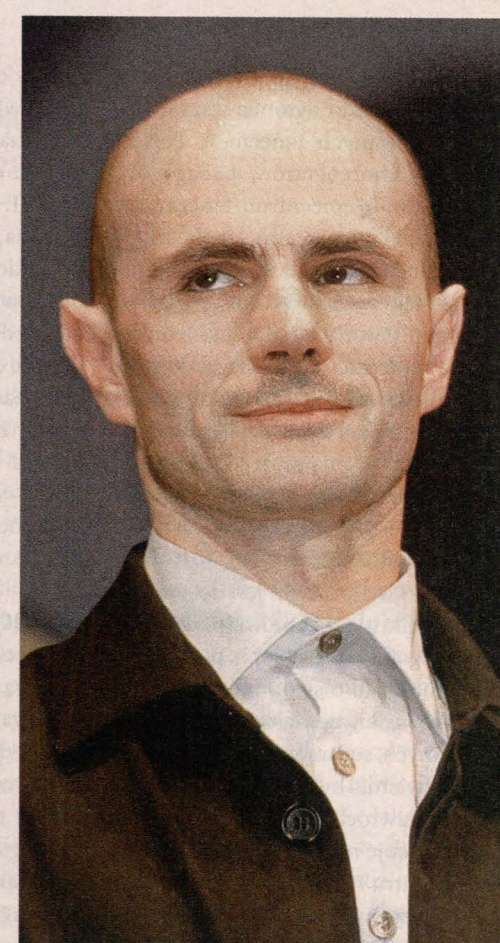
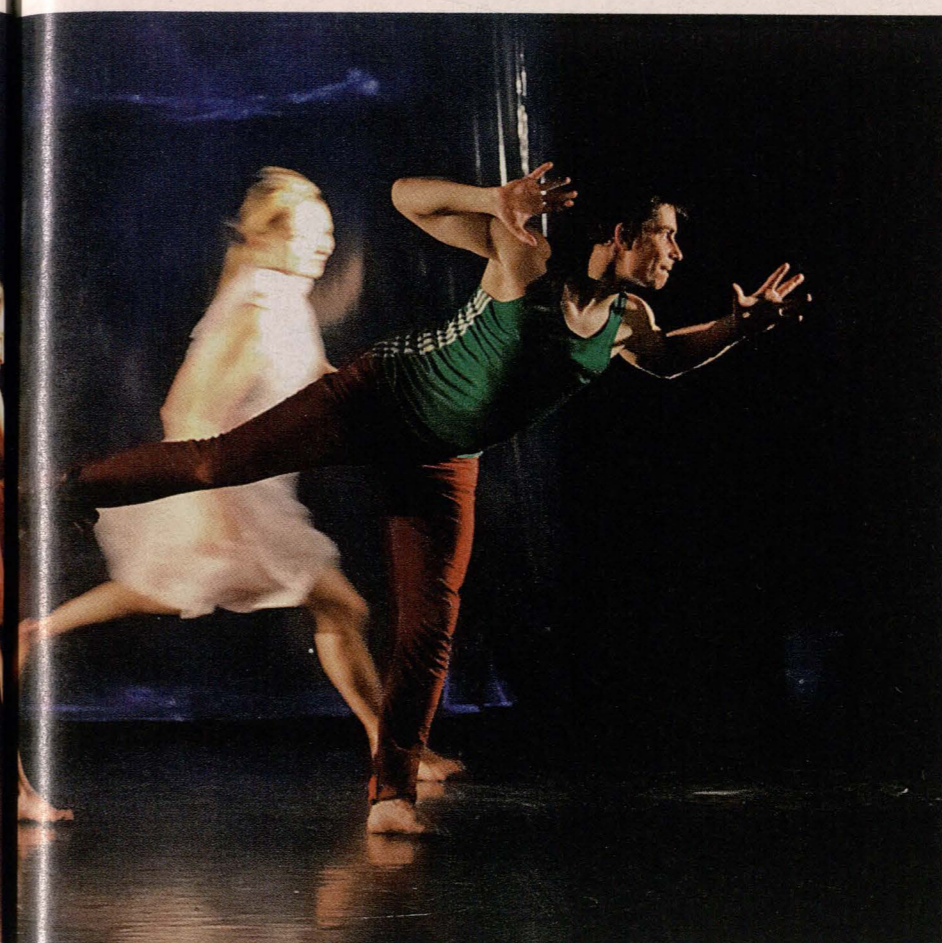
EVANISTO SNA/ANP



MIKE URBANIAK

Taniec nad przepaścią

Śląski Teatr Tańca w Bytomiu, jeden z najważniejszych ośrodków tańca współczesnego w Polsce, może przestać istnieć. Prezydent miasta złożył wniosek o likwidację instytucji, którą niszczą afera finansowa i personalne potyczki. Czy to już naprawdę koniec?



MATERIAŁY PROMOCYJNE/TOMASZ ZANKREWSKI

WOLICIECH SURDZIEL/AGENCJA GAZETA

W Polsce niemal w ogóle nie pisze się o tańcu – mówi dziennikarka Izabela Szymańska. – Jest miejsce na teatr, sztuki wizualne, film i literaturę. Taniec współczesny w mediach nie istnieje. Teraz mamy wyjątek, bo wybuchła afera finansowa, chyba pierwsza w historii polskiego tańca współczesnego. A że aferami interesują się wszyscy, można liczyć na parę tekstów.

To prawda. Jeśli jest w naszym kraju jakaś dziedzina sztuki, która funkcjonuje trochę na marginesie, jest nią taniec współczesny – zdany niemal wyłącznie na chęci, energię i samoorganizację tancerzy oraz choreografów. Instytucjonalnie, w porównaniu z innymi dziedzinami kultury, to liliput. W Polsce są zaledwie trzy ośrodki mające siedziby, etaty i stałe publiczne finansowanie: Polski Teatr Tańca w Poznaniu, Kielecki Teatr Tańca i Śląski Teatr Tańca

w Bytomiu. Reszta to grupy niezależne, pozyskujące finansowanie na własne projekty głównie z grantów. Jedną z nich, z pewnością najbardziej znaną, jest Teatr Dada von Bzdülów, założony w 1993 r. przez tancerza i choreografa Leszka Bzdyla oraz tancerkę Katarzynę Chmielewską.

– Taniec w Polsce, jako że ciągle jest sztuką młodą, nie jest obudowany instytucjami – mówi Bzdyl. – Porównując z teatrem dramatycznym i jego przybytkami, taniec współczesny w naszym kraju jawi się jako sztuka niższego rzędu. Kultura jest trudnym podwórkiem i taniec, jako ten nowy na osiedlu, cierpliwie czeka, żeby inni pozwolili mu wejść na trzepak.

Na trzepaku przez ponad dwie dekady siedział – rozpychając się łokciami – Śląski Teatr Tańca. Właśnie zleciał z niego z hukiem. Pytanie: czy wdrapie się z powrotem?

Budowa imperium

Śląski Teatr Tańca został założony w 1991 r. przez tancerza, choreografa i pedagoga Jacka Łumińskiego, który zanim osiadł w Bytomiu, jeździł dużo po Polsce, robiąc etnograficzny zwiad, badając przez całe lata 80. folklor polskich Żydów. Zafascynowały go szczególnie tradycyjne tańce żydowskie, które stały się fundamentem wprowadzonej przez niego techniki tanecznej – nazwano ją „polską techniką tańca” (nasi choreografowie twierdzą, że to pompatyczna nazwa Łumińskiego, a Łumiński, że wymyślono ją za granicą).

Na stronie internetowej teatru czytamy: „Żydowskie pieśni, legendy, przesady, zwyczaje, obyczaje, obrzędy i formy taneczne – istota dłoni, miednicy, klatki piersiowej i kręgosłupa – elementy ekstazy i ruchy obrzędowe są ważnym czynnikiem wpływającym na podstawy stylu i techniki kształto-

wanej w Śląskim Teatrze Tańca. Taniec uważany za rozmowę z Bogiem lub też połączenie się z siłami nadprzyrodzonymi – taniec jako modlitwa funkcjonujący w tradycji chasydzkiej został włączony do stylu teatru”.

Jak tłumaczy Izabela Szymańska: – Ten styl czy technikę nazywa się często siłową, prosto tłumacząc, że trzeba mieć dużo krzepy, żeby sobie z nią poradzić. Często lepiej czują się w niej mężczyźni niż kobiety. Charakteryzuje się intensywną pracą nóg – na scenie zobaczymy wiele dynamicznych, czasami niemal akrobatycznych skoków. Po jednym z amerykańskich tournée krytycy pisali z uznaniem, że artyści Śląskiego Teatru Tańca potrafią zatańczyć kompilacje kroków pozornie niemożliwych do połączenia: z niskiego plię wybić się do skoku i piruetu; stosują ostre zmiany kierunków i zawrotne tempo.

Jacek Łumiński (na zdjęciu po prawej), tancerz, choreograf i pedagog. Założył Śląski Teatr Tańca i przez 22 lata nim kierował.

Epicentrum tańca

W iście zawrotnym tempie rozwija się sam teatr. Szybko staje się publiczną instytucją kultury Bytomia, co oznacza, że jest finansowany z publicznych pieniędzy i podlega wszelkim procedurom, którym poddawane są inne publiczne instytucje. Dostaje do dyspozycji przestrzeń w Bytomskim Centrum Kultury i budżet, który w ostatnich latach wynosił ponad 800 tysięcy złotych rocznie plus zdobyte ze źródeł zewnętrznych granty.

Jacek Łumiński jeździ z tancerzami po całym świecie, szczególnie intensywnie rozwijają się jego kontakty w Stanach Zjednoczonych. Teatr gra też w Niemczech, Izraelu, Czechach, Rosji, Szwajcarii, na Węgrzech. Tomasz Wygoda, tancerz i choreograf, stały współpracownik m.in. Mariusza Trelińskiego, spędził w ŚTT sześć lat: – To był wówczas bez wątpienia najlepszy teatr

tańca. Podobał mi się ruch, energetyczność, wieloimpulsywność i nieprzewidywalność stylu Jacka, który zresztą odzwierciedlał jego charakter. Właściwie nie wychodziłem z teatru: pracowałem tam, jadłem, spałem.

Teatr staje się najbardziej rozpoznawalną kulturalną marką Bytomia, Śląska i jedną z najbardziej znanych za granicą polskich grup tańca współczesnego. Bytom zawsze lubił się chwalić teatrem (szczególnie w aplikacjach o unijne dotacje), choć nigdy go nie rozpieszczał. – Wielokrotnie występowałem o zwiększenie budżetu, który nie raz nie starczał nawet na pensje naszego niewielkiego zespołu – mówi Łumiński i dodaje: – Ale odzewu z miasta nie było i musieliśmy nieustannie szukać finansowania na zewnątrz.

W 1994 r. Jacek Łumiński organizuje pierwszą Międzynarodową Konferencję Tańca Współczesnego i Festi-

wał Sztuki Tanecznej. Oba wydarzenia ściągnęły latem do Bytomia wszystkich zainteresowanych tańcem w Polsce: tancerzy, choreografów, pedagogów, teoretyków. To epicentrum tanecznego życia kraju i nieformalna szkoła, z którą zetknęli się niemal wszyscy zajmujący się tańcem nad Wisłą. To właśnie za rozbudowaną działalność edukacyjną i społeczną (ŚTT wciągał do swoich projektów mieszkańców Bytomia) szczególnie ceni się do dzisiaj dyrektora. Przyznają to nawet jego wrogowie, których narobił sobie sporo.

Trudny charakter

Powody? Lista przewin jest dość długa i niemal nikt nie chce mówić pod nazwiskiem: egoizm, zagarnianie pod siebie, myślenie tylko o swoim teatrze, a nie o środowisku, zawłaszczanie pomysłów innych, separatyzm, wywyższanie się. Jak twierdzi była członkini zespołu: – Proszę zwrócić uwagę, że z nim nie współpracuje nikt, kto wyszedł ze Śląskiego Teatru Tańca. Każdy, kto decydował się pracować już na własny rachunek, stawał się od razu wrogiem Jacka.

Kontrowersje wzbudza także przedstawianie się ŚTT – szczególnie w USA, gdzie Łumiński zbudował imponującą sieć kontaktów – jako „pierwszy zawodowy zespół tańca współczesnego w Polsce”. Co w takim razie z Polskim Teatrem Tańca w Poznaniu założonym przecież 18 lat wcześniej? Poznaniacy obchodzą właśnie 40. rocznicę powstania zespołu. Kto więc był pierwszy? Co to w ogóle znaczy zawodowy?

Ostatnie co najmniej pięć lat to postępująca izolacja teatru w Polsce, należy dodać, że na własne życzenie. Na festiwal do Bytomia zapraszane są niemal wyłącznie zespoły i choreografowie z USA. W polskim środowisku zaczyna krążyć dowcip, że wjechanie do Bytomia wymaga amerykańskiej wizy. Z kolei Śląskiego Teatru Tańca nie można właściwie zobaczyć nigdzie w kraju, a jeśli gdzieś coś gra, to nie zaskakuje już niczym nowym.

– Ten teatr przez lata miał mocną pozycję. Na polu edukacji tanecznej,

dzięki corocznej konferencji i Wydziałowi Teatru Tańca – jest ona niezachwiana. Inaczej sprawy się mają, jeśli chodzi o zainteresowanie spektaklami ŚTT. Trzymanie się jednej estetyki sprawia, że dawni entuzjaści zaczynają odchodzić, bo nie widzą dla siebie nowych perspektyw. Od tańca, jak od każdej innej dziedziny sztuki, widzowie oczekują zaskoczenia, a Śląski Teatr Tańca przestał zaskakiwać – tłumaczy Izabela Szymańska. Jacek Łumiński odpowiada krótko: – Picasso nie zmieniał przecież swojego stylu. Do końca życia malował obrazy tak, że dzisiaj rozpoznajemy je od razu.

Edukacja ponad wszystko

Wszystko się zgadza, z jedną różnicą. Picasso poświęcił się kompletnie malowaniu, a Łumiński zaniedbał teatr, kiedy zaczął wcielać w życie swój chyba najlepszy pomysł – stworzenie szkoły tańca współczesnego z prawdziwego zdarzenia. W roku akademickim 2008/2009 działalność w Bytomiu zainaugurował Wydział Teatru Tańca Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego w Krakowie. To wielki, niepodważalny sukces Jacka Łumińskiego, który został dziekanem wydziału, i ówczesnego rektora PWST Jerzego Stuhra. – Powstanie tego wydziału jest bez wątpienia najfajniejszą rzeczą, jaką zrobił Jacek – mówi Leszek Bzdyl i dodaje: – Dzięki temu kilkadziesiąt młodych osób ma szansę na profesjonalne wykształcenie taneczne.

Łumiński pracował na to ciężko. Wraz z grupą współpracowników stworzył pierwszy w Polsce akademicki program kształcenia tancerzy, zrobił także doktorat i zaczął intensywną pracę ze studentami. W tym czasie władze Bytomia zaczęły się ubiegać o unijne pieniądze, za które chciały zamienić zamkniętą Kopalnię Węgla Kamiennego „Rozbark” w Centrum Tańca. Przeznaczono na nie cechownicę założonej w 1870 r. kopalni. Unia pieniądze dała. Inwestycja warta 18 mln zł ma być gotowa pod koniec



Spektakl „Nie całkiem ciemny, nawet kolorowy (Na szczycie góry trudno się zgubić)” w choreografii Jacka Łumińskiego miał premierę w 2011 r. Nowym Jorku. Tańczą: Sylwia Hefczyńska-Lewandowska/Natalia Dinges, Katarzyna Sikora, Paweł Zaufal, Jacek Szwesta, Sebastian Zajkowski i Robert Wasiewicz (również na zdjęciu na poprzedniej stronie).

tego roku. Ale czy będzie komu się tam wprowadzić?

Jak się bowiem okazało, połączenie funkcji dziekana i dyrektora teatru nie jest takie proste. Zaprzęgnięty sprawami uczelni Łumiński oddał ŚTT we władanie swojego zastępcy Romana K. (jako podejrzanego o popełnienie przestępstwa, tak go nakazuje obecnie tytułować polskie prawo) i jego akolitów, którzy mieli zdefraudować ogromne sumy pieniędzy.

Most donikąd

Gigantyczne przekręty wyszły na jaw, kiedy podczas rozliczania dużego grantu „Taneczny most” z Funduszy Norweskich wykryto na jednym z ra-



MATERIAŁY PROMOCYJNE/TOMASZ ZAKRZEWSKI

chunków podrobiony podpis (podrabić miał Roman K.). Norwegowie, którzy dali ŚTT 800 tysięcy złotych, zażądali w związku z tym zwrotu całej kwoty wraz z odsetkami. Nasze ministerstwo ją oddało i zażądało z kolei od władz Bytomia zwrotu identycznej kwoty do kasy ministerialnej. Kiedy dowiedział się o tym nowo wybrany prezydent Bytomia Damian Bartyła, wpadł w szal, bo okazało się, że miasto, którego całoroczny budżet na kulturę wynosi 7 milionów i który na Śląski Teatr Tańca przekazuje obecnie blisko milion złotych, musi niemal drugie tyle oddać ministerstwu.

Trzeba przyznać, że dyrektor Łumiński zadziałał jak należy. Kiedy

Prezydent Bytomia, były prezes Polonii Bytom, zapalony kibic futbolu, a nie sztuki, podjął energiczne kroki, które mają na zawsze pogrzebać kulturalną wizytówkę miasta i regionu.

wykrył, delikatnie mówiąc, nieprawidłowości, zwolnił swojego zastępcę i księgowego oraz zawiadomił prokuraturę o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Ale było już za późno. Miasto wysłało do teatru kontrole, które wykazały łamanie ustawy o finansach publicznych, rachunkowości i prawa pracy. Adam Grzesik z biura prasowego bytomskiego ratusza: – Jeśli instytucja kultury wydaje ponad 22 tysiące złotych rocznie na taksówki, to chyba coś nie gra. Prawda jest taka, że pan Łumiński zrobił sobie z teatru prywatny folwark i tę sytuację tolerowały przez lata poprzednie władze. Bałagan w ŚTT jest niewyobrażalny!

Zapytany o to Jacek Łumiński odpowiada: – Przyznaję, jako dyrektor ponoszę odpowiedzialność za to, co się działo w kierowanej przeze mnie instytucji, ale przecież miałem tyle pracy, że musiałem komuś zaufać w zarządaniu. Tym kimś był mój zastępca. Kiedy dowiedziałem się o nieprawidłowościach, zawiadomiłem natychmiast urząd miasta i prokuraturę. Ten teatr to całe moje życie, mój dorobek. Mam nieustannie nadzieję, że cała ta sprawa skończy się dobrze.

Plan ratunkowy

Niestety, nic na to nie wskazuje. Prezydent Bytomia, były prezes Polonii Bytom, zapalony kibic futbolu, a nie sztuki, podjął energiczne kroki, które kulturalną wizytówkę miasta i regionu mają na zawsze pogrzebać. Jackowi Łumińskiemu już podziękował, nie jest dyrektorem teatru. Nie pomogły protesty ludzi kultury, zarówno z Polski, jak i z zagranicy. Na jego miejsce prezydent Bartyła powołał (za zgodą ministra kultury Bogdana Zdrojewskiego) Adriana Lipińskiego, ekonomistę i byłego szefa bytomskiego oddzia-

łu ING Banku Śląskiego, który oczywiście nigdy w życiu nie kierował żadną instytucją kultury i nie ma zielonego pojęcia o tańcu współczesnym. Prezydent złożył także w Radzie Miejskiej wnioski o likwidację placówki, twierdząc, że miasta na nią nie stać. Ostatnią deską ratunku jest więc dla Śląskiego Teatru Tańca jego przejęcie przez samorząd wojewódzki. Jerzy Gorzelik, wicemarszałek Śląska odpowiedzialny za kulturę, mówi: – Wiemy, co się dzieje ze Śląskim Teatrem Tańca i wiemy też z doniesień medialnych, że prezydent Bytomia chce się do nas zwrócić z jakąś propozycją w tej sprawie. Na razie nic do nas nie wpłynęło. Jak dostaniemy formalne zapytanie, to się do niego ustosunkujemy. Mam nadzieję na znalezienie jakiegoś sensownego wyjścia, bo zdajemy sobie sprawę ze znaczenia tej instytucji nie tylko dla naszego regionu, ale i poza nim.

Scenariusz idealny wygląda następująco: teatr jest przejęty i finansowany przez samorząd wojewódzki, który nawiasem mówiąc już prowadzi w Bytomiu dwie instytucje – Operę Śląską i Muzeum Górnośląskie, a Bytom daje teatrowi siedzibę, czyli wspomniane Centrum Tańca w Rozbarku. Ogłoszony jest konkurs na menedżera (dyrektora naczelnego) teatru, który będzie odpowiadał za sprawy organizacyjno-finansowe i zostaje tylko jedno zasadnicze pytanie: kto ma artystycznie poprowadzić Śląski Teatr Tańca, który jest tworem wybitnie autorskim? Wszyscy moi rozmówcy (przyjaciele i wrogowie byłego dyrektora) twierdzą zgodnie, że ŚTT bez Jacka Łumińskiego nie ma zupełnie sensu. Czy śląscy politycy dadzą mu drugą szansę i pozwolą kontynuować dzieło jego życia? Przekonamy się o tym niebawem. W końcu hasło promocyjne miasta brzmi „Bytom. Energia kultury”.



J. SIENOSLAWSKI, DZIENKI UPRZEŹMIŃCOSTWI FUNDACJI GALERII FOKSAL

JACEK TOMCZUK

„Gazda” znowu świeci

1 lutego w Rabce-Zdroju zostanie odslonięta zrekonstruowana reklama z 1962 r. o długości 15 metrów, składająca się z 70 metrów kolorowych rurek. Neon „Gazda”. To nie pierwsza szklana instalacja, która dzięki artystce Paulinie Ołowskiej ponownie zaświeci pełnym blaskiem.

Kiedy na początku lat dwudziestych Ołowska przeniosła się z Amsterdamu do Warszawy, trafiła w sam środek drapieżnego kapitalizmu. Z mapy stolicy zniknęły kolejne perły lekkiej, nowoczesnej architektury i neony, które miały tego pecha, że powstały w latach 50. i 60. i mało kto uznawał je za zabytki. – Nowa architektura powstawała na ruinach starej, a jedna do drugiej miała się nijak. Małe sklepiki z fantastycznymi witrynami ginęły, a z fasad budynków odpadały mozaiki i malowidła ściennie. Zrobiło mi się

PAULINA OŁOWSKA

Urodzona w 1976 r. w Gdańsku, studiowała malarstwo i grafikę w Polsce i Chicago. Malarka, fotografka, autorka kolaży, rysunków, wideo, instalacji. Obecnie jedna z najbardziej znanych polskich artystek na świecie.

trochę smutno. Wszędzie pojawiały się jakieś marne kopie z Zachodu – wspomina Ołowska. Dwa lata pracowała nad renowacją wspianego neonu „Siatkarka” przy placu Konstytucji. Pieniądze na remont zdobyła dzięki zorganizowaniu wystawy „Obraz – wymiana – neon” w Fundacji Galerii Foksal.

Bar i bal

Jej sztuka jest ostentacyjnie zanurzona w przeszłości. Sama artystka doskonale odnajduje się w odtwarzaniu, nawiązaniu do dawnych, modernistycznych

estetyk. Przywołuje ducha tamtych czasów nie tylko na obrazach czy w kolażach, ale odtwarza też całe sytuacje z przeszłości. W 2003 r. wraz z Lucy McKenzie i Fundacją Galerii Foksal zorganizowały i prowadziły przez miesiąc salon artystyczny Nova Popularna przy ul. Chmielnej w Warszawie. Idea tego projektu nawiązywała do modnych miejsc, w których spotykała się artystyczna cyganeria na początku XX w. Trzy lata później w warszawskim CSW wraz z Joanną Zielińską i Pawłem Atlhamerem zrekonstruowała legendarny bal w Zalesiu zorganizowany w 1968 r. przez Ankę Ptaszekowską i Edwarda Krasieńskiego, związanych z ówczesnym środowiskiem Galerii Foksal.

W Sculpture Center w Nowym Jorku na grupowej wystawie Architecture of Gender zaaranżowała z kolei modernistyczny salonik artystyczny, którego główną bohaterką była Charlotte Perriand, towarzysząca życia i współpracowniczka Le Corbusiera. W 2011 r. pokazała, w dosłownym tego słowa znaczeniu, „Cafe bar” w Muzeum Narodowym w Krakowie.

Sweter na kryzys

Inspiracją dla wystawy „Applied Fantastic” w galerii Metro Pictures w Nowym Jorku były wełniane swetry robione na drutach w latach 80. oraz polskie fotografie mody z tego okresu.

Wełniane kreacje Ołowskiej miały wyraźny posmak strojów charakterystycznych dla kobiet z bloku wschodniego w latach 70. i 80., zapatrzonych w modę z Zachodu. W tej samej galerii artystka pokazała kolaże inspirowane polskim punkiem.

Niedawno Piotr Uklański opowiadał o tym, jak amerykańska publiczność na jego wystawie „Biało-czerwona” myliła powstanie warszawskie z tym w getcie, nie mówiąc już o braku znajomości tradycji szopek krakowskich. Co zrozumieli Amerykanie z pokazów Ołowskiej? – Działania z moich obrazów opowiadają o czasach trudnej sytuacji ekonomicznej, o tym, jak w sklepach praktycznie nic nie było, a jeśli

już coś można było nabyć, to nikt nie chciał w tym chodzić. Było się skazanym na produkcję własną. Przykłady tej produkcji pokazałam w galerii, która sąsiaduje z butikami, gdzie wisi naprawdę wielka moda. Ale co z tego? Szaleje recesja, mało kogo stać na to, by tam kupować – opowiada artystka. I tak opowieść modzie lat 80. w Polsce stała się komentarzem do światowego kryzysu.

„Ty i Ja” w Rabce

Ołowska tak długo i sprawnie poruszała się po marginesach mód, zjawisk, gatunków, historii sztuki, że nie dziwi jej wybór, by samej też zamieszkać poza obrębem metropolii.

– Poczulałam się zmęczona miastem, takim przymusem, że ktoś, kto zajmuje się sztuką, musi być w centrum wydarzeń: towarzyskich, artystycznych. Zauważyłam też, że staję się artystką warszawską, że kolejne projekty dotyczą tego miasta. Zbiegło się to z przygotowaniem wystawy w 2008 r. o Stryeńskiej, która tworzyła na Podhalu. Pomyślałam: „Czemu nie tam?” – wspomina Ołowska.

Artystka zamieszkała w bliskiej okolicy Rabki-Zdroju, niewielkiego uzdrowiska u podnóża Gorców. – Jakies pół roku cieszyłam się widokiem na góry i wielką pracownią, do której przemieszałam z Warszawy swe archiwum, roczniki pism „Ty i Ja”, „Ameryka”, „So-

Modernizm jest dla mnie synonimem nowoczesności i wiary w ludzi. W tym sensie właściciel domu towarowego zachowuje się modernistycznie, bo przywraca miasteczku i jego mieszkańcom „oświecenie”.

viet Life”. Aż musiałam wyjść, poznać ludzi, problemy i moja sztuka zaczęła nasiąkać lokalnością – mówi artystka.

Pierwszym projektem zrealizowanym w Rabce było stworzenie murali na fasadzie Teatru Lalek Rabcio według projektów plakatów teatralnych Jerzego Kolecckiego. Ten projekt został ciepło przyjęty przez mieszkańców Rabki, którzy pomogli w jego realizacji. Zachwyceni byli też turyści, a co najważniejsze – aktorzy i pracownicy teatru. Rabczański mural stanowił punkt wyjścia dla pracy, którą Paulina Ołowska pokazała w nowojorskim New Museum na wystawie „Ostalgią”.

Neonowe oświecenie

Jednak temat neonu wciąż wisiał w powietrzu. – Tak naprawdę był to pierwszy pomysł, jaki chciałam zrealizować w Rabce, ale wtedy właściciel „Gazdy” nie był na to gotowy. Teraz po remoncie budynku jest zdecydowany i przekonany, że to dobry pomysł. Neon to rodzaj rzeźby miejskiej. Kiedyś pięknej, ale całkowicie zbędnej, bo reklama usług



JAN ŚMAGA, DZIENKI UPRZEŹMIŃCOSTWI FIF



Z ARCHIWUM AUTORA I TEATRU LALEK „RABCIO” W RABCE ZDROJU

Plakaty autorstwa Jerzego Kolecckiego.

czy towarów w gospodarce komunistycznej, kiedy ciągle czegoś brakowało, nie miała sensu. Dziś całkowicie zapomnianej, osieroconej przez wszystkich.

Kiedy siedem lat temu rekonstruowała „Siatkarkę”, do Warszawy dopiero docierała wartość dziedzictwa lat 60. Tamta akcja była symbolicznym początkiem docenienia PRL-owskiego modernizmu w stolicy. Czy tak stanie się również w Rabce? – Nie wiem i jestem bardzo ciekawa reakcji miejscowej publiczności. Modernizm kojarzony jest z komunizmem, a ludzie tutaj nie mają najlepszych skojarzeń z tamtą epoką. Modernizm jest dla mnie synonimem nowoczesności, uniwersalności i wiary w ludzi – mówi. W tym sensie właściciel domu towarowego zachowuje się modernistycznie, bo przywraca miasteczku i jego mieszkańcom „oświecenie”. Różnica pomiędzy odnowieniem neonu „Siatkarka” w Warszawie a odnowieniem neonu „Gazda” w Rabce-Zdroju polega między innymi na tym, że aktualny właściciel tego neonu chce go zapalić i jest gotów ponieść koszty renowacji. Ja jedynie zwróciłam jego uwagę na piękny, nieczynny neon na jego dachu – przyznaje Ołowska. I dodaje: – Jestem przekonana, że neon zostanie polubiony przez rabczan, odwiedzających miasteczko turystów i dzieci. Bo nie powiedzieliśmy dotychczas o tym, że Rabka jest miastem dzieci. Jak można nie polubić luno neonu, która poprawia każdy nastrój?

Geograficzny prowincjonalizm artystki nie jest tak ostateczny, jak mogłoby się wydawać. – Tak naprawdę w Rabce-Zdroju mieszkam pół roku, drugie pół spędzam tam, gdzie poprzednio, w Nowym Jorku, San Francisco, Londynie czy Warszawie. Wszędzie tam, gdzie uczę studentów, robię wystawy – przyznaje. Nie ukrywa, że zima daje się jej we znaki. – Słyszysz pan moją chrypkę? Jest tyle śniegu, że trudno stąd wyjechać. Na dodatek do pracowni muszę brnąć przez zaspy. Na razie czekam na neon. Lada dzień ma przyjechać z warszawskiej firmy Reklama, która tworzy neony od lat 60. ☺

ADAM SUPRYNOWICZ, POLSKIE RADIO

Rok spokojnego pana

Uśmiechnięty, dobrotliwy, elegancki mężczyzna, w typie dyplomaty albo prawnika. Powściągliwy w gestach, starannie układający słowa. Uprzejmy introwertyk. Twórca najbardziej zmysłowej polskiej muzyki po Szymanowskim. **Witold Lutosławski**. Właśnie zaczął się jego rok.



To artysta, przed którym za jego życia chyliło się czoła i nazywało największym, ale 19 lat po jego śmierci polskie filharmonie rzadko grają jego muzykę. Gdyby chociaż miał barwną biografię! Niestety, wielu sensacji tam nie znajdziemy: jedna żona wspominająca go bardzo dobrze, zwykłe trudy życia, od lat 60. sława w świecie i pozycja autorytetu w kraju. Wychował się w ziemiańskiej rodzinie o silnych tradycjach endeckich, jego stryjem był kontrowersyjny filozof i pionier jogi w Polsce Wincenty Lutosławski. Uczył się dobrze, po śmierci ojca pomagał za-

Witold Lutosławski (1913–1994) był geniuszem, który nie miał w sobie nic z ekstrawaganckiego artysty. I dlatego nie da się go dziś „sprzedać” młodym ludziom jako celebryty.

łamanej mamie, studiował matematykę, kompozycję i grę na fortepianie.

Lutosławski miał niepopularną w polskiej tradycji cechę charakteru: umiejętność przystosowania bez rezygnacji z własnych przekonań. Inaczej niż ojciec, stracony w Moskwie działacz niepodległościowy, Witold postawił na przetrwanie, możliwie w pozycji wyprostowanej. W czasie okupacji zarabiał w warszawskich kawiarniach, grywając na cztery ręce z kolegą, kompozytorem Andrzejem Panufnikiem (z tego czasu pochodzą jego popularne wariacje na temat Paganiniego).

W okresie stalinizmu Lutosławskiemu dość dobrze wychodziły uniki. Już w latach 40. zaczęto zamawiać u niego opracowania muzyki ludowej, w formie utworów pedagogicznych dla młodzieży albo łatwych orkiestrowych kompozycji do nadawania w radiu. To zapewniało mu względnie stałe utrzymanie. Napisał też dla zarobku kilka (słabych) pieśni masowych i króciutką socrealistyczną kantatę. Istotne próby kompozytorskie chował do szuflady. Okres ten podsumował niezwykle efektywnym, nowatorsko wykorzystującym polski folklor koncertem na orkiestrę (1954), który jest dzisiaj najczęściej wykonywanym jego dziełem, wciąż obecnym w repertuarach najważniejszych orkiestr na świecie.

Od Cage'a do Villas

Odwiłz 1956 r. przyniosła polskiej muzyce wyjątkowe w krajach obozu sowieckiego otwarcie na świat, Warszawską Jesień – symbol wolności, a wkrótce wybuch awangardy i światowy sukces „polskiej szkoły kompozytorskiej”. Lutosławski znalazł się w nowej sytuacji: mógł pisać wreszcie po swojemu, ale też musiał to „swoje” odnaleźć. Był artystą nowoczesnym, ale wyedukowanym jeszcze przed wojną. Wysokie wymogi etyczne i poczucie obowiązku wobec słuchacza utożsamiał z potrzebą warsztatowej doskonałości. Życzliwie, ale z dystansem obserwował dźwiękowe ekscesy Pendereckiego czy Szalonka, nie podniecała go elektroniczna rewolucja rozpętana w działającym od 1957 r. Studiu Eksperymentalnym Polskiego Radia. Był już artystą zna-

nym, miał skromną, ale własną pracownię, w której mógł spokojnie szlifować kompozytorskie idee. W zapewnieniu tego komfortu znów pomogły zdolności przystosowawcze: zarabiał, pisząc pod pseudonimem Derwid przeboje dla Reny Rolskiej, Hanny Rek czy Violetty Villas.

Pracując nad rozpoznawalnym językiem muzycznym, brał z pomysłów XX-wiecznej awangardy to, co mu odpowiadało. Zafrapowany ideami Johna Cage'a, szukał odpowiedzi na zasadnicze pytanie: jak dać wykonawcom możliwie najwięcej improwizacyjnej swobody, jednocześnie precyzyjnie przewidując efekty? Odpowiedź była mistrzowska: orkiestrowe „Gry weneckie” (1961), chóralskie „3 poematy Henri Michaux” (1963) i kwartet smyczkowy (1964) zapewniły Lutosławskiemu dożywno liczne zamówienia z Zachodu, zachodniego wydawcę (i tantiemy) oraz niezależność od kaprysów władz i towarzyskich gier. W latach 70. i 80. należał już do ścisłej światowej czołówki. Najwybitniejsi soliści (Mścisław Rostropowicz, Krystian Zimerman, Anne-Sophie Mutter) czekali niecierpliwie na jego utwory, a kolejne pomysły kompozytora, np. oparty na psychologicznych uwarunkowaniach słuchacza model formy muzycznej, inspirowały twórców i teoretyków muzyki. Tej wysokiej pozycji Lutosławski nigdy już za życia nie utracił – uznawano go przy tym za symbol niezależności od komunistycznej władzy, a w jego utworach szukano aluzji do walki z reżimem – przeciw czemu łagodnie protestował, wspierając jednak swoim autorytetem „Solidarność”. Pomagał też młodym polskim kompozytorom i wykonawcom.

Był głęboko przekonany, że „muzyka należy do tych sztuk, które nie mają wymierzać sprawiedliwości widzialnemu światu, lecz raczej przekazywać coś ze świata niewidzialnego, (...) świata naszych pragnień, naszych marzeń. (...) Muzyka jest sztuką najbardziej abstrakcyjną ze wszystkich, nieprzekazującą żadnych treści, które dałyby się wyrazić słowami”. Za wszelką cenę unikał jednoznaczności, wolał pisać

do tekstów francuskich surrealistów, wyraziste symfoniczne gesty rozmywał w wielobarwnych chmurach dźwięków, które zachwycić mogą także słuchacza niewprawnego w przyswajaniu muzyki współczesnej. Witold Lutosławski pielęgnował bowiem niemożliwe pojęcie piękna, łącząc je nierozdzielnie z etyką twórcy. W słynnym przemówieniu wygłoszonym podczas Kongresu Kultury, dzień przed wprowadzeniem stanu wojennego, mówił o „wewnętrznej prawdzie”, której artysta powinien dać „rzetelne świadectwo”.

Czy to brzmieniowe piękno i abstrakcja muzyki Lutosławskiego nie były jednak artystycznym unikiem? Ewa Szczecińska, krytyczka i dziennikarka radiowej Dwójki, przyznaje, że po takich doświadczeniach życiowych, jakie były udziałem kompozytora, z pewnością można jego postawę nazwać eskapizmem, ale trudno ją oceniać. – Nie możemy wymagać, by ktoś, kto przez połowę życia doświadczał życiowych dramatów, wciąż się w nich płał. Trudności materialne i osobiste ciągnące się do lat 50. wytworzyły w nim ten charakterystyczny dystans. Ciągłe próbował ochronić siebie, dla innych zachowując niezwykłą życzliwość i delikatność. Z ducha był modernistą – w czasach socrealizmu skazanym na wieczny kompromis. Skrzydła rozwinął dopiero po czterdziestce, wtedy też w pełni mógł odciąć się od przeszłości. Stworzył bardzo wyrafinowany, spójny język, którego walorem jest architektoniczna, modernistyczna budowa – mówi Szczecińska.

Pokonać próżnię

Dzisiaj ceni się w nowej sztuce eksperyment i jasny przekaz – czy zatem muzyka Lutosławskiego nie jest za mało umiarkowana dla poszukiwaczy nowości, a wciąż za nowoczesna dla konserwatywnej publiczności filharmonicznej? – Młodzi kompozytorzy uznają jego wielkość, ale nie bardzo się nim inspirować. Tworząc indywidualną muzykę, zawsze przynależy się do jakiegoś bardziej ogólnego trendu. Lutosławski nie poszukiwał np. takich brzmień har-

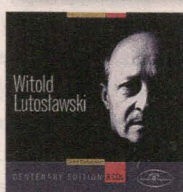
monicznych, które dziś nas fascynują. Ale jestem pewna, że nadejdzie jego czas – twierdzi Szczecińska.

Za życia zasypano Witolda Lutosławskiego międzynarodowymi nagrodami, włącznie z „muzycznym Noblem” – Polar Music Prize (1993). Polska uhonorowała go Orderem Orła Białego. Jednak po jego śmierci słuchacze i wykonawcy zastęgli w zdawkowym uznaniu. Sporadyczne ciekawe przedsięwzięcia (podejmowane głównie przez Polskie Radio i Towarzystwo Witolda Lutosławskiego) wydają się zawieszane w próżni. Czy w Roku Lutosławskiego będzie nas stać na szczerą dyskusję o jej wartości? Czy podejmiemy wysiłek wysłuchania jej na nowo? Czy też zdusimy ją gęstą nudą uroczystych koncertów? Pierwsze fanfary już za nami.

Z płyt

Przebierając wśród licznych płyt, najprościej wybierać nagrania pod batutą kompozytora. W każdej szanującej się prywatnej fonotece powinny być wydane przez Deutsche Grammophon interpretacje Anne-Sophie Mutter i Krystiana Zimermana, warto też poszukać zrealizowanego dla EMI w połowie lat 70. zestawu muzyki symfonicznej. Godne uwagi są też nagrania Antoniego Wita i katowickiej Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia dla Naxos.

Rok Lutosławskiego otworzyły Polskie Nagrania, które przygotowały ośmiopłytowy album poświęcony muzyce kompozytora w wykonaniach artystów ze ścisłej polskiej czołówki XX w. Świetny, niedrogi sposób zdobycia orientacji w tym dorobku. Jego swoistym uzupełnieniem będzie planowane na drugą część roku sześć płyt Narodowego Instytutu Audiowizualnego z unikatowymi nagraniami z archiwum Polskiego Radia. Można tam będzie znaleźć piosenki dla dzieci, popularne przeboje, pieśni masowe czy dokumenty pierwszych wykonań utworów pod batutą samego kompozytora. Będzie też wybór najważniejszych dzieł w interpretacjach najmłodszej generacji polskich muzyków. Zestaw wzbogaci płyta DVD z dwoma filmami z muzyką Lutosławskiego.



Nagrań Lutosławskiego jest na rynku pod dostatkiem. Warto sięgnąć po tanie, lecz świetnie zrealizowane płyty wydawnictwa Naxos. Warto także zainwestować w nagrania pod batutą kompozytora.

ANNA GWOZDOWSKA

Wybiera Olga Mieleńczuk

Ma klasyczne wykształcenie muzyczne, ale jej misją stało się ocalenie kultury jidysz od niepamięci. Śpiewa żydowskie ballady, akompaniując sobie na akordeonie. Kiedyś na ulicach Jerozolimy i polskich miasteczek, a już wkrótce w amerykańskich salach koncertowych, próbuje wskrzesić atmosferę przedwojennych sztetli.

1 Instrument, który oddycha

Akordeon marki Weltmeister pojawił się w moim życiu przypadkiem. Marzyłam o instrumencie, który będę mogła ze sobą wozić. Oczywiście mogłam wybrać coś mniejszego, ale wcześniej, przez wiele lat uczyłam się gry na fortepianie i przejście do klawiszowego akordeonu wydawało mi się naturalne. Nie jestem akordeonistką. Po prostu akompaniuję sobie, kiedy śpiewam. Zauważyłam, że między moim głosem i poczciwym Weltmeisterem istnieje synergia, bo akordeon to instrument oddychający, a to pomaga w wokalne ekspresji. Mój Weltmeister jest używany, bo kupiłam go trochę na próbę, ale został ze mną do dziś. Nie mogę się z nim rozstać, choć miałabym też ochotę na nowy. Na razie jesteśmy razem i podróżujemy między Polską a Izraelem.

2 Findżan

Kojarzy mi się z Polską, bo właśnie tam zobaczyłam go po raz pierwszy – w Cheder Cafe na krakowskim Kazimierzu. To mosiężny tygiel do kawy, używany zarówno w Turcji, jak i w Izraelu. Codziennie rano zaparzam w nim

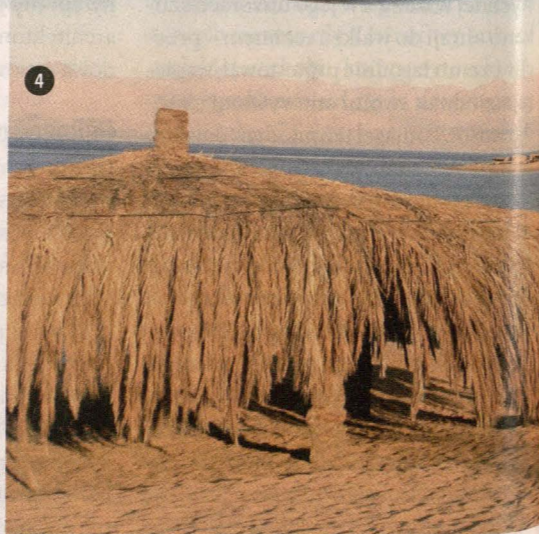
izraelską kawę z kardamonem. A kiedy jestem w Polsce, zaglądam do Cheder Cafe, żeby napić się... kawy. Panuje tam specyficzny melanz europejskości i klimatów bliskowschodnich. Siedzę na miękkich poduchach i słucham mieszanki polskiej muzyki awangardowej i muzyki żydowskiej.

3 Moje centrum świata

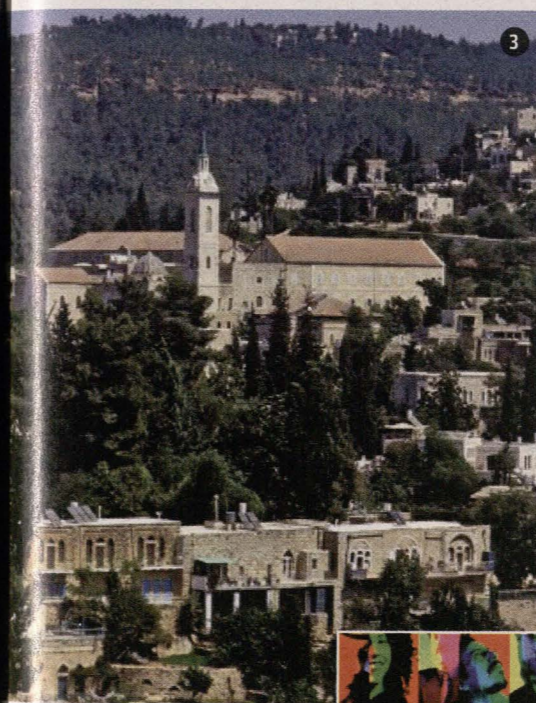
Ein Kerem: kiedyś wioska, dziś dzielnica Jerozolimy, ale nadal nie ma tu śladu wielkomiejskiej atmosfery. Wąskie, brukowane uliczki, wspaniała architektura, bliskość lasów. W Ein Kerem mieszkam od ponad 3 lat. Wszyscy się tu znają. Zostawiamy klucze pod kamieniem. To ważne miejsce dla trzech religii. Tu urodził się Jan Chrzciciel, a przy strumieniu zatrzymała się Miriam, która przyszła w odwiedziny do Elżbiety. Kiedyś to była także wioska arabska. Z tamtych czasów pozostał meczet. W szabat w synagodze słychać niekiedy głosy dzwonów z pobliskiego klasztoru. W Ein Kerem zdarzają się też spotkania magiczne. Natknęłam się tam pewnego razu na trzy postacie ubrane w długie szaty z dużymi białymi turbanami na głowie. Okazało się, że to dwie kobiety izraelskie towarzyszące swojemu guru ze Szkocji. Wymieniliśmy się pieśniami: ja podarowałam im utwór pasterza w jidysz, a oni mnie swoją magiczną formułę – hinduską mantrę. Kiedyś koncertowałam na skwerach i ulicach Izraela, ale to już odległa przeszłość. Do dziś lubię robić próby w plenerze, w pobliskim lesie, gdzie można eksperymentować, śpiewać swobodnie tzw. otwartym białym głosem, opartym na krzyku. W samotnym obcowaniu z naturą rodzą się nowe melodie i zbłąkane niguny znajdują swój głos.

4 Synaj

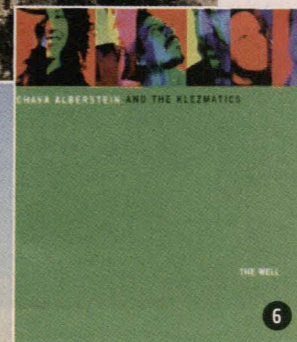
Lubię tam wracać. Położony niedaleko granicy z Izraelem półwysep jest pełen małych,



Olga Mieleńczuk – pieśniarka, akordeonistka i badaczka wschodnioeuropejskich tradycji muzycznych. Przywraca do życia zapomniane żydowskie ballady, łącząc je ze skomponowanymi przez siebie nigunami (chóralne pieśni bezśpiewne). Inicjuje projekty promujące wielokulturowość z udziałem artystów z Polski i Izraela. Wydała płytę „Tradycyjne pieśni sztetla” inspirowaną biografią i repertuarem Marian Nirenberg, żydowskiej pieśniarki ludowej urodzonej na Polesiu na początku XX wieku. W tym roku wyrusza wspólnie z zespołem Shofar w trasę koncertową po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Obecnie mieszka w Jerozolimie i Warszawie.



EAST NEWS



6



7

prywatnych beduińskich plaż, mieszka się tam kilka metrów od morza w bambusowych chatkach, bez elektryczności, a wieczorem wszyscy zbierają się przy ognisku, by wspólnie muzykować. Właśnie stamtąd przywiozłam kamienie, z którymi pracuję przy biżuterii tworzonej techniką makrame, polegającą na wyplataniu węzłów ze specjalnych sznurków. Można je łączyć z różnego rodzaju koralikami, kryształkami i kamieniami właśnie. Makrame jest formą medytacji, symbolizuje tworzenie połączeń między różnymi aspektami życia – zewnętrznego i wewnętrznego.

5 Tylko śpiewać

W Izraelu znajduje się scena, na której bardzo lubię występować, nazywa się Yung Yidish. Mieści się w dość nieoczekiwanej okolicy, na dworcu autobusowym w Tel Awiwie, o którym mówi się, że jest wieżą Babel Izraela, oazą imigrantów i wielokulturowym bazarem w jednym. Pomiedzy filipińską agencją matrymonialną a obskurnym biurem pośrednictwa pracy mieści się Żywe Muzeum Jidysz. W jego przestronnym wnętrzu chaos dworca znika. Okrzyki sprzedawców falafela zastępują dźwięki klezmerskich skrzypiec. Koncerty odbywają się na małej scenie, rozświetlonej światłem świec, pośród tysiąca książek w jidysz, których już nikt nie czyta. Nigdy nie wiadomo, ile osób dotrze na koncert, ale warto grać dla tych niedotykanych, przygarbionych z ulicy książek, które przechowują pamięć utraconego świata. Mam ulubioną publiczność: starszych ludzi z tzw. pierwszego pokolenia, którzy przetrwali Szoah. Dla wielu z nich jidysz jest pierwszym językiem, językiem matki, często zapomnianym. Pio-

senki jidysz przywracają świat ich młodości. W Polsce lubię występować w małych miasteczkach, dawnych sztetlach, w których pamięć o przedwojennych sąsiadach zanika lub jest naznaczona milczącą traumą. Granie muzyki żydowskiej w takich miejscach jest jak tikun, czyli proces naprawy, odbudowy relacji polsko-żydowskich.

6 Studnia

Odkąd zaczęłam się zajmować muzyką tradycyjną, rzadko wracam do klasyki. Do moich ulubionych płyt należy za to „The Well” (Studnia) izraelskiej pieśniarki Chavy Alberstein i legendarnego zespołu klezmerskiego Klezmatics. Jest to zbiór 15 poematów w jidysz, do których Chava napisała muzykę, a Klezmatics stworzył znakomite aranżacje. Chava Alberstein jest postacią, która mnie fascynuje. Urodziła się w Szczecinie, ale w 1950 roku wyemigrowała z rodziną do Izraela. Uwielbiam jej głos, aranżacje muzyczne, uczyć się od niej śpiewać w jidysz. W tym roku wystąpię w USA. Będą ze mną grać dwaj muzycy izraelscy – Ittai Binnun z Jerozolimy i Uri Sharlin. Udało się też pozyskać znakomitą nowojorską skrzypaczkę, która gra właśnie w Klezmatics. Mam nadzieję, że taki międzykulturowy skład stworzy nowe, ciekawe jakości muzyczne.

7 Sposób na zasiedzenie

Czytam głównie książki związane z duchowością żydowską. Przynajmniej raz w tygodniu sięgam po „The Light Beyond”, zbiór wypowiedzi cadyków, chasydzkich świętych, w opracowaniu rabina Aryeh Kaplana. Z polskiej literatury wracam do „Biegunów” Olgi Tokarczuk. To prezent od przyjaciółki na podróż powrotną do Izraela. Książka idealna do czytania w ruchu, w samolocie, w izraelskiej taksówce, bardzo bliska idei przemieszczania się, ucieczki przed złym duchem zasiedzenia, który dopada nas, gdy zatrzymujemy się w jednym miejscu na dłużej.

KobiECE kino wagi ciężkiej

Pokazuje świat odarty z uczuć, pełen gwałtu, pozbawiony zasad moralnych. Najnowszy film **Kathryn Bigelow** „Wróg numer jeden” wchodzi właśnie na ekrany polskich kin.

BARBARA HOLLENDER



MATERIAŁY PRASOWE (2)

Zdjęcia do filmu „The Hurt Locker” kręcono na pustyni w Jordanii, bo Bigelow nie dostała zgody na filmowanie w Iraku.

Od sztalgu do kamery

Kathryn Bigelow nie interesuje twórczość łatwa, przyjemna, adresowana – po hollywoodzku – do „średnio rozgarniętych czternastolatków”. To energiczna, twarda kobieta, która doskonale wie, na czym jej w życiu zależy. Patrząc na nią, trudno uwierzyć, że ma 61 lat. Wygląda najwyżej na czterdziestkę. Wysoka, szczupła, długowłosa. Kiedyś była modelką firmy GAP. I malarką. Córka właściciela sklepu z farbami i bibliotekarki, skończyła Art Institute w San Francisco. Potem, jako obiecująca młoda artystka, dostała stypendium w nowojorskim Whitney Museum, gdzie zetknęła się z Vito Acconci i Susan Sontag. A wreszcie trafiła do klasy filmowej w Columbia University. – W czasach szkolnych i studenckich uprawiałam malarstwo figuratywne – powiedziała mi w rozmowie. – Ale gdy przyjechałam do Nowego Jorku, wszystko się zmieniło. Moje prace stały się coraz bardziej abstrakcyjne, aż wreszcie zaczęły przypominać dziwne nocne mary. W końcu przekształciły się niemal w kino. Kiedy dzisiaj o tym myślę, mam wrażenie, że, paradoksalnie, to malarstwo nauczyło mnie sztuki opowiadania.

Bez romantyzmu

Żywiołem Bigelow stał się film. Nie pracowała jednak dla wielkich studiów. Jej obrazy były wprowadzane na ekrany przez hollywoodzkich dystrybutorów, ale powstawały w firmach niezależnych. Od początku stroniła od tzw. kina kobiecego. Komedie romantyczne czy wzruszające opowieści rodzinne zostawiła facetom. Zadebiutowała w 1978 r. krótkim metrażem „The Set-Up”, opowiadającym o przemocy. Cztery lata później zrobiła pierwszą fabułę „The Loveless”. Producenci dostrzegli talent realizatorki i zaczęli jej przysyłać scenariusze. Głównie filmów dla nastolatków. Młodej artystce nie żyło się wtedy łatwo. Młodzieżowe komedijki pomogłyby jej opłacić rachunki za lepsze życie. A jednak odmawiała. Nie po to została reżyserem.

Potrafi pracować w 50-stopniowym upale, wśród wybuchających bomb. Precyzyjnie rekonstruuje sceny tortur, jakim agenci CIA poddają terrorystów. Ale gdy spytałam Kathryn Bigelow, skąd bierze tyle siły, artystka niemal krzyknęła: „A kto twierdzi, że kobieta ma być słaba?!”.

Cztery lata temu film Bigelow o walczących w Iraku saperach „Hurt Locker. W pułapce wojny” w wyścigu oscarowym pokonał „Avatara” Jamesa Camerona. Ona sama, jako pierwsza w histo-

rii tej nagrody kobieta, odebrała statuetkę za reżyserię. W tym roku za faworyta uchodził jej „Wróg numer jeden”, a jednak dostał „tylko” pięć nominacji. Opowieść o dekadzie poszukiwań Osamy bin Ladena przegrała z historycznym „Lincolnem” Spielberga i bajką w 3D „Życie Pi” Anga Lee. Poprawni politycznie Akademy przestraszyli się filmu, o którym dziennikarz „The New York Times” napisał: „Realizatorzy sugerują, że bez podtapiania i innych drastycznych metod stosowanych przez Amery-

kanów podczas przesłuchań, nie odnaleziono by bin Ladena”. Amerykański eseista Michael Wolff nazwał Bigelow „sadystką”. Szefowie Centralnej Agencji Wywiadowczej odcięli się od „Wroga numer jeden”, a członkowie senackiej komisji do spraw wywiadu postanowili zbadać, czy nie doszło do wycieku z CIA tajnych informacji.

Niebezpieczne rejony

– Bzdura. My tylko pokazujemy to, co się wydarzyło. Opisywanie rze-

czywistości nie oznacza aprobaty dla niej – broniła się reżyserka. A w liście opublikowanym przez „Los Angeles Times” pisała: „Zawsze byłam pacyfistką i popierałam protesty przeciwko stosowaniu tortur. Może oskarżenia, które spadły na »Wroga numer jeden«, powinny być wysuwane nie w stosunku do filmu, lecz w stosunku do ludzi decydujących o amerykańskiej polityce”.

Bigelow od kilku lat przygotowywała się do nakręcenia thrillera o ludziach ścigających bin Ladena. Scenariusz

pisał Mark Boal, autor „Hurt Lockera...” i od kilku lat partner reżyserki. Kiedy przyszła wiadomość o śmierci Osamy, zaczęli pisać scenariusz od nowa. Pracowali błyskawicznie. Produkcja ruszyła w lutym 2012 roku. Zdjęcia kręcono w Indiach, Jordanie, Londynie. Sceny obławy ekipa filmowała w maju, dokładnie rok po prawdziwym ataku. Trzeba niemałej odwagi, by dotknąć tak trudnego tematu i zajrzeć z kamerą w rejony, do których postronni obserwatorzy nie są dopuszczani.

W Los Angeles przyjęła wykłady w Kalifornijskim Instytucie Sztuki. I robiła filmy. Niby komercyjne, a jednak z charakterem. Zrealizowała erotyczny horror z elementami westernu „Blisko ciemności”, dwa obrazy gansterskie „Błękitna stal” i „Na fali”. W 1995 roku, zafascynowana rzeczywistością wirtualną, nakręciła „Dziwne dni”, które trafiły na festiwal wenecki. Ogluszyła tam publiczność wrzawą, zbombardowała obrazami. Była wyrazista, ostra. Nawet gdy postanowiła nakręcić dramat rodzinny „The Weight of Water”, wyszła jej opowieść nie o miłości, lecz o kobietach udreńczonych w związkach.

– Nie lubię spokoju, poukładania, harmonii – śmieje się. – Taką mam widocznie skazę wrażliwości. Zresztą gwałt jest dziś częścią życia, musi więc stać się także częścią filmów. Niebezpieczne jest bawienie się mordem i brutalnością. Ale na atakowanie widza obrazem, który pokazuje koszmar przemocy, artysta może sobie pozwolić.

Uzależnieni od adrenaliny

Nic dziwnego, że tak wielkie wrażenie zrobiła na Bigelow opowieść Marka Boala, reportera, który spędził trzy tygodnie z saperami podczas wojny

w Iraku. Potrafiła przenieść ją na ekran. Zapomniała o swojej pasji kreowania obrazów, w 2008 roku zrobiła niemal paradokument. „The Hurt Locker. W pułapce wojny” był surowym zapisem życia saperów wrzuconych w środek irackiej walki. W każdej niemal scenie czuć tu zagrożenie i śmierć.

– W „New York Timesie” przeczytałam, że od początku wojny w Iraku życie straciło 6 tysięcy amerykańskich żołnierzy. W tym czasie w mediach ukazało się dokładnie sześć fotografii, na których pokazano trumny wracające do kraju. To jest cenzura. Dlatego zrobiliśmy „Hurt Lockera”. Amerykanie nie muszą zrozumieć, jaka jest cena tej wojny – mówiła mi wówczas Bigelow.

Opowiedziała o silnych facetach, którzy w ważących 40 kilogramów kombinezonach, w 50-stopniowym żarze rozbierają bomby. Każdy ich krok może być tym ostatnim. Ale to nie był film o bohaterstwie. Bigelow i Boal pokazali coś nowego: uzależnienie od niebezpieczeństwa, które działa jak narkotyk, jak zastrzyk adrenaliny. Po doświadczeniu wojny trudno potem żyć w domu z ogródkiem, kupować w sklepie płatki owsiane i chodzić na dziewiątą do pracy w biurze.



KATHRYN BIGELOW

reżyserka filmowa. Jedna z czterech kobiet kiedykolwiek nominowanych do Oscara za reżyserię i jedyna, która nagrodę otrzymała.

Kadr z filmu „Wróg numer jeden”. Obraz przysporzył wielu wrogów samej Bigelow. Michael Wolff z „Vanity Fair” nazwał ją fetyszystką i sadystką.

Płeć reżyserów

– W wojnie nie ma niczego romantycznego. Nie mogę słuchać, że walka zmienia chłopców w mężczyzn. Wojna to tragedia i nie potrafię na nią patrzeć inaczej – opowiadała mi podczas rozmowy Bigelow.

Kiedy odbierała Oscara, dziennikarze podkreślali, że pokonała byłego męża, Jamesa Camerona. Ale to nie miało dla niej znaczenia. Rzeczywiście, byli małżeństwem tylko przez dwa lata (1989–1991), jednak rozstali się w przyjaźni. Cztery lata po rozwodzie Bigelow zrobiła „Dziwne dni” na podstawie jego scenariusza. Odbierając miesiąc wcześniej Złoty Glob za „Avatara”, Cameron na scenie powiedział: „Ta statuetka należy się Kathryn”. Po ceremonii oscarowej był podobno pierwszą osobą, która serdecznie gratulowała jej zwycięstwa. On zresztą był już „królem świata” po „Titanicu”, a jego „Avatar” zdążył w kinach zarobić 2,4 mld dolarów.

A obok Bigelow stał już wówczas Mark Boal, młodszy od niej o 15 lat dziennikarz „Observera”, „The Village Voice”, „Playboya”. Na podstawie jego artykułu „Death and Dishonor” („Śmierć i dyshonor”), opublikowanego w 2004 r. na łamach „Playboya”, powstał film Paula Haggisa „W Dolinie Elah”. Bigelow nie chce nigdy mówić o ich związku, woli opowiadać o „Hurt Lockerze”, „Wrogu numer jeden”. O ich wspólnej pracy. A tu dobrali się idealnie. Oboje patrzą na świat bez znieczulenia. Po męsku. Ale ona sama denerwuje się, słysząc stale pytania o swoje „męskie” kino.

– Te podziały na płcie wydają mi się w sztuce fałszywe. Nie mówimy o kobietach astronomach ani o kobietach matematykach. Dlaczego mamy się zastanawiać nad płcią reżyserów? Myślę o sobie jak o filmowcu. I tyle – mówi Kathryn Bigelow.

I tylko czasem ta „żelazna dama kina” pozwala sobie na chwilę słabości. Ostatnio, zapytana o plany, odpowiedziała: – Nie mam pojęcia. Potrzebuję przerwy. Dobrze byłoby trochę się wyspać.

Dorota Chrobak o filmach



reż. Wojciech Smarzowski, Polska 2013, Next Film, 118 min

☺☺☺☺



reż. Ruben Fleischer, USA 2013, Warner, 113 min

☺☺

Katarzyna Nowakowska o serialach

Policjanci i zło

Dobry serial kryminalny musi mieć dobrą postać detektywa, a dobry detektyw, chce czy nie, zanurza się w zło. Jak Maria Bello w „Głównym podejrzanym”.

Kobiety detektywi znalazły się na fali dzięki wspaniałej postaci Sary Lund z duńskiego „The Killing”. Grana przez Bello Jane Timoney także jest świetną tropicielką zbrodni, inteligentną i niezłomną w swojej chęci odkrycia prawdy, choć sprawy, które musi rozwiązywać, są z gatunku tych potwornych. Funkcjonując w zdominowanym przez mężczyzn świecie, Jane wytworzyła sobie pancierz złożony z nieuprzejmości i walenia prawdy na odlew. Stres związany z pracą odreagowuje, paląc kolejne papierochy.

Przynajmniej nie jest alkoholizką, jak pierwowzór tej postaci, granej przez Helen Mirren w brytyjskiej wersji „Głównego podejrzanego”, bo zachlany detektyw trąci już jednak sztapą. O wiele ciekawsi wydają się policjanci, którzy obcując non stop ze złem, uwalniają swoje wewnętrzne demony, zamiast topić je w kielonie – jak Luther z innego angielskiego serialu. Demoniczny na wskroś jest też świat wykreowany przez Alana Balla w jego nowym serialu „Banshee” – tam pod lokalnego szeryfa podszywa się świeżo wypuszczony z więzienia ekszłodziej. Zamieszkanę przez Amiszów okolice miasteczka Banshee okazują się zaś rezerwuarem przemocy, korupcji i czystego zła, co sprawia, że nie do końca świetlana postać szeryfa wydaje się całkiem biała na tym tle. Bo dobry glina musi być trochę zły, po prostu.

„Główny podejrzany”, Ale kino+ (premiera 27 stycznia)

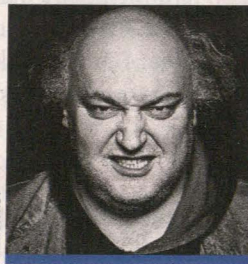


ALE KINO+



Maciej Nowak

15 widzów w poszukiwaniu autora



ARTUR KOT

Heiner Goebbels, guru niemieckich poszukiwań teatralnych, wyszedł z tego spektaklu oburzony. Również ja byłem o krok od awantury z jego twórcą. Wojtek Ziemilski to chłopiec wiotki, więc zderzenie z moimi 140 kilogramami mogłoby go narazić na dłuższy pobyt na urazówce. Odstąpiłem zatem od rękoczynów z przekonaniem, że jego „Prolog”, zrealizowany przez Teatr Ochoty z Warszawy i festiwal Krakowskie Reminiscencje Teatralne, to dzieło fascynujące. Ale rozumiem je odwrotnie od reżysera. Czy nie o to chodzi w spektaklu, który rozgrywa się bez ani jednego aktora, w gronie 15 widzów wchodzących na pustą scenę w poszukiwaniu autora?

W foyer otrzymujemy słuchawki, w których rozbrzmiewa Głos. Próbuje się zaprzyjaźnić na najbliższe 45 minut, choć jest niepokojący, ma angielski akcent i trudności z wysławianiem się po polsku. Na jego polecenie oglądamy uczestników teatralnej wyprawy, oceniamy, kto próbuje się lansować, kto jest zażenowany, a kto ma wszystko w dupie. Po wejściu na scenę Głos zachęca, żebyśmy odnaleźli się na narysowanej na podłodze skali od 1 do 10, opisując w ten sposób nasze samopoczucie. Zwykle w takich sytuacjach jestem potwornym ciasnikiem, więc ustawiam się w okolicach czwórki. Za mało, za mało wiśniówki. Gdy stoimy w równym rzędzie, obnażając stopień naszego zawstydzenia, Głos zadaje pytania, na które odpowiedziami mają być krok do przodu na tak i krok do tyłu na nie. Pytania są głupkowate, ale powoli z reakcji na nie powstaje profil każdego z nas. Czy onanizowałeś się kiedyś w teatrze? Nie. Krok do tyłu. Czy płakałeś kiedykolwiek w teatrze? Tak. Krok do przodu. Czy wyobrażałeś sobie, że wszyscy aktorzy na scenie są nadzy? Tak. Krok do przodu. Czy teatr zmienił twój stosunek do jakichś zjawisk? Tak. Krok do przodu. Boże, dlaczego jestem na przodzie, a wszyscy za mną? Czy ja zawsze muszę mieć parcie na czołówkę? Zmniejszam kroczki, ale i tak, gdy kończy się ta część przedstawienia, tkwię na samym skraju sceny. Zapada ciemność, kładziemy się na pufach, z których obserwujemy ekran

Może ktoś z was uczestniczył w arabskiej wiośnie albo walczył o wolność dla Pussy Riot? Na miłość boską, jak miałem to zrobić zza klawiatury laptopa przy Opaczewskiej?

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

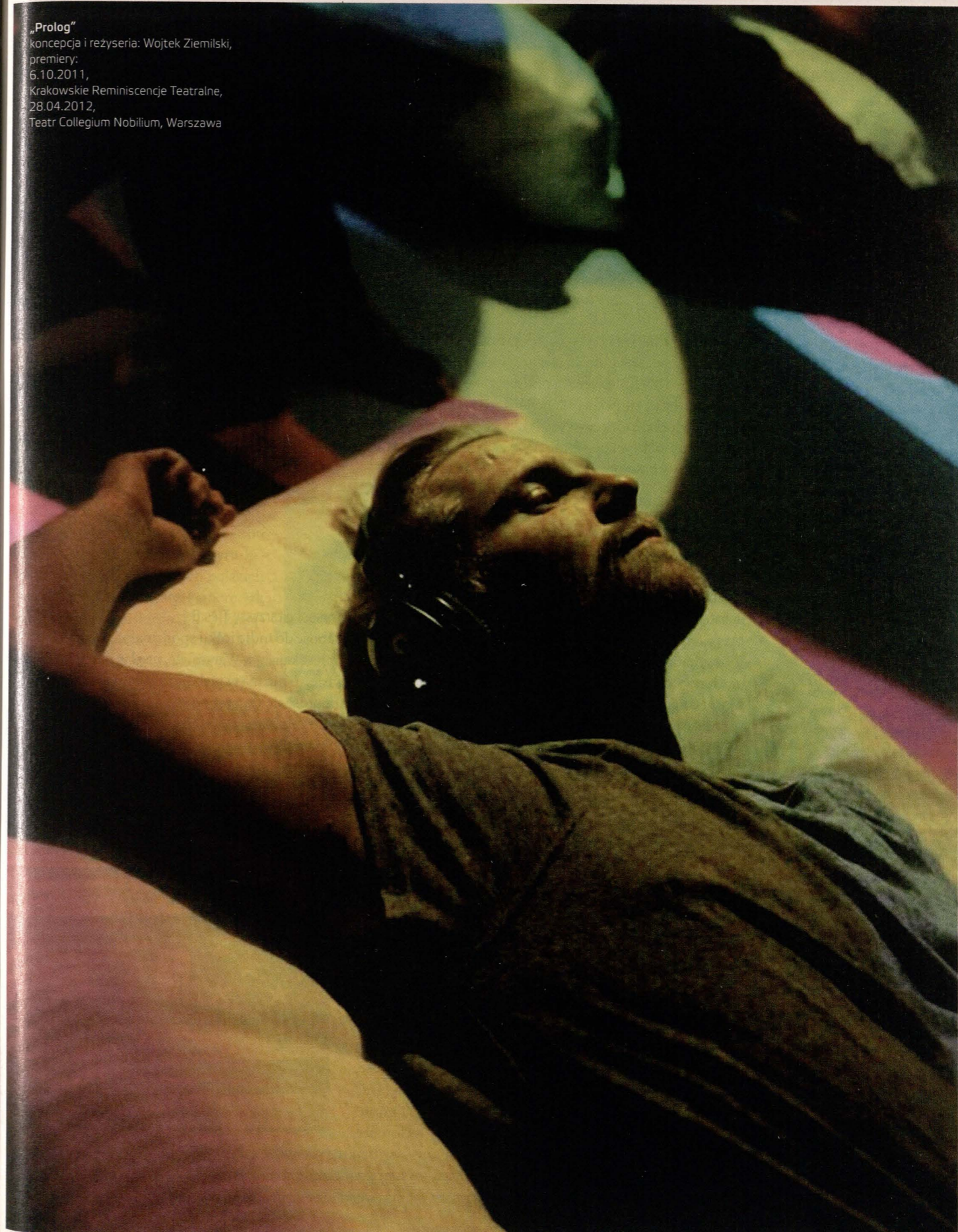
zawieszony nad sceną. Przypomina sklepienie planetarium, gdzie ciałami niebieskimi są uczestnicy spektaklu. Widzę siebie w świetlistej aureoli, obok pozostałych widzów. Głos opowiada o nas samych na podstawie odpowiedzi, których przed chwilą udzieliliśmy. Łączy w podzbiory tych, którzy zareagowali identycznie na te same pytania.

Fascynacja technologią tego performance'u powoli przeradza się w przerażenie. Oto podstępnie wciągnięty zostałem do teatralnego Big Brothera, obnażyłem swoje słabości, z których Głos buduje narrację, w której wcale nie chcę uczestniczyć. Zachęca do działania, a jednocześnie obnaża pasywność całej grupy. Może ktoś z was uczestniczył w arabskiej wiośnie albo walczył o wolność dla Pussy Riot? Na miłość boską, jak miałem to zrobić zza klawiatury laptopa przy Opaczewskiej? Poczucie dyskomfortu narasta, z ulgą przyjmuję wezwanie do opuszczenia sceny. W drodze ku wyjściu przechodzimy przez reżyserkę, z której Głos, Reżyser i zespół współpracowników realizowali cały projekt. Przyglądają się nam z uwagą, spokojnie, może nawet trochę ironicznie, a ja się dławie i chcę jak najszybciej odetchnąć mroźnym, wieczornym powietrzem.

Oto „Prolog”. Prolog nieistniejącego dzieła, bo grono przypadkowych widzów nie jest zdolne do żadnego działania. Wojtek Ziemilski twierdzi, że jego spektakl to wezwanie do aktywności, zarysowanie potencjalnej wspólnoty. Ja mam odwrotne wrażenie: to przerażający raport o pozorach działania kolektywnego i płonnych nadziejach. Gromadzona w reżyserce wiedza o uczestnikach tego projektu przypomina towarzyskie zabawy na Portalu. Którego Nazwy Nie Należy Wymawiać. Z lajków, udostępnień, podpisów pod kolejnymi listami otwartymi żadnej siły wygenerować się nie da. Petycje.pl, świeczki pod ambasadami i koncerty charytatywne są ludzaco podobne do społecznego aktywizmu, ale nie są nim w najmniejszym stopniu.

„Prolog”

koncepcja i reżyseria: Wojtek Ziemilski,
premiery:
6.10.2011,
Krakowskie Reminiscencje Teatralne,
28.04.2012,
Teatr Collegium Nobilium, Warszawa



Płyty ocenia Angelika Kucińska



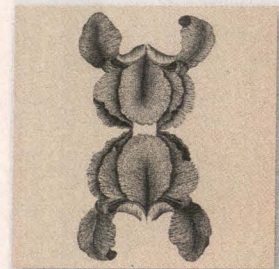
CHILLWAVE/SYNTHPOP

Przeboje w detalu

Wiadomo, kto tkwi w szczegółach. A stojący za sztydem Toro Y Moi Chaz Bundick jest jego największym wyznawcą.

Nie lubi rewolucji. Kolejne płyty Bundicka – człowieka, który wprowadził chillwave pod strzechy – różnią się jedynie detalami, niuansami w aranżacjach, inspiracjach i produkcyjnych zabiegach. Nieokreślone struktury debiutu – statutowy element chillwave'u – na drugiej płycie zastąpił konkretną dynamiką. Na „Anything in Return”, trzecim albumie Toro Y Moi, jest i konkretnie, i piosenkowo. Bo zmiana w myśleniu polega tym razem na przesunięciu ciężaru w kierunku elektronicznego popu – definiowanego przez syntetyczne brzmienie, dobre refreny i uniwersalne melodie. Bundick wciąż pisze z wrażliwością, którą pokochali blogerzy – to smutny, sentymentalny, plastyczny album. Tyle że tym razem te emocje ułożyły się w potencjalne przeboje.

Toro Y Moi,
„Anything in Return”,
Carpark



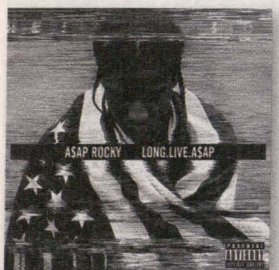
Anthony Chorale,
„Ambitions of the Son”,
wydawnictwo własne

INDIE FOLK

Emo folk

Bohater drugiego planu wychodzi przed szereg. Anthony Chorale to zespół gitarzysty Trés.B.

Ma potencjał, nawet jeśli na razie brakuje mu oryginalności. Słabość do indie folku spod znaku Grizzly Bear zdradzały już kompozycje, które Olivier Heim, Duńczyk mieszkający w Warszawie, pisał w ramach macierzystego składu. I choć inspiracje wciąż pozostają oczywiste, to nie ma w nich nic nachalnego czy wymuszonego. Zmiany personalne – jednoosobowy projekt rozrósł się do zespołu z wiolonczelistką i perkusistą – naturalnie wzbogaciły brzmienie i dopełniły kompozycji. Największą siłą EP-ki (dostępnej na profilu zespołu w portalu Bandcamp) jest jednak angażująca wrażliwość autora. Bo w swojej intymnej prostocie to materiał bardzo emocjonalny. Świetne piosenki już ma, pozostaje wymyślić, jak się nimi wyróżnić.



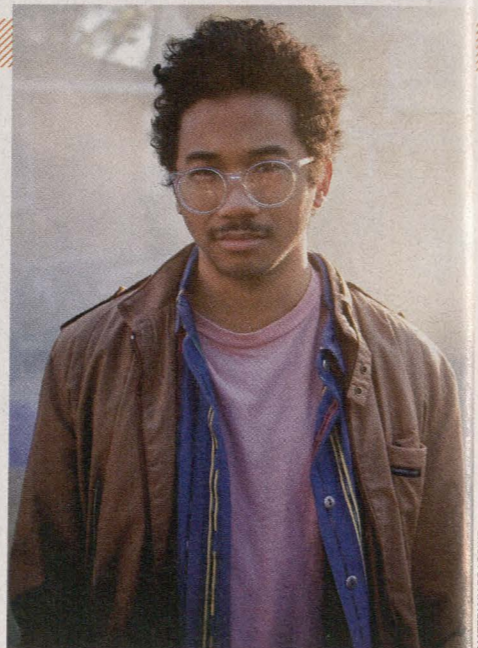
A\$AP Rocky,
„Long Live A\$AP”,
Sony Music

HIP-HOP

Bez charakteru

Wiele hałasu o nic? To miał być rapowy debiut roku, ale A\$AP Rocky był tak pochłonięty zabawianiem gości, którzy przewinęli się przez studio nagraniowe, że zapomniał o płycie.

Nie mam za wiele do powiedzenia, więc zasłonię się innymi – kiepski koncept na pierwszą płytę, ale tym razem debiutant niestety poszedł w nazwiska. W dodatku nieskutecznie. Jak na tłum zaproszonych producentów – Danger Mouse, Skrillex, Hit-Boy – to album muzycznie nieszczególnie błyskotliwy, momentami wręcz nijaki. Jak na stado popularnych gości – Drake, Santigold, Florence Welch z Florence and the Machine – pozbawiony wyrazistej osobowości. Brakuje pomysłu, nie ma charakteru, a najbardziej charyzmatycznym momentem albumu jest gościnny występ Kendricka Lamara, który przez 30 sekund potrafi zrobić więcej niż A\$AP godzinami mantrujący „pussy, money, weed”. Swoją drogą, ile można?



MATERIAŁ PRASOWE

JAN BOŃCZA-SZABŁOWSKI

Miłośniczka doskonałości

Była ikoną polskiego kina lat 60. i 70. XX w. Lucyna Winnicka zmarła w zapomnieniu, w domu spokojnej starości pod Warszawą w wieku 84 lat.

Zachwycała urodą. Kobiety, które grała, były tajemnicze i naznaczone dozą szaleństwa. Podobnie jak Brigitte Bardot czy Greta Garbo wycofała się z aktorstwa u szczytu kariery. Była jedną z pierwszych polskich aktorek, które traktowały kamerę jak partnera, kogoś bliskiego, kto przygląda się czasem bardzo intymnie. – Kiedy oglądałam „Pociąg” i „Matkę Joannę od Aniołów”, zobaczyłam, że wprawdzie zmienił się dziś nieco sposób grania, ale charyzma i niezwykła energia, jaką prezentuje w nich aktorka, są wciąż bardzo inspirujące. Brakuje mi tego w dzisiejszej polskiej kinematografii – mówiła niedawno aktorka Karolina Gruszka.

Historyk filmu Tadeusz Lubelski zauważył, że w czasach, kiedy filmowi bohaterowie koczują się z gwałtownością, ekscentrycznością i wyrazistością, może się wydawać, że nie ma już miejsca dla kobiet, których uosobieniem była Winnicka. – Na szczęście – dodaje – przewijają się od czasu do czasu postaci tajemnicze, przykuwające uwagę, takie właśnie jak filmowa Matka Joanna od Aniołów.

Winnicka, jak pisano, „spajała tajemnicę kobiecości”. Filmowy debiut „Pod gwiazdą frygijską” zapoczątkował jej wieloletnią współpracę z Jerzym Kawalerowiczem, późniejszym mężem. Do 1968 r. wystąpiła w prawie wszystkich filmach reżysera. Marta



MATERIAŁ PRASOWE

Lucyna Winnicka jako tytułowa „Matka Joanna od Aniołów” (1960). Po międzynarodowym sukcesie aktorka zrezygnowała z kariery, by podróżować, pisać i medytować.

w „Pociągu” przyniosła jej wyróżnienie na MFF w Wenecji, a tytułowa „Matka Joanna od Aniołów” z 1960 r. Kryształową Gwiazdę, nagrodę Francuskiej Akademii Filmowej, i Tribunascope na MFF w Panamie. Krytycy zachwycali się kreacją Winnickiej, choć sama ekranizacja „Matki Joanny...” wywołała protest polskiego episkopatu i Watykanu, a w Cannes dyplomatyczno-polityczny skandal. Ponoć z tego powodu film nie zdobył Złotej Palmy, tylko Grand Prix.

Później aktorka zagrała jeszcze kilkanaście ról. Szybko jednak zrozumiała, że aktorstwo jej nie wystarcza. Zaczęła podróżować, rozpoczęła też współpracę z „Przekrojem”. „Nigdy nie żałowałam, że pożegnałam się z aktorstwem – mówiła mi w jednym z ostatnich wywiadów w 2008 r. z okazji 80. urodzin. – Żałowałby się z goryczą i niczego by nie zmienił. Aktorstwo traktuję jako ważny etap w życiu. Oddałam mu ogromnie dużo, ale zrozumiałam, że nie daje mi ono szans na pełną samorealizację. Bałam się, że zacznę odczuwać pustkę,

i postanowiłam zmienić swoje życie. Pomogła mi w tym filozofia Wschodu, podróże i medytacje. To nauczyło mnie spojrzania w głąb siebie”.

– Lucyna Winnicka, która zawsze była piękną kobietą, zaimponowała mi filozofią życia – twierdzi Magda Umer. – Popularyzowała medycynę niekonwencjonalną, głównie stosowanie praktyk zmierzających do poznawania i poszerzania granic samoświadomości. Zachęcała do samodoskonalenia się, wolności wewnętrznej i pracy nad sobą. Zafascynowana medycyną i filozofią Dalekiego Wschodu, Lucyna Winnicka założyła w 1977 r. Akademię Życia, którą kierowała dziesięć lat. Wraz z Markiem Kotańskim wystosowała wówczas do parlamentu petycję podpisaną przez pół miliona Polaków przeciw brutalności i agresji w programach telewizyjnych.

W 1998 r. była jednym z członków założycieli Transparency International Polska. Jej książka „Podróż dookoła świętej krowy” okazała się hitem wydawniczym i rozeszła się w 120 tys. egzemplarzy. Podobnie było z kolejną pozycją – „W poczekalni nieba”. Kiedy zapytałem ją, dlaczego nie zdecydowała się na autobiografię, stwierdziła: „Z pewnością zawierałaby wiele wątków. Pojawia się pytanie: czy łatwo byłoby mi napisać o życiu, miłości i rozstaniu z Jerzym Kawalerowiczem? Myślę, że tak. Choćby dlatego, że to było piękne uczucie, które potem przerodziło się w przyjaźń. Mamy dwójkę wspaniałych dzieci. Jerzy do końca pozostał bliskim mi człowiekiem, bo oboje mieliśmy świadomość, że spędziliśmy ze sobą kawał życia”.

Pytana o rady, których udzieliłaby młodszemu, odpowiadała niezmiennie: „Jeśli zaczniesz im się w życiu nudzić albo przestaniesz widzieć sens – niech zmienią zawód albo partnera i z uśmiechem spojrzą w lustro”.

MAGAZYN SUKCES

NOWY NUMER
JUŻ W SPRZEDAŻY

PRZECZYTAJ M.IN.:

- Magda Gessler – tańczy, maluje, a jak gotuje! Z biznesu uczyniła sztukę!
- Jaśnie wielmożna... marka. SISLEY. Kremy z herbem w tle.
- Crossfit – nieważne, jak wyglądasz. Ważne, ile z siebie dajesz!



POBIERZ APLIKACJĘ NA SWÓJ TABLET



POBIERZ APLIKACJĘ
NA SWÓJ TABLET

www.sukcesmagazyn.pl



KUBA DĄBROWSKI

Własna Kępa

O Szarlotcie Pawel, pierwszej polskiej autorce komiksu.

Warszawa, rok 1974. Po obronie dyplomów studenci Akademii Sztuk Pięknych wychodzą na miasto świętować przy wódce. Są toasty za przyszłość, jest wspomnianie i przechodzenie na „ty” z asystentami. Na dosyć zaawansowanym etapie imprezy jeden z nich pyta, czy ktoś ze studentów umie rysować komiksy, bo redakcja „Świata Młodych” potrzebuje kogoś na stanowisko autora komiksu na ostatnią stronę. „Świat Młodych” przechodzi właśnie rewolucję – będzie ukazywał się trzy zamiast dwa razy w tygodniu, wprowadzony zostaje kolorowy druk, potrzebne są wzmocnienia. Zgłasza się Eugenia Pawel-Kroll. – Stała posada była dla mnie bardzo kuszącą perspektywą. Na studiach robiłam jakieś rysunekzki z następstwem czasu i miejsca akcji, pomyślałam, że dam radę – wspomina. – O komiksach nie wiedziałam wtedy wiele, chyba nikt w Polsce nie wiedział. Traktowało się je jak niepoważne historyjki dla dzieci, rzecz pośledniego gatunku. Miałam jedynie odziedziczoną po siostrze skrzynię z przedwojennymi jeszcze wycinkami z gazet, z Myszką Miki itp. No i oczywiście znałam Koziółka Matołkę – dodaje.

Asystent umawia absolwentkę w redakcji. – Ubrałam się schludnie, jak to na rozmowę o pracę: żakiet, włosy w ząbek – opowiada Kroll. – W windzie dogonił mnie mężczyzna z siwą potarganą czupryną i w do bólu obciśniętych skórzanych spodniach. Zapytał, dokąd jadę, po czym bez słowa wyrwał mi teczkę z rysunkami i zaczął oglądać. Pomyślałam, że zapowiadają się mocne przeżycia. Na piętrze okazało się, że



JACEK JAGOWSKI/AGENCJA GAZETA

Wznowienia komiksów o Kleksie ukazują się nakładem wydawnictwa Egmont.

mężczyzna w skórzanych spodniach to Papić Chmiel – autor „Tytusa, Romka i A'Tomka”, redakcyjny specjalista od komiksów.

Rysunki mu się podobają, absolwentka dostaje posadę. Oprócz tworzenia komiksu będzie się zajmować łamaniem gazety.

Papić Chmiel daje początkującej autorce dobre rady. – Powiedział mi, że bohaterami muszą być dzieci,

żeby czytelnik mógł się identyfikować, a jako rekwizyt powinno im towarzyszyć obdarzone ludzką mową zwierzę lub maskotka. Szybko złapałam melodię.

Świeżo upieczona rysowniczką przyjmuje pseudonim Szarłota Pawel. Według podanego przez Papića Chmiela przepisu powstają Jonka, Jonek (dzieci) i Kleks (maskotka). – W redakcji były cztery półki z francuskimi magazynami „Tifou” i „Spirou”. Miałam oglądać je dla inspiracji. Dopiero po latach się zorientowałam, że rysując Kleksa, nieświadomie zainspirowałam się francuskimi Smerfami.

Pierwsza przygoda Jonka, Jonki i Kleksa ukazuje się na łamach „Świata Młodych” 14 maja. Jonka i Jonek mieszkają w Polsce, w bloku na osiedlu Własna Kępa, chodzą do szkoły tysiąclatki, trzymają fabułę „blisko ziemi”. Dla pijącego atrament Kleksa ograniczeniem jest jedynie wyobraźnia autorki. Od niego zaczynają się najbardziej fantastyczne przygody.

– Znajomi z Akademii, artyści przez wielkie A, na początku śmiali się z mojej pracy, ale ja byłam dumna z etatu i nie zwracałam na to uwagi. Zrozumienie pojawiło się dopiero po kilku latach, kiedy porodziły im się dzieci i na Kleksie zaczęły uczyć się czytać – podsumowuje Szarłota Pawel.

Kuba Dąbrowski co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.

WOJCIECH KLEWIEC

Zabawa tylko dla bogaczy

Zmęczeni przemysłem karnawałowym Brazylijczycy zaczynają bronić przed nim swoich miast.

Pięć dni szalonej zabawy w Rio de Janeiro i innych brazylijskich miastach w tym roku rozpocznie się 9 lutego. Jednak już dawno święto przestało być spontaniczną fiestą, feerią zmysłowości i samby, dla milionów, przede wszystkim niezamożnych Brazylijczyków. Dziś to ważna część gospodarki i rynek pracy, głównie jednak rozrywka dla bogatych turystów. Brazylijczycy czują się coraz częściej z zabawy wykluczeni. Jako pierwsza głośno powiedziała o tym brazylijska telewizyjna prezenterka Rachel Sheherazade.

– Karnawał zamienił się w biznes. Nie jest już ludowym świętem, którym kiedyś był. To zabawa dla bogatych – powiedziała na antenie Sheherazade. O dziwo, spotkała się ze sporym odzewem, mimo że

Brazylijczycy traktują karnawał jak narodową świętość. Część widzów przyznała jej rację, powołując się choćby na ceny biletów wstępu na Sambodrom w Rio de Janeiro – największy i najbardziej znany na świecie. Wejściówki do najlepszych miejsc kosztują nawet 2 tys. dol. i stać na nie najczęściej obcokrajowców. Ale to władzom miasta nie przeszkadza. Co roku karnawał przynosi bowiem góry pieniędzy. Mimo że niedawno Rio nawiedziły tragiczne powodzie, władze szacują, że w karnawale weźmie udział 850 tys. turystów, a budżet miasta wzbożyci się o 640 mln dolarów.

Ruch niezadowolonych

To jednak nie przekonuje coraz większej grupy przeciwników karnawałowego biznesu. W zeszłym roku w Salvadorze, zabytkowej stolicy stanu Bahia, powstał ruch społeczny Desocupa, który – jak podaje dziennik „Jornal do Comercio” – sprzeciwia się „sprzedaży” miasta

inicjatywie prywatnej. Jego uczestnicy twierdzą, że władze dzierżawią karnawałowym przedsiębiorcom całe połacie przestrzeni publicznej w najlepszych częściach miasta. I dlatego, zdaniem społeczników, chciwi prywatnie zbierają majątki, a zwykli obywatele tracą. Miasto otrzymuje bowiem równowartość 120 tys. dolarów za udostępnienie publicznej przestrzeni pod zamknięty obszar zabawy dla kilku, a nawet kilkunastu tysięcy ludzi, a biznesmeni zarabiają na tym nawet 30 milionów dolarów. Członkowie ruchu Desocupa dowodzą, że w czasie karnawału miejsc dostępnych wyłącznie za opłatą, wykupywanych przez turystów, przybywa, przez co miejscowi, którzy kochają taniec i zabawę, skazani są na kurczącą się przestrzeń. Tymczasem w okresie karnawału na ulice brazylijskich miast wylegają miliony ludzi, w samym tylko Rio uciechom będzie się w tym roku oddawać około czterech milionów osób.

Uczestnika karnawału w Salvadorze, który bawi się na ulicy w miejscach otwartych, dostępnych dla każdego, nazywa się pipoca. Pipoca to także prażona kukurydza. Swoje kulinarne określenie karnawałowicze zawdzięczają zapewne temu, że zatłoczone części miasta, w których ciągle jeszcze można się bawić bezpłatnie, przypominają wielkie misy z popcornem. Dlatego właśnie jedna z manifestacji ruchu Desocupa odbyła się pod hasłem „Pipoca oburzona”.

Lud już nie chce igrzysk

Ruch Desocupa w Salvadorze narodził się na Twitterze i Facebooku, dopiero później wyszedł na ulice. Nawiązuje do tradycji zreszeń młodych-oburzonych i okupujących w innych krajach. Jego uczestnicy sprzeciwiają się prywatyzacji przestrzeni publicznej. „Nie zgadzamy się, by urzędnicy sprzedawali nasze miasto. Mamy tego dość. Musimy się zorganizować, żeby odsunąć ich od władzy” – przekonują działacze. Wótruje im Valci Barreto, społecznik i publicysta z Salvadoru: „Karnawał w stanie Bahia to już nie zabawa dla pipoca” – pisze, bo trzeba dziś za nią zbyt słono płacić. „A jeśli ktoś dużo płaci, wymaga wygody” – dodaje. Tymczasem rozwój przemysłu karnawałowego zagraża bezpieczeństwu. Mieszkańcy dzielnic sąsiadujących z karnawałowymi atrakcjami narzekają na pijaków, narkomanów i wszechobecne śmieci zabawające ulice brazylijskich miast. Rośnie też napięcie między bogatymi i biednymi – narzekają działacze Desocupa, ponieważ wiele osób woli zapłacić równowartość kilkuset, a nawet kilku tysięcy dolarów, żeby w camarote, czyli w karnawałowych strefach zamkniętych, bawić się bez strachu.

Ekonomia twórcza

Władze zdają się głuche na głosy oburzonych. Mają swoje powody. W samym Salvadorze przemysł karnawałowy daje pracę 200 tys. ludzi, a w Rio 750 tys. osób. Fiesta to także źródło ogromnych dochodów. Zarabiać można na mnó-

stwo sposobów. Można np. pracować jako „cordeiro”, czyli obstawa poszczególnych zreszeń tanecznych, tzw. bloków. W stolicy stanu Bahia zajęcia tego ima się co roku kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Można też zatrudnić się w karnawałowych barach albo sprzedawać stroje. Oczywiście największe zyski, które mogą iść w miliony dolarów, zgarniają organizatorzy camarotes. A do tego karnawał nakręca ruch w innych branżach, takich jak usługi turystyczne (prawie 100-proc. obłożenie hoteli) czy przemysł napojów. Zabawa nie może się też obejść bez rzesz krawców, rzeźbiarzy, plastyków, muzyków, kompozytorów, zakładów, które sprzedają maski i materiały na stroje karnawałowe, stolarzy, szewców i kapeluszników. Największe szkoły samby wydają na przygotowania od 2,5 mln do 4 mln dolarów. Choć w Środę Popielcową zabawa się kończy, jej organizatorzy odpoczywają krótko. – Najwyżej miesiąc. Trzeba zbierać siły do kolejnego występu – wyjaśnia Alejandro Toro, Chilijczyk, który mieszka w Brazylii od ponad 30 lat i jest dyrektorem marketingu Uniao da Ilha do Governador, jednej z najbardziej znanych w Brazylii szkół samby. Według Alejandro Toro, cytowanego przez portal chilijskiego dziennika „El Mercurio” mnóstwo ludzi żyje z karnawału przez cały rok. Powstał już nawet nowy termin akademicki na opisanie zjawiska, jakim jest w gospodarce narodowej karnawał: „twórcza ekonomia”. Na Uniwersytecie Federalnym Stanu Rio de Janeiro prowadzone są na ten temat specjalne seminaria, a w tym roku rusza również specjalny portal karnawałowy. – Ma być wielką giełdą pracy i przedsięwzięć, przedstawiać wszystkich zajmujących się karnawałem zawodowo i wszystkie obszary ich działalności, wskazywać, na co jest podaż i popyt – wyjaśnia prof. Jair Martins de Miranda z Uniwersytetu Federalnego Stanu Rio de Janeiro, którego cytuje Agencia Brasil. Przeciwnicy karnawałowego przemysłu muszą więc na razie uznać wyższość gospodarczych reguł.

Gdzie się bawi brazylijska prowincja



DIAMANTINHA stan Minas Gerais

24 godziny zabawy na dobę, przez pięć dni, tłum tłoczy się w wąskich, zabytkowych uliczkach miasteczka, apogeum karnawału ma miejsce na miejskim placu: Praca do Mercado Velho, gdzie mieści się nawet 15 tys. osób, ikoną fiesty w Diamantina jest grupa Bartucada, która powstała w latach 70. i gra z towarzyszeniem wszystkich możliwych brazylijskich instrumentów perkusyjnych w myśl zasady: samba bez chwili przerwy.



FORTALEZA stan Ceará

Tu karnawał nie kończy się na tradycyjnych pięciu dniach. Zabawa zaczyna się jeszcze w styczniu i trwa nieprzerwanie do Popielca, w Brazylii jest znana jako Fortal, do miasta zjeżdża 1,5 miliona gości. Wszyscy chcą m.in. zobaczyć Maracatu Cearense, czyli korowód tancerzy z pomalowanymi na czarno twarzami. Część zabawy odbywa się wzdłuż miejscowych plaż, najbardziej znana to Praia De Iracema.



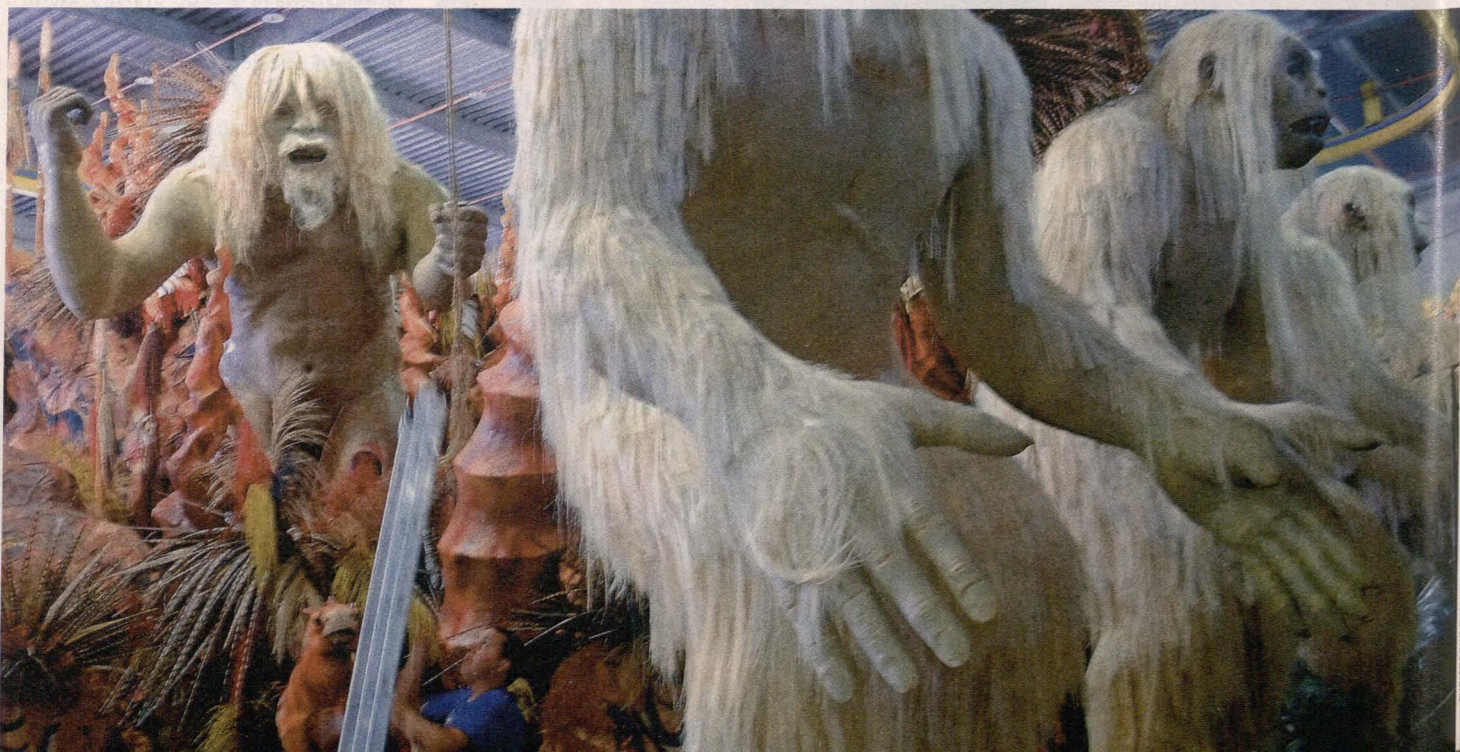
RECIFE stolica Pernambuco

Najbardziej znanym symbolem karnawału w Recife jest gigantyczna figura Galo da Madrugada, czyli kolorowego koguta – mierzy 27 m i waży 2 tony – która znalazła się zresztą w Księżce rekordów Guinnessa. Co roku do miasta przybywa 1,5 mln gości.



OLINDA stan Pernambuco

Zabawę o smaku etnicznym – tak piszą brazylijskie przewodniki – organizują mieszkańcy Olindy, miasteczka, które zostało wpisane na światową listę dziedzictwa kulturowego UNESCO. Karnawał zaczyna się od korowodu wielkich papierowych lalek (mamulengos). Uczestnicy zabawy mają do dyspozycji stare miasto. Do najsłynniejszych miejsc należą ulice: Rua Bernardo Vieira de Melo i Rua do Bonfim. Każda z nich ma swoje zespoły muzyczne i dekoracje. Przez ulice i place Olindy przechodzą w ciągu pięciu dni setki tanecznych grup-zreszeń (blocos) przebranych w najbardziej fantastyczne stroje.



MARTA MACH I AGATA NAPIÓRSKA

Cztery wesela i pogrzeb

Towarzyszą ludziom w ważnych chwilach: ślubach, chrzcinach, pogrzebach. **Piotr Ziemichod, kościelny** w parafii pod wezwaniem Matki Boskiej Loretańskiej na warszawskiej Pradze-Północ, i **Beata Perończyk, częstochowska konsultantka ślubna**, muszą dbać o dyscyplinę i dobrą organizację pracy, by uczestnicy uroczystości czuli się swobodnie.



RETRO

Myśląc „kościelny”, wyobrażamy sobie starszego pana, który całe życie spędził w parafii. **Piotr Ziemichod** ma 27 lat, jest niezwykle zorganizowany – ma specjalny notes, w którym zapisuje daty ślubów i pogrzebów. Od trzech lat pracuje w kościele i nie zamieniłby tej pracy na żadną inną.

Jak zostałeś kościelnym?

Najpierw byłem ministrantem. Podobno już kiedy miałem dwa lata, w kółko powtarzałem Bozia i Bozia. Chociaż zanim zostałem kościelnym, proszę sobie wyobrazić, pracowałem w sklepie monopolowym. Kościelnym jestem od niecałych trzech lat. Wszystkiego, co umiem, nauczył mnie franciszkanin brat Marian Łapus w kościele przy Zakroczymskiej. W tym kościele byłem chrzczony, przyjąłem pierwszą komunię i byłem bierzmowany.

Co należy do twoich obowiązków?

Codziennie otwieram kościół przed poranną mszą, czyli o 6.30. A wcześniej po drodze kupuję proboszczowi pieczywo, sprzątam kościół, zapalam świece. Teraz jest zima, więc mam wiele prac porządkowych. Potem zanoszę sutanny do pralni i dokumenty do urzędu stanu cywilnego. Jak są śluby lub pogrzeby, mam sporo pracy, bo trzeba przyszykować kościół do tych uroczystości. Właściwie spędzam w kościele cały tydzień. W niedzielę jest sześć mszy.

A dzwon? To kościelny bije w dzwony?

Tak, ale teraz dzwony mają napęd elektryczny. Nasz ksiądz proboszcz zarządził, że dzwonimy tylko w niedzielę o 12 w południe i podczas pogrzebów. W wakacje nie dzwonimy.

Co najbardziej lubisz w swojej pracy?

Dekorowanie kościoła na specjalne okazje: układanie obrusów, zapalanie świeczek, przygotowywanie szopki bożonarodzeniowej. Lubię też pogrzeby dużo bardziej od ślubów. Podczas pogrzebów jest naturalna, niewymuszona atmosfera.

A jest coś, czego nie lubisz w byciu kościelnym?

Chyba tylko ściągać pajęczyn z okien. Gdybym nawet wygrał w totolotka, nie wyobrażam sobie, że mógłbym przestać pracować w parafii.

Dlaczego właściwie nie zostałeś księdzem?

Na to nie znam odpowiedzi, to już jest zapisane gdzieś w górze.

Autorki prowadzą magazyn www.zwyklezycie.pl.

FUTURO

Beata Perończyk zawsze chciała organizować imprezy i od razu po studiach wzięła sprawy w swoje ręce. Świeżo upieczona pani filolog otworzyła w Częstochowie biuro konsultacji ślubnych Elegance. Nigdy nie pracowała dla kogoś.

Skąd pomysł, żeby zostać konsultantką ślubną?

Pomysł zrodził się cztery lata temu, kiedy kończyłam studia. Większość moich kolegów i koleżanek rozpoczęło poszukiwanie pierwszej pracy, a ja postanowiłam założyć działalność gospodarczą i pracować dla siebie. Od zawsze miałam zmysł organizatorski. W szkole pomagałam w przygotowaniu imprez: połówek, studniówek, to samo na studiach. A że przymysł ślubny w Polsce bardzo dynamicznie się rozwija, postanowiłam spróbować sił jako konsultantka ślubna.

Na czym polegają twoje obowiązki?

Zajmuję się kompleksowym przygotowaniem ślubu i wesela. Moich klientów można podzielić na dwa typy: tych, którzy zgłaszają się do mnie kilka miesięcy przed ślubem z prośbą o ratunek, bo sami nie zdążą wszystkiego zorganizować jak należy, i tych, którzy zjawiają się u mnie od razu po wyznaczeniu daty ślubu. W każdym przypadku dbam, żeby podczas tego szczególnego dla pary młodej dnia wszystko było zapięte na ostatni guzik: od menu i muzyki po kwiat w butonierce pana młodego i karteczki z nazwiskami gości na stole.

Zdarza się, że śluby są odwoływane w trakcie przygotowań?

W mojej karierze zdarzyło się to tylko raz. Z opowiadań kolegów po fachu wiem, że odwoływanie ślubu nawet w tym szczególnym dniu nie jest tak rzadkie, jak by nam się wydawało. Panny młode częściej uciekają sprzed ołtarza niż mężczyźni.

Co w swoim zawodzie lubisz najbardziej?

Pracę z ludźmi. Do każdej pary podchodzę indywidualnie, więc i ekipy, które wynajmuje, ciągle się zmieniają. Staram się spełnić wszystkie marzenia klientów. Organizowałam ślub „dla księżniczki”, podczas którego wszystko miało wyglądać jak z bajki: pałac, drużny, para młoda. I choć sama nie przepadam za falbanami, różem i kryształami, do głowy by mi nie przyszło podważać prośby pary młodej. Jestem z nimi od chwili, kiedy się do mnie zgłoszą, do końca wesela. W dniu ślubu nadzoruję czesanie panny młodej, obsługę restauracji, kolejność wydarzeń podczas uroczystości. Para młoda ma jedno zadanie: dobrze się bawić.

Ile kosztuje urządzenie ślubu w Polsce?

Minimum 30 tys. złotych. Przeciętnie do 70 tys. Ale już wielokrotnie organizowałam śluby i wesela, na które pary młode wydawały krotności tych kwot.



CEZARY POLAK

I ty zostaniesz mateistą

Popijacie yerba mate? To znaczy, że jesteście patriotami, bo herbatka z ostrokrzewu paragwajskiego to jedyny oprócz wódki napój, który światową karierę w dużej mierze zawdzięcza Polakom.

Matemia dotarła nad Wisłę. Ulubiony napój bohaterów „Gry w klasy” Cortazara mają w menu eleganckie restauracje i kluby alternatywne; sącą go hipsterzy i alterglobaliści, lewicowi aktywiści i prawicowi celebryci, japiszony i oburzeni.

– Mam stałą grupę gości, którzy przychodzą tylko na yerbę – mówi Ala Pękalska, właścicielka Kępa Cafe na warszawskiej Saskiej Kępie. Kameralna knajpka ma w ofercie kilka rodzajów herbatki z ostrokrzewu paragwajskiego, „naturalnych” i smakowych, podawanych w tradycyjnych tykwowych czarkach z bombillą, czyli zakończoną cedzakiem rurką, przez którą pije się napar. Nikt tego dokładnie nie policzył, ale lokali, w których można skosztować yerba mate, w samej Warszawie jest grubo ponad 50. Nawet w mniejszych miastach, jak Kielce czy Sopot, powstają specjalistyczne pijalnie oferujące klientom mate w kilkudziesięciu odmianach i smakach. Na rynku pojawiła się też yerbata – produkowany w Polsce napój gazowany z ekstraktem z ostrokrzewu paragwajskiego. Yerba mate przestała być domeną sklepów zielarskich i trafi-

ła na półki supermarketów, co jest najlepszym miernikiem jej popularności.

Pobudza i orzeźwia

Ale to nie dzięki Manuelowi Oliveirze i innym bohaterom Cortazarowskiego arcydzieła mate trafiła pod strzechy. Jak przyznaje Artur Stawicki z firmy Argentina Limited, będącej największym i najdłuższym działającym w Polsce – bo od 23 lat – dystrybutorem yerba mate, modę po części wykreował Wojciech Cejrowski. Popularny dziennikarz telewizyjny i podróżnik nie rozstaje się z tradycyjnym zestawem do mate: tykwową czarką oraz wetkniętą w naczynie bombillą. I to dzięki niemu statystycy Nowak i Kowalski dowiedzieli się o walorach herbatki z ostrokrzewu. Cejrowski poszedł za ciosem: nie tylko publicznie obnosi się z tykwą i bombillą, ale też prowadzi sklep internetowy, w którym handluje yerba mate, akcesoriami do jej picia i zaparzania oraz pochodnymi kosmetykami.

Cejrowski przekonuje, że yerba jest zdrowszą wersją kawy. Calabase, czyli tykwę, zasypuje się bowiem tylko raz, a potem robi dolewki i pije przez cały dzień. Yerba nie wywołuje odwodnie-



Yerba mate piją dziś hipsterzy, lewicowi i prawicowi celebryci i japiszony – moda na herbatę z ostrokrzewu paragwajskiego dotarła nad Wisłę.

nia i łaknienia, choć przy pierwszym zaparzeniu przyswaja się dawkę kofeiny równą filiżance espresso.

– Mate daje w czapkę tak samo jak kawa, ale nie czyści żołądka. Nie tylko pobudza i orzeźwia, ale też – inaczej niż espresso – hamuje uczucie głodu – dopowiada Tomek, student polonistyki na UW. Chudzielec w podróbkach raybanów twierdzi, że w jego środowisku picie mate podyktowane jest nie tyle modą, ile „rachunkiem ekonomicznym i energetycznym”. – Zaparzasz rano mate i możesz siedzieć w bibliotece bez jedzenia do wieczora. Oszczędzasz kasę – mówi Tomek. Został mateistą na pierwszym roku studiów, po tym jak yerbę w charakterze środka na senność i zmęczenie zareklamował mu kumpel ze starszego rocznika. Ale nie od razu stał się jej fanem. Pierwszą calabazę wylał, bo smakowała sianem. Jeszcze bardziej dosadnie recenzuje swoje debiutanckie doświadczenia Wojciech Cejrowski, który wychylając inaugura-

cyjną tykwę, miał wrażenie, że pije wywar z petów.

Pierwszy tyk

Nowicjuszom zaleca się umiarkowane dawkowanie. Ala Pękalska z Kępa Cafe radzi, by debiutanci zaczęli od mate smakowej (limonkowej, pomarańczowej, rumowej i innych), zaparzanej w aplikatorze z sitkiem z dwóch łyżeczek suszu. Temperatura wody nie może przekraczać 70 stopni. Dopiero po takim intro można zaczynać prawdziwą przygodę z ostrokrzewem paragwajskim.

Twórcami nazwy yerba mate (od łacińskiego słowa „herba”, czyli ziele, oraz „mati”, które w języku keczua oznacza tykwę) i pierwszymi plantatorami byli jezuci. Ale historia napoju zaczęła się na długo przed konkwistą. Żyjący w dorzeczu Parany Indianie Guarani od wieków używali zielonego krzewu, nazwanego potem ostrokrzewem paragwajskim, jako pobudzającej używki – żuli liście i pędy oraz zaparziali susz. W XIX w. uprawą i produkcją zajęli się przybysze z Europy, a yerba rozprzestrzeniła się po kontynencie. W Argentynie yerba mate uważa się za napój narodowy.

Dlatego kiedy kilka miesięcy temu minister handlu wewnętrznego Argentyny Guillermo Moreno zwymyślał plantatorów ostrokrzewu paragwajskiego domagających się podwyżki ceny skupu produkowanego przez nich surowca, część światowych mediów popadła w konsternację. Poszło nawet nie tyle o dosadne słownictwo, z którego słynie wąsaty polityk, ile o adresatów inwektyw. – Mam dosyć tych polskich głupków z prowincji, którzy przyjeżdżają do Buenos Aires ze swymi roszczeniami. To ja ustalam ceny, a jak to się komuś nie podoba, to może sobie wypiąć tyłek – grzmiał minister. Potem miał ponoć jeszcze sponstponować rodaków określeniem „Polacy brudnostopi” (polacos pata sucia), co niektórzy interpretowali jako aluzję do Wojciecha Cejrowskiego, który w swoich programach podróżniczych występuje boso.

Szef argentyńskiego resortu handlu nie celował jednak w dziennikarza i ce-

lebrytę znad Wisły. – Minister Moreno jest pozbawiony jakiejkolwiek kultury, potrafi jedynie obrażać i atakować. Szkoda, że przez takich urzędników wszyscy mamy później złą opinię za granicą – ripostował Luis Alberto Andruszszyn, plantator o polskich korzeniach.

Order Yerba Mate

Swojsko brzmiące nazwisko jednego z szefów największej federacji rolniczej w produkującej yerbę prowincji Misiones nie jest przypadkiem. W stwierdzeniu, że mate jest polską specjalnością, również nie ma przesady. Wśród półmilionowej rzeszy Argentyńczyków polskiego pochodzenia jest wielu yerbateros, potomków osadników, którzy ponad sto lat temu zajęli się uprawą i obróbką ostrokrzewu paragwajskiego. Do najsłynniejszych należy rodzina Szychowskich. Senior rodu, Julian Szychowski, młynarz z Galicji, wyemigrował do Argentyny za chlebem w 1900 r. Przez pierwsze lata klepał biedę – fortuna odwróciła się dopiero wtedy, gdy zaczął konstruować autorskie maszyny (stworzył m.in. pierwszy wodny młyn do mielenia łodyżek i liści ostrokrzewu, opatentował też mechaniczną taśmę pakującą susz), postawił tamę na rzece i namówił okolicznych plantatorów do współpracy. W międzywojniu dysponował już świetnie prosperującą fabryką w La Cachuera i dorobił się fortuny. Wieści o przedsiębiorczości i wynalazkach pana Jana dotarły za granicę.

Magazyn „National Geographic” poświęcił mu okładkowy artykuł, a władze II RP, wspierające program polskiego osadnictwa w Argentynie, uhonorowały go Brązowym Krzyżem Zasługi. Dziennikarz Konrad Wrzos w 1936 r. wydał książkę o polskiej emigracji. Jednym z bohaterów był Szychowski, a publikacja nosiła bardzo oczywisty i kojarzący się z Polakami tytuł „Yerba Mate”. Rząd prowincji Misiones już po śmierci seniora (1890–1960) wyróżnił rodzinę Szychowskich Orderem Yerba Mate. Sylwetkę ojca założyciela oraz innych polskich osadników przypomina muzeum założone w La Cachuera. Ale najbardziej spektakularną pamiątką, a zarazem dowodem polskości yerbateros jest Amanda, jedna z najpopularniejszych marek yerba mate, do kupienia nawet w supermarketach. Jej twórcami i właścicielami są właśnie Szychowscy.

Żeby było jeszcze ciekawiej, okazuje się, że yerba mate pijano w Polsce już pod koniec XIX w. „Wobec taniości maty i cudownych niemal jej skutków higienicznych” napar z ostrokrzewu propagowało Towarzystwo Handlowo-Geograficzne we Lwowie. Wystawy ziela zaczęły organizować też kupcy w zaborze rosyjskim, ale carskie władze w obawie, że konkurencyjna cenowo yerba zagrozi handlowi herbatą z Chin, obłożyły mate zaporowym cłem. Na dobre bogata w mikroelementy kofeinowa używka zdomowała się u nas sto lat później.

To dzięki bohaterom Cortazara (na zdjęciu) mate stała się popularna poza Argentyną, gdzie jest napojem narodowym.



WOJCIECH BOŃKOWSKI

Kocha, nie kocha?

Oba słowa rymują się z winem Rioja – dosłownie i w przenośni.

Nie ma bowiem wina wywołującego tak skrajne emocje. Rioja ma wielu fanów, którzy biorą ją w ciemno w każdym sklepie i lubują się w zawsze identycznym smaku waniliowego budyniu i porzeczkowego dżemu. Inni nie znoszą jej dokładnie z tych samych powodów i omijają szerokim łukiem. Zwykle to zdradzeni kochankowie, którzy kiedyś ją uwielbiali, potem się odkochali, a wiadomo, że nie ma silniejszej nienawiści niż ta, która wyrosła z namiętności.

Rioja, czyli najpopularniejsze wino hiszpańskie pochodzące z regionu La Rioja – ani to upalna Kastylia, ani deszczowa Nawarra, coś pomiędzy. 85 proc. win ma kolor czerwony i powstaje przeważnie z typowo hiszpańskiego szczepu Tempranillo.

Obrazek pierwszy. W listopadzie odwiedziłam targi winiarskie w Madrycie. Po pracy idę w miasto, zimne, mgliste i wymarłe. Wszędzie sklepy z szynką. Laboratorio del Jamón, Academia del Jamón, Los Maestros del Jamón. Przy cynkowanych barach siedzą grubi, samotni mężczyźni i zajadają szynkę. Szynka hiszpańska jest wyborna, słodko-słona, o bardzo mocnym smaku. Do szklanek leją rioję – ciemne czerwone wino o smaku krwi i przypraw. Winogorzkie jak lekarstwo, jak narkotyk. Z sufitu zwisają dziesiątki świńskich nóg, powietrze też ma narkotyczny zapach. Smutny człowiek i martwe zwierzę – rioja już zawsze będzie miała dla mnie ten smak.

Obrazek drugi. W 1875 r. winnice najważniejszego winiarskiego regionu świata – Bordeaux – zostają kompletnie

zdevastowane przez centymetrowego robaka zwanego filokserą. Zaatakowane przez niego krzewy winorośli umierają w ciągu kilku lat. Na chorobę nie ma lekarstwa. Europie zagłada w oczy śmiertelna wizja świata bez wina. Bordoscy kupcy w panice rozglądali się za miejscem, gdzie mogliby produkować substytut bordeaux. Ich wybór pada na odległą ledwie o 500 km Rioję. Powstają ogromne wytwórnie wina, Francuzi sprowadzają nawet swój specjalny rodzaj beczek mieszczących dokładnie 225 litrów. Rioja z wiejskiego cienkusa znanego tylko lokalsom staje się światowym potentatem. W 1890 r... sama zapada na filokserę. Na szczęście w międzyczasie wymyślono remedium.

Obrazek trzeci. Hiszpania wchodzi do UE. Na gwałt modernizuje swoje winiarstwo. Do Rioi napływają milionowe inwestycje, pęczniący portfel hiszpańskiej klasy średniej z radością opróżnia się w sklepach winiarskich. Powstają wina coraz cięższe, ambitniejsze i droższe, przebity zostaje szklany sufit 40, 60, 100 euro za butelkę. Z niebytu wyłaniają się inne hiszpańskie regiony, takie jak Ribera del Duero, Toro czy Priorat. Wina hiszpańskie podbijają świat, uwielbia je wpływowi krytycy Robert Parker, który wielu z nim daje najwyższą notę – 100/100 punktów. Również rodzima prasa nadmucha coraz większy balon. Rioja z wina czerwonego staje się czarnym, z delikatnego – niemiłosiernie cierpkim; nuty korzenne, takie jak wanilia i cynamon, wzmacniane są do psychodelicznego przyprawowego LSD.

Pojawia się jednak kontrakcja. Coraz więcej osób ma dosyć tej megaciężkiej



- 1 Lan Crianza 2008, porzeczeki, cynamon, do wędlin, ok. 45 zł**
- 2 Conde de Valdemar Crianza 2007, śliwki, truskawki, do schabu, ok. 67 zł**
- 3 Campos de Hoja 2011, tulipany, czereśnie, do tapas, ok. 33 zł**



WOJCIECH BOŃKOWSKI

Pisze o winie od 2000 r., twórcą portalu Winiatywa.pl, nieustraszony eksplorator win marketowych i wszelkich innych.

(i drogiej) rioi. Powstają nowe rymy: „Rioja strzela focha”, „Rioja brzydka Zocha”, publikowane są manifesty pod tytułem „Już jej nie Kocham”. Polemika zamienia się w awanturę. Parker i Peñín (czołowy krytyk hiszpański) dają kolejne setki, gdy inni pytają: „Gdzie jest dawna, finezyjna rioja”; „nie chcemy tonąć w waniliowym budyniu”. Unia Europejska wszczynając dochodzenie w sprawie bardzo ciężkich butelek rioi, które mają rzekomo powiększać dziurę ozonową. W czasie demonstracji hiszpańskich Indignados pojawia się wątek zbyt drogich win, na które nie stać przeciętnego Hiszpana.

W tym czasie fabryki wina nie przestają i nadal produkują miliony butelek najbardziej znanego wina hiszpańskiego. Na każde wino garażowe za 50 euro przypadają bowiem dwie spółdzielnie i trzech wielkich hurtowników, którzy zaopatrują supermarkety i tanie restauracje. Rioja jest winem masowym, a jej macki sięgają od najniższej półki supermarketu aż po cenowe wyżyny.

Obrazek czwarty. W znanej warszawskiej winiarni na literę M potworny gwar. Ale nikt nie przejmuje się polemiką pomiędzy waniliowcami a tradycjonalistami. Do befsztyka, makaronu z sosem pomidorowym, talerza szynki i sera wszyscy wybierają Rioję Crianza. W tym jednym miejscu schodzi jej 60 butelek dziennie. To najlepiej sprzedające się wino jakościowe w Polsce. Cynamon, porzeczkowy dżem, wiśnie, trochę wanilii. Znać? To się napijcie.

WINA

MATERIAŁY PRASOWE (3)

PRZYGOTOWUJE:
ZESPÓŁ KALIBER 45

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.

1		2		3		4		5		6									
				7															
8																			
				9															
10	11		12		13		14		15										
16							17												
18		19			20	21		22		23									
				24				25		26		27		28		29		30	
31														32					
										33									
34																			
										36									



POZIOMO:

1. CZŁOWIEK ORKIESTRA
7. TWÓJ STARY
8. ŚRODEK CIEMNOŚCI
9. NIE POLEWA
10. KURY NA SZTUKI
14. PRZYJMOWANA PRZEZ PAPIEŻA
18. MIARA SIŁY
17. ZIEMIA W SPADKU
18. MA I DA
20. MIĘDZY USTAMI A
25. SKARBY NA ZAMEK
31. ZDERZENIE DWÓCH POJAZDÓW
32. BOLESŁAW PRUSARZ
33. SYPIE ŚNIEG
34. TECZKA Z HAKIEM
35. Z ROZGARDŁA
36. OSKARŻONY MACIEREWICZ

PIONOWO:

1. ŹRÓDŁO CIEPŁA
2. MISTRZ BRUDNEJ PATELNI
3. PIGUŁKA OD TYŁU
4. WIELKA WINA
5. BĄDŹ, A KLĘKNĘ
6. STÓLNUJE SIĘ U CZUBKÓW
11. ZE WSI POCHODZI, PRACUJE W ŁODZI
12. SZCZYCI SIĘ ORGANAMI NA BALKONIE
13. ZIEMIA Z URNAMI
14. KLIN KLINEM
15. SREBRO NA BRĄZOWYM
18. POJAWIA SIĘ W NIEWIJAŚNIONYCH OKOLICZNOŚCIACH
19. NIEBOSPŁON
21. ZARABIA DUBELTOWO
22. CO BYŁO, A NIE JEST
23. JEST PRZY KASIE
24. CZĘŚĆ PRACY
26. HUCPAN
27. SYRENI ŚPIEW
28. BARBARY PO ŁODZIE
29. BRUŹDZI W PRACY
30. DO-OKO-ŁA

ROZWIĄZANIE Z NR. 2
KRZYŻÓWKA: KRECIA ROBOTA

POZIOMO: 1. Z NIEJEDNEGO PIECA – ISKRA 7. PAŁA Z HISTORII – MACZUGA 8. OD PASA W DÓŁ – PRĘGA 9. STWORZONY DO ROLI – TRAKTOR 10. NA DRUGIEJ PIERSI – SREBRO 14. SEZON NA RYBY – POST 16. PASKI DO SPODNI – SZELKI 17. ŻUK W ROLIE – OWAD 18. POWODUJE RAKA – GAFA 20. FRAJER PO ŁACINIE – GRATIS 25. BIURKO W BIURKO Z BIURWĄ – URZĘDAS 31. PRZEPIS NA ŻYCIE – PLAGIATOR 32. PO DRODZE DO SZKOŁY – ZERÓWKA 33. WYMIAR KARY ŚMIERCI – KALIBER 34. CECHY MISTRZÓW – RZEMIOSŁO 35. WCISKA KRWI – OFERENT 36. O DZIEŁO, UMOWA – TRAKTAT

PIONOWO: 1. OD GŁÓW DO STÓP – IMPULS 2. PRZEWROTNA GRA – KRĘGLE 3. MŁODY STUHR – AMATOR 4. NIEOBECCNY NA WIGILII – SCHAB 5. ODBIJA MI ŻONĘ – LUSTRO 6. DRUGA FALA ODRY – NAWRÓT 11. ZAKAZANA DYSCYPLINA – RÓŻGA 12. MAŁA KROKIEW – BELKA 13. RZEKA KRWI – OBIEG 14. JAK MOŻNA Z NIEJ WYLECIEĆ – PROCA 15. NIEBIESKIE OCZKO – SZAFIR 18. KOT DOBIEGAJĄCY SETKI – GEPARD 19. SŁUŻY DO NABIERANIA – FRAJER 21. DOMINUJE NA RYNKU – RATUŚ 22. SPOTKANIE KOTA Z TURKEM – TURKOT 23. SZALKĄ – TAM GRAMY 24. AKTOR, KTÓRY GRYMASI – MIMIK 26. TO ROŚNIE, GDY PAN PŁACI – DEBET 27. CMENTARZ SYREN – SZROT 28. KŁADZIE SIĘ CIENIEM NA POLSKIEJ MUZYCE ROZRYWKOWEJ – ORZEŁ 29. ZABITY W TRUMNIE – CWIEK 30. Z LINĄ W SZAFIE – NAFTA

Nagrodą w tym tygodniu jest książka „Go snowboard. Trening z instruktorem na filmie DVD” autor Neil McNab, wyd. Global PWN

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiązania należy przelać NA KARTCE POCZTOWEJ na adres: Presspublica sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 4”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 3 lutego 2013 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Presspublica sp. z o.o. jest organizatorem konkursu z nagrodami rzeczowymi. Aby wziąć w nim udział, należy w trakcie trwania konkursu prawidłowo rozwiązać krzyżówkę publikowaną w tygodniku „Przekrój”. Rozwiązanie krzyżówki należy przelać na kartce pocztowej na adres redakcji. Zwycięzcy zostaną wyłonieni po zakończeniu konkursu w drodze losowania. W przypadku wygranej imię i nazwisko laureata oraz miejscowość jego zamieszkania zostaną opublikowane w tygodniku „Przekrój”. Udział w konkursie i przesłanie kartki pocztowej z rozwiązaniem krzyżówki są jednoznaczne z wyrażeniem zgody na przetwarzanie danych osobowych. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom.

LAUREACI Z NR. 1

Jadwiga Trzosińska, Białołęka; Roman Sabera, Łęknica; Agnieszka Nadolny, Wilkowice; Irena Kalita, Opole; Jolanta Kaczkowska, Warszawa; Andrzej Struszcak, Łódź; Krystyna Ceranka, Przeźmierowo; Katarzyna Palachowska, Piła; Krzysztof Bronicki, Wrocław; Iwona Kłochowicz, Poznań



Kociak tygodnia: Alexandar Milicevic, 22 lata, pół-Serb, urodzony w Smederevie obok Belgradu. Student II roku aktorstwa na PWSFTiit. Fot. Sonia Szóstak

MODA NA MIKOŚĆ, ODC. 9210457.



RYŚ: MICHAŁ JONCA



RYŚ: FLUTER

Od drogowskazu nie oczekuje się, że pójdzie wskazaną przez siebie drogą. Max Scheler



RYŚ: Marek Raczkowski



Szarmantkie ssaki

Jak się obchodzić z nieaktualnym dżentelmenem?

Chciałoby się rzec: najlepiej obchodzić go z daleka. Wiadomo jednak, że w czasach tak wzmogłej rotacji uczuciowej jak dzisiejsza każde wyjście towarzyskie obciążone jest ryzykiem napotkania gdzieś dżentelmena, z którym miało się zażyłość albo przynajmniej marzyło się, by ją mieć. Co robi dama w takich okolicznościach, by się nie nadwerężyć nerwowo bądź uczuciowo? Przede wszystkim nie liczy na to, że wytworny styl bycia dżentelmena rzuci jej się w oczy jak dawniej. Jeśli jej serce jeszcze nie wystygło, by je schłodzić, dama może wypatrzeć w dżentelmena jakieś nowe defekty. Może również całkiem go nie zauważać. Na tym jednak poprzestaje. Dama nie bierze na siebie zobowiązania, by przestrzec przed tym dżentelmenem wszystkie damy na przyjęciu. Nie szarga również jego imienia i nie upowszechnia w towarzystwie chwil jego największej słabości. Po pierwsze dlatego, że wyobraźnia damy rozczarowanej bywa gwałtowniejsza od rzeczywistości, a po drugie marnotrawienie czasu na nieaktualnych dżentelmenów uniemożliwia poznanie tych, którzy rokują coś aktualnego. → Ula Ryciak

Program księgowo-kadrowy „Rzeczpospolitej”

Mała Księgowość

edycja 2013



Pobierz program
www.rp.pl/sklep
infolinia 801 15 15 15

Skorzystaj z programu Mała Księgowość, który pozwoli Ci sprawnie prowadzić księgowość Twojej firmy.

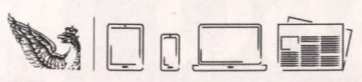
- Darmowe aktualizacje przez cały rok
- Bezpłatne wsparcie techniczne
- Fakturę VAT za zakupiony program przesyłamy pocztą

Mała księgowość – 49 zł (brutto)

- jedna firma
- jedno stanowisko pracy

Mała księgowość – 99 zł (brutto)

- jedna firma - wiele stanowisk pracy
- biura rachunkowe prowadzące małe firmy



Pobudzamy myślenie  **RZECZPOSPOLITA**

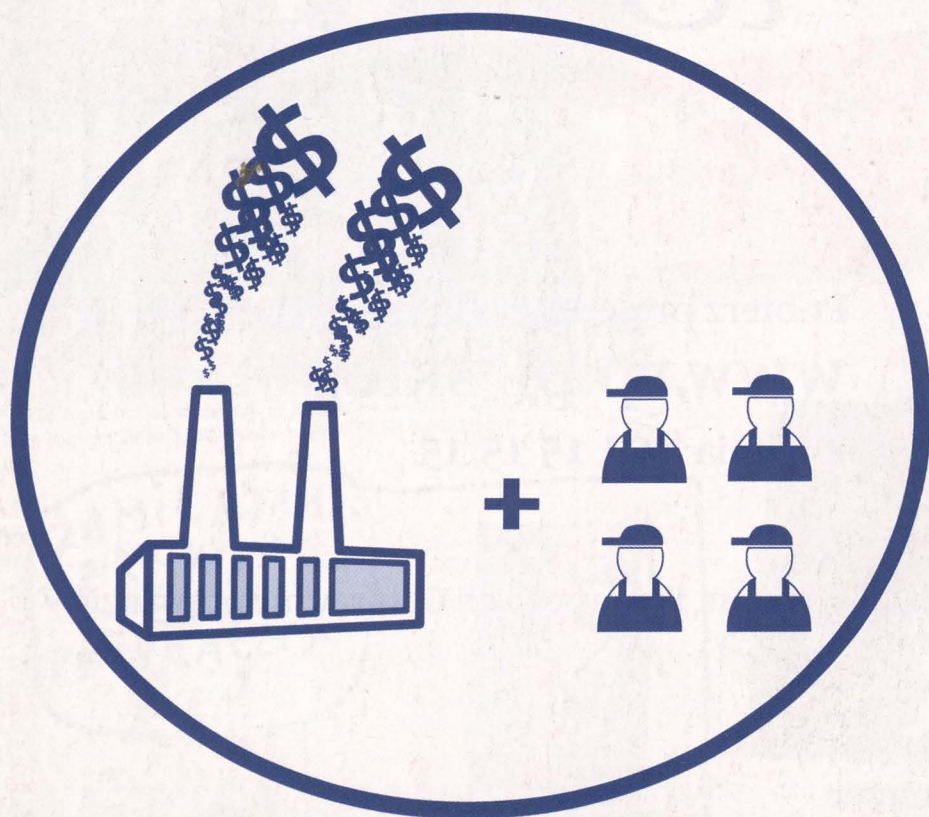
Mały biznes w małych miejscowościach

Konkurs na najlepszy Biznes Plan

Mieszkaś w miejscowości do 50 tys. mieszkańców, jesteś przedsiębiorczy i masz 20-35 lat?

Potrzebujesz funduszy na rozwinięcie swoich pomysłów, chcesz być własnym szefem?

Stwórz własny biznes i wygraj **50 000 zł**



**START:
5.01.2013**



www.rp.pl/malybiznes


Bank Pocztowy

 **RZECZPOSPOLITA**

ATKearney

 **IBS**
Instytut Badań Strukturalnych


LEWIATAN



Studenckie Forum
Business Centre **Club**

 **PARKIET**

**PRZE
KROJ**